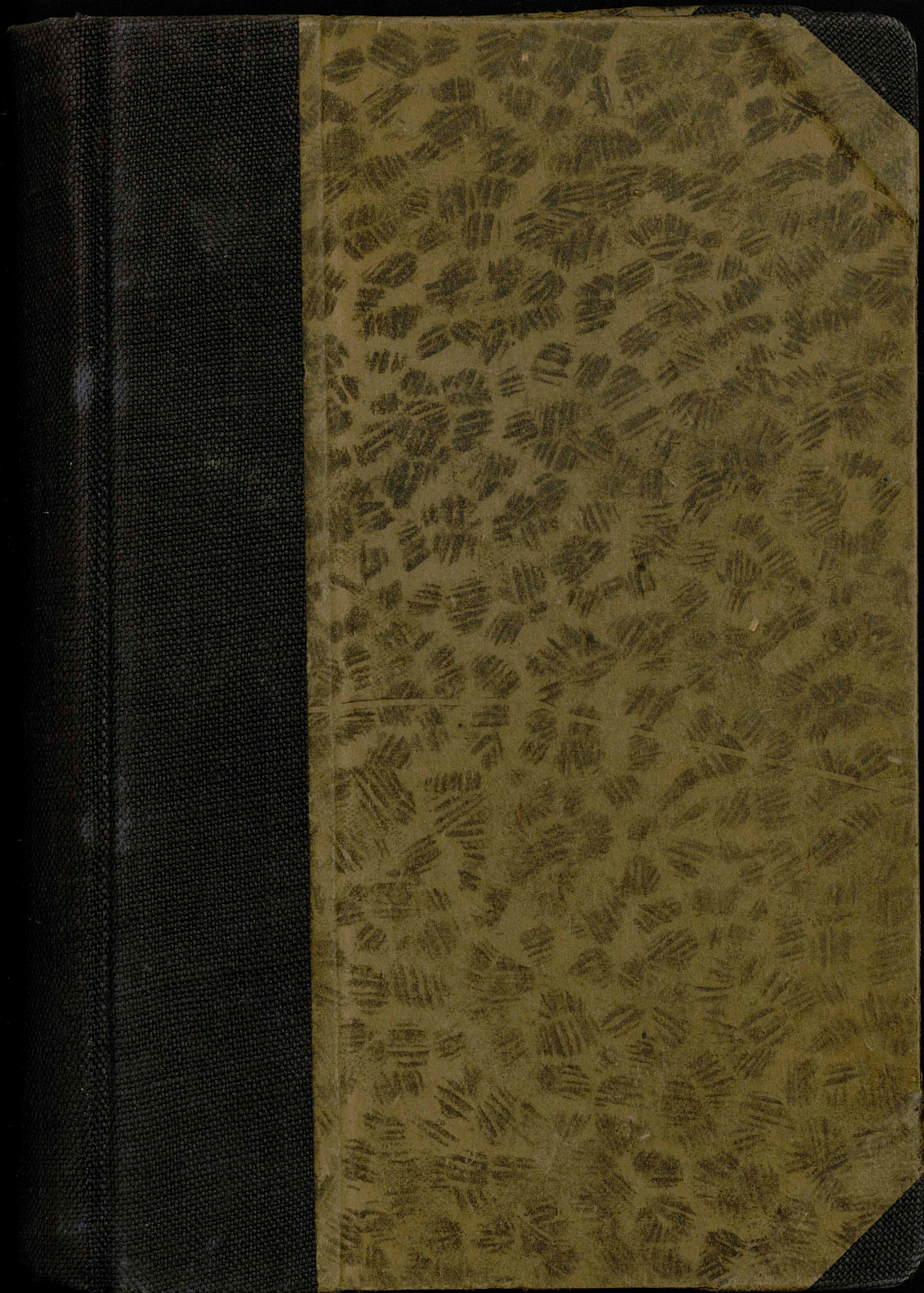






Józef Penickowski
1921

S É D I R

WTAJEMNICZENIA

POWIEŚĆ DLA „MAŁYCH DZIECI“

Z przedmową autora do czytelników polskich

przełożył z francuskiego

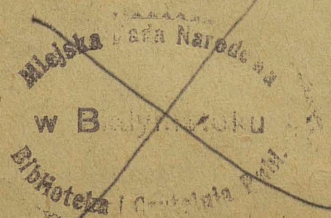
JÓZEF JANKOWSKI

„Zaprawdę, powiadam wam, jeśli się nie
nawrócicie, i nie staniecie się, jako dzieci,
nie wejście do Królestwa Niebieskiego“.
(Mat. XVIII, 3)

SKŁAD: KSIĘGARNIA KUNCEWICZ I HOFMANA
(DAWNIEJ: SADOWSKI), MARSZAŁKOWSKA, 91
W A R S Z A W A.



TŁO CZNIA
WŁ. ŁAZARSKIEGO
W WARSZAWIE



AUX LECTEURS DE POLOGNE

De tous temps les regards de la foule se sont tendus vers des êtres d'exception, héros de la puissance, héros de la volonté, de l'intelligence, de l'art, de la sainteté, exemples vivants et modèles pour tous les idéals. Aux Balances du juste Juge ces surhumains pèsent diversement, car il nous faut à nous, la multitude, des guides vers tous les sommets,—toutefois Dieu ne permet pas que rien d'inutile ou d'essentiellement mauvais ne nous séduise; certains de ces sommets brillent parmi les gloires éternelles, d'autres ne resplendissent que de l'éclat glacé de Lucifer; c'est à nous à choisir nos routes.

Certains de ces héros emportent victorieusement l'admiration des peuples et leur amour; leurs noms vivent dans toutes les mémoires d'un bout à l'autre de la terre. Mais d'autres ont vécu cachés, ne laissant apercevoir leur grandeur qu'à quelques disciples. Souvent on les devine derrière les monarques, les prophètes ou les saints célèbres, qui ne sont en somme que leurs élèves ou leurs serviteurs. De plus, ces surhumains, connus ou inconnus, servent, les

uns, le Christ, les autres l'Adversaire. Prenons garde à notre soif de merveilleux; que l'attrait des mystères antiques ne nous fascine pas; distinguons les phares et leurs reflets mobiles; et n'acceptons pas, sans examen, les jugements de l'histoire. Tels génies—je ne les nommerai pas—que toutes les intelligences révèrent, ont propagé l'erreur; tel homme, qualifié de charlatan, a fait oeuvre divine.

Les récits qu'on va lire veulent peindre l'un de ces ambassadeurs anonymes que le Père envoie par intervalles pour arrêter la corruption du monde. Cet homme a vécu volontairement caché; je devais donc, en essayant de montrer sa Lumière, épaissir les voiles sur sa personne et sur sa vie. J'ai voulu affirmer que l'assistance divine revêt parfois des formes étonnantes et que la promesse du Christ se réalise parfois avec une simplicité, avec une actualité qui stupéfient la raison.

Vous, Polonais, entre tous les occidentaux, qui depuis des siècles servez de rempart à l'Europe; vous dont le sang et les larmes ont coulé par torrents; qui avez subi tous les martyres et toutes les trahisons; qui demeurez, dans ce monde utilitaire, les chevaliers de l'Honneur et les fœux de l'Ideal; vous dont rien n'a pu étouffer l'enthousiasme; vous qui savez souffrir et qui savez mourir sans que vos regards se détachent

du Christ et de Sa Mère, je voudrais ardemment que ces pages vous confirment dans les magnifiques obstinations de votre foi. Vous les savez, vous les croyez; permettez-moi de redire avec vous les certitudes surnaturelles: l'Esprit est le plus fort, le miracle est permanent, et notre Ciel sera d'autant plus splendide que cette terre nous aura été plus dure.

Nous sommes plusieurs, en France, qui admirons, qui aimons l'héroïque Pologne; permettez moi de vous transmettre l'hommage de ces simples patriotes et les vœux fervents de ces chrétiens modestes. Nous sentons, eux comme moi, une fraternité spirituelle entre nos deux patries; et nous espérons, comme vous, uniquement en Celui qui s'est fait Victime volontaire et innocente.

SÉDIR.

DO CZYTELNIKÓW POLSKICH*)

Wszystkiemi czasy spojrzenia tłumu zwracały się ku istotom wyjątkowym, bohaterom mocy, bohaterom woli, inteligencji, sztuki, świętości, przykładom żywym i wzorom dla wszystkich ideałów. Na Wagach Sędziego sprawiedliwego nadludzie ci ważą różnie, bowiem nam, gromadzie, potrzeba przewodników ku wszystkim wyżynom, — Bóg atoli nie pozwala, by coś nieużytecznego lub istotnie złego wprowadziło nas; niektóre z tych wyżyn błyszczą wśród chwał wieczystych, inne lśnią jedynie blaskiem lodowym Lucyfera; do nas należy wybór dróg naszych.

Niektórzy z tych bohaterów osiągnęli zwycięstwo nad ludźmi i miłość ich; imiona ich żyją we wszystkich pamięciach z krańca po kraniec ziemi. Lecz inni żyli ukryci, dając postrzegać swą wielkość jedynie kilku uczniom. Domyslasz się ich często poza monarchami, prorokami lub sławnymi świętymi, którzy w gruncie rzeczy są jedynie ich uczniami lub ich sługami. Nadludzie ci, nadto, znani czy nieznani, służą, jedni, Chrystusowi, drudzy Przeciwnikowi.

*) Przedmowa autora, specjalnie napisana do przekładu polskiego książki (przyp. tłum.).

VII

Baczmy na naszą żądzę cudowności; niech pociąg tajemnic starożytnych nie urzeka nas; odróżniajmy latarnie morskie i ich odbicia ruchome; i nie przyjmujmy bez zbadania sądów historyi. Bywa, że geniusze, — nie wymienie ich nazwisk — czczeni przez wszystkie inteligencje, szerzyli błąd; bywa, że człowiek, poczytywany za szarlatana, pełnił dzieło boże.

Opowiadania, które będzie tu czytał czytelnik, pragną odmalować jednego z tych bezimiennych postoi, jakich Ojciec od czasu do czasu posyła, by powstrzymać zepsucie świata. Człowiek ten żył dobrowolnie ukryty; musiałem tedy, próbując ukazać jego Światło, rzucić gęstsze zastony na jego osobę i życie. Chciałem stwierdzić, że obecność boska przybiera czasami formy zdumiewające i że obietnica Chrystusa urzeczywistnia się czasami z prostotą, z aktualnością, które ostupiają rozum.

Wy, Polacy, którzy, wśród wszystkich narodów Zachodu, od wieków jesteście szansem Europy; wy, których krew i łzy płynęły potokami; którzyście przeszli przez wszystkie męczeństwa i przez wszystkie zdrady; którzy, w tym świecie utylitarnym, pozostajecie rycerzami Czczy i pochodniami Ideału; wy, w których nic nie zdołało stłumić entuzjazmu; wy, którzy umiecie cierpieć i umiecie umierać, nie odrywając wszelako oczu od Chrystusa i od Jego Matki, pragnąłbym gorąco, by karty te utwierdziły was we wspaniałych uporach wiary waszej. Znacze je, wierzycie w nie; pozwólcie, bym powtórzył z wami

VIII

pewności te nadprzyrodzone: Duch jest najsilniejszy, cud jest staty, i Niebo nasze będzie o tyle wspólniejsze, o ile ziemia ta będzie dla nas cięższa.

Jest nas tu sporo, we Francyi, którzy podziwiamy, którzy kochamy bohaterską Polskę; pozwólcie, bym przestał wam hołd od prostych tych patriotów i życzenia gorące od tych chrześcian skromnych. Zarówno oni, jak i ja, czujemy braterstwo duchowe pomiędzy dwiema ojczyznami naszymi; i pokładamy, jak wy, nadzieję jedynie w Tym, który stał się Ofiarą dobrowolną i niewinną.

SÉDIR.

1920.

Kończyłem właśnie czterdziestkę. Czynnny żywot lekarza ludnej, podmiejskiej dzielnicy nie wygasił marzeń młodzińczych, tego pięknego czasu, gdy wolno mi było zapomnieć o wszystkim dla książki rzadkiej lub biesiady z jakim mistykiem. Wspomnienia wciąż się zwracały ku memu staremu przyjacielowi Dezyderyuszowi, zmarłemu przed dwudziestu blisko laty, ku tym wszystkim nieznanym, których spotkałem wówczas na jego pogrzebie. Ile tylko razy zbyt znużenie mi nie przeszkadzało, długo w noc przeglądałem książki, które mi pozostawił, a głównie ów czarny zeszytek, o którym już kiedyś wspominałem; wzrok mój zatrzymywał się zawsze, nawet bez uzasadnionego powodu, na imionach Andreasa i Teofana.

Pewien banalny przypadek przerwał jednostajność tych dni. Moja niezdarna służąca rozdarła wspaniałą jedwab haftowaną, przywiezioną mi przez jednego z kolonialnych moich krewnych z Tonkinu.

Przepyszna ta makata przedstawiała wiązaną gałęzi brzoskwini o różowym kwiecie, przeplatanych pędami wiśni, okrytymi bielą. Wypukłość gałązek, liści, płatków leciuchnych występowała z tła obrazu, jak płaskorzeźba polichromowana; półtony, przezroczystość cieniów, zespolenie wykwintnych barw, wszystko odtworzone było z subtelnością swobodną pastelu de La Tour'a. Trzy kwiaty padły ofiarą wypadku; i oto od dwóch tygodni poszukiwałem wytrawnej hafciarki, która by to wyreparowała. Z dzielnicy Du Marais odesłano mnie do Epinettes; z Epinettes do szkoły zawodowej w Plaisance; tam powiedziano mi, iż w pobliżu jeziora Saint-Fargeau znajdę pewnego antykwareusza, handlarza różnych osobliwości; żona zaś tego artysty zdoła odrestaurować arcydzieło, które posiadam.

Pewnego więc poranku wyruszyłem z Billancourt, gdzie mieszkalem, na wyżyny dzielnicy Ménilmontant. Znałem z dawnych czasów te strony. Niegdyś często odwiedzałem tam jednego alchemika-partacza. Niemniej jednak poszukiwania wskazanej mi ulicy trwały długo; lecz przechadzka była przyjemną pod promieniami kwietniowego słońca; mniemałem, że jesteś gdzieś na przedmieściu prowincjonalnem akiejs podprefektury; w małych ogródkach

pączki na bzach nabrzmiewały. Po bruku, zarosłym trawą, biegały gromadki dzieci; młode liście akacyi przedzierały się przez sztachety opuszczonych domów, jak z powieści Paul de Kock'a; dźwięki katarynki, tak miłe sercu starego paryżanina, rozbrzmiewały znanymi melodjami. W miarę jak ulica wznosiła się ku bramie du Pré, zamiast murów widziałeś krzaki; szopy, kryte papą smołową, małe karczemki i kręgielnie stawały się coraz liczniejsze.

Wszedłszy w uliczkę, przy której mieszkał antykwareusz, spostrzegłem karetę prywatną, stojącą przed domem, na którym widniał szyld. Był to duży, staroświecki wygodny ekwipaż, i zdziwienie moje było wielkie, kiedy, spojrzawszy przez okno w drzwiach, poznałem całą instalację podrózną, którą urządził sobie szanowny mój profesor histologii, dr. B., aby nie tracić chwili w czasie jazdy. Pisma, odbitki z wydawnictw Towarzystwa Lekarskiego, lampka elektryczna, mała maszyna do pisania: wszystko tam było.

Nie chcąc tłumaczyć powodu mojej tu obecności, wrazie gdyby profesor się ukazał, poszedłem swą drogą dalej; powóz stał, oczekując właśnie przed numerem, pod który miałem się udać; zdecydowałem powrócić po upływie kwadransa. Ulica wiodła ku fortyfikacyom. Stado baranów przeciągało właśnie

w tej chwili, prowadzone przez człowieka i dwóch psów, istotnie wspaniałych z rasy zaginionej starych beauceronów (Beauce). Ktoś zatrzymał się koło mnie, by też przypatrzyć się zabiegom pocziwych zwierząt; była to jedna z tych osobistości, z którymi od pierwszego wejrzenia czujesz się, jak z dobrym znajomym; wysokiego wzrostu, pańskiej postaci, doskonale ubrany, — rzecz całkiem dziwna w tej dzielnicy i o tej porze, — zachowanie jego było powściągliwe, choć pełne wdzięku. Rzekł do mnie:

— Lubisz pan również psy pasterskie?

— O, tak, odpowiedziałem, ogromnie; zwłaszcza psy briarskie.—To tak, jak ja; jesteśmy niewątpliwie dwaj starzy dawni pasterze, my obaj, dodał z uśmiechem; nie poznajesz mnie pan, doktorze? to nic nie szkodzi, zobaczymy się jeszcze. Skłonił mi się i zniknął u baryery, a mnie nie przyszło do głowy zatrzymać go.

Twarz ta nie była mi nieznana, ani postawa, a zwłaszcza spojrzenie. Lecz gdzież go spotkałem? I jakież te słowa zagadkowe! Gdy wymówił słowo: pasterze, uczułem jakby uderzenie w serce; i teraz jeszcze fala mocy przenika mnie całego. Cóż by to miało oznaczać? Cały w rozmyślaniach, szedłem z powrotem; karetą odjechała. — Jeszcze nowego doznałem zdziwienia, przeczytawszy na szyldzie te słowa:

ANDREAS

*Naprawca—antykwareusz
Reparacye wszelkiego rodzaju.*

Andreas, ów ktoś tajemniczy, podpisujący się pod „Listami“, ów strojniś, którego dostrzegłem przelotnie na pogrzebie Dezyderyusza? Więc chyba ów przechodzień, spotkany przed chwilą, był właśnie tym, któremu widział owego poranka; tak, to był on, ten wódz spadkobierców nieznanych; te oczy, ta postawa: tak, to był on, lub — czyżby imię to było tylko zbiegiem okoliczności?

Zrobiłem wysiłek, by odzyskać równowagę umysłową. Przyjrzałem się temu domkowi murowanemu; cały parter był istotnie składem rupieci. Ogród po za nim ciągnął się dalej do alei, którą były przeszły barany. Zasadzony cały warzywami; na froncie nieco kwiatów i jakieś krzewy obcokrajowe; na podwórku ujrzałem kury, psią budę i studnię. Sufit sklepu tworzył jednocześnie taras jedyne piętka, zbudowanego systemem facjatkowym. Wysunąwszy swą wielką głowę po przez kraty balustrady, srebrzysto płowy pies, o krzaczastych brwiach i wąsach, obserwował mnie bacznie. Na dachu wznosiła się budka, coś w rodzaju małego obserwatorium. Zbliżyłem się do okna wystawy; wewnątrz

ujrzałem umocowane chwytniki; warsztat złotnika, bogato zaopatrzony w różne szczypczyki, pilniki, rylce; drugi warsztat stolarski; dalej w kącie narzędzia do wytłaczania metali; na listwach wisiały różnej miary nożyce i dłuta rzeźbiarskie. Na półkach stały garnki, butelki, miski: słowem, mieszanina najbardziej dziwaczna i różnorodna, o jakiej chyba mógł marzyć Balzac, tworząc odpowiednie tło dla jednego z typów starego rzemieślnika.

II

Podczas gdy przedłużałem jeszcze moje oględziny, jakiś człowiek stanął w progu; miał na sobie trykot bez rękawów, jakie noszą kowale; potężny kark, szerokość torsu, grubość ramion znamionowały niezwykłą siłę; muskuły wydłużone, okrągłe i owinięte, jak to bywa u Tatarów; tymczasem twarz jego była zwykłym obliczem uczciwego Francuza, nieco surowym, niby starego żołnierza. Dopiero później znacznie zdołałem wyczytać na niem, obok dobroci, bystrość wielką, inteligencyę i wiele, wiele jeszcze innych rzeczy.

Tak dalece byłem pewny, iż mam do czynienia ze zwykłym robotnikiem, że zapytałem: Czy pan Andreas jest w domu?—To ja jestem, odrzekł, czyniąc mi tem oświadczeniem nie-

spodziankę i rozczarowanie zarazem; gdyż w niczem nie przypominał owego eleganckiego młodzieńca, którego kiedyś dostrzegłem przelotnie.

— Rzecz jest tego rodzaju. Stało się, iż u mnie w domu rozdarto ten oto haft; przysłano mnie więc tu, ponieważ żona pana ma być podobno jedyną artystką, która potrafi naprawić to uszkodzenie.

— Dobrze, panie; proszę wejść; jeśli panu czas pozwala, może zechce pan przejrzeć te teki ze sztychami, gdyż mam coś bardzo pilnego do wykończenia, przyjdę za pięć minut. I człowiek ten odszedł do swego kowadła, rzuciwszy mi pierwszej całkiem nieoczekiwanie wejrzenie bystre i głębokie.

Zdawało mi się, że wpadłem na jakiegoś dziwaka, mającego małego biczka; w tym pół-sklepie, pół-warsztacie spostrzegłem piękne sztychy i ryciny, wspaniałe porcelany, istotne rzadkości. Postanowiłem zdobyć zaufanie tego Andreasa; poszedłem więc za nim na podwórze pod pozorem, że wolę być na powietrzu w dniu tak pogodnym i słonecznym. Duży pies, którego pierwszej widziałem, zszedł z góry, pokręcił się trochę i usiadł pomiędzy swoim panem a mną.

— Siedź cicho, rzekł do niego kowal, to przyjaciel. Niech pan mu poda rękę; te psy

lubią, żeby się z nimi obchodzono, jak z ludźmi,—dodał z uśmiechem.

Rzeczywiście, pies zbliżył się, obwąchał moją rękę, opierając o nią swój duży nos chłodny, i poszedł znowu na taras.

Szopa, do której wszedłem, by przyłączyć się do gospodarza domu, była przystosowaną do roboty kowalskiej; w kącie, najbardziej malowniczym zagrody, krzątał się dzielny naprawca, ustawiając kowadło i dmuchając w ogień; kot szpiegował nas, siedząc na stosie drzewa, wróble i gile świergotały w krzakach; na piętrze ktoś głosem niskim nucił zcicha starą, poważną melodyę; pokrzyki bawiących się dzieci dolatywały z niedalekich pustych placów; nastrój był spokojny, radosny i pełen czynnego życia.

— Sądzę, rzekł ten człowiek, głosem głębokim, choć nieco stłumionym, że cała ta staroświecczyzna interesuje pana? mam tego jeszcze sporo. Proszę, niech pan tylko zobaczy — było to ostrze szabli damasceńskiej; tajemnica takiego hartowania zaginęła; czyż nie piękna robota? Zginał klingę w kółko, puszczał ją, a ona wnet wracała do swej prostej pozycji.

— Zdaje mi się, że ją hartowano we wrzącym łożu kozłowym.

— Są to babskie, zabobonne przepisy powiadam.

— Przepraszam pana, łoż kozłowy ma zupełnie inny skład chemiczny, niż łoż barani, własności ich są też całkiem różne.

Rozmawiał ze mną w międzyczasie, kując jakąś małą sztukę. Gdy skończył, obejrzał uważnie mój jedwab.

— To bardzo piękny egzemplarz, wyrzekł, pochodzi on z Quang-Si, znać na nim wpływ japoński, lecz mniejsza o to; mało widziałem równie pięknych. Czy wie pan, jak to trzeba zawieszać, by wyzyskać cały efekt? Nie? A więc, niech pan uważa: cień tej białej kamelii jest szary, gdy światło pada nań zgóry całą pełnią, a różowieje, o, tak, jak teraz, gdy promienie muskają skośnie; cień, rzucony od tej suchej gałązki, leżącej poziomo, jest też poziomy; a więc rzecz ta przeznaczoną jest do oglądania o zachodzie słońca,—zawiesić ją należy na ścianie wschodniej, a widzieć będzie winien na ziemi.

Zdziwiony temi mądrymi uwagami, rzuciłem kilka „blag“ z dziedziny hafciarstwa i ceramiki dalekiego Wschodu. Podpowiadał mi nazwy, których rzekomo nie mogłem sobie przypomnieć, wreszcie, uśmiechając się, powiedział:

— Drogi panie; nie dowierza mi pan, jak widzę, sądząc, co prawda, iż poznaliśmy się zaledwie teraz; lecz porozumiemy się z pew-

nością. Żona moja nie będzie mogła zrobić tej reparacji taniej, niż za dwieście franków, i zajmie jej to trzy tygodnie czasu. Wydam zaraz kwit z oceną wartości przedmiotu i wszelkiem zapewnieniem z naszej strony w razie straty. Zresztą oto sama pracownica.

Kobieta, już dojrzała wiekiem, schodziła wolno ze schodów. Średniego wzrostu, kształtna, ubrana bardzo skromnie, lecz bardzo schludnie; piękne siwe włosy obramowywały jej twarz promienną, choć zwiędłą; spojrzenie, pełne uroku, zdobywało natychmiastowo sympatyę. Jej sposób trzymania głowy, chód, wykwinność rąk uderzyły mnie; zdawała się być zupełnie wielką damą.

— Stello, zawołał kowal, ... i w tejże chwili powiew wszechwładnie słodkiego wzruszenia ścisnął mnie za gardło; nigdy między parą kochanków nie widziałem blasku takiej miłości, jak u tego starego małżonka. Drżenie jego głębokiego głosu, uśmiech jego oczu, wszystkie zmarszczki twarzy, tak pooranej, jak by po niej przeszły burze i wichry całej ziemi, cały układ jego postaci, wyrażały niewypowiedzianą czułość i niewzruszoną powagę uczuć, nadludzkich niemal. Moje zaś wzruszenie było równie głębokie, jak raptowne: nie ulegało już żadnej wątpliwości; oto miałem przed sobą Andreasa i Stellę — Dezyderyusza. Byłóż to

jednak możebnem? Następnej chwili wątpliwość moja wróciła; starałem się ukryć moje zakłopotanie, postanowiłem czekać jeszcze; gdyż istotnie — jakież miałem dowody stanowcze tożsamości tych osób?

— Stello, rzekł kowal, oto robota z twego działu; oznaczyłem dwieście franków i trzy tygodnie czasu.

Kobieta, uśmiechając się, przytaknęła zgodnie paru słowami: przypatrzyłem się jej lepiej; rysy, biorąc z osobna, wyrażały całkiem sprzeczne właściwości; usta były dobre i roztropne, nos znamionował dumę, podbródek wolę, zarys kości policzkowych — energię, posuniętą do gwałtowności; łuk powiek — najszlachetniejszy smutek, skłon czoła ku skroniom bardzo łagodny; we wzroku światelko szczęścia, jakie lśni w niewinnych źrenicach dzieci. W ogólności zaś dwie istoty zagadkowe.

Ponieważ Andreas odmawiał przyjęcia zadatku, nalegałem, mówiąc:

— Wszak nie zna mnie pan.

— Tak pan sądzi? odpowiedział z uśmiechem. A przytem: „jeleni przywabia tygrysa“, dorzucił, przytaczając przysłowie Laotsa.

— Ależ w końcu, zawołałem, zwalczywszy już nieufność, kim pan jesteś? Gdzie pan się nauczył wszystkiego tego, co widzę, że wiesz? Musiałeś pan długo zamieszkiwać kraje Wscho-

du, by poznać tyle drobnych nawet o nich szczegółów?

— W rzeczy samej, podróżowałem tam wiele, wywoziłem ztamtąd przeważnie wspomnienia, również błędy, ale i prawdy także.

Naprzykład, ten znak, który widzę na pańskiej prawej dłoni, oznacza, według wróżbitów rasy żółtej, iż oddajesz się pan studiom nauk tajemnych, nie bez powodzenia. Inny znowu znak wskazuje, iż posiadasz nad zwykłymi miłośnikami tych nauk pewną wyższość bardzo cenną...

— Którą jest...?

— Jeślibym panu powiedział, utracił byś ją, — odrzekł poważnie. Dużoś już w życiu poszukiwał: trzeba, byś pamiętał, że prawdziwe światło pochodzi tylko od Boga.

Zrozumiałem natenczas, że człowiek ten wiedział, i że zbliżyłem się wreszcie do celu całego mego życia. Poświęciłem wszystko poszukiwaniom wiedzy tajemnej: rodzinę, przyjemności, stanowisko zyskowe.

Dwadzieścia lat badań postawiło mię wobec muru bez wyjścia.

Z pomiędzy tych, których uważałem za mistrzów, jedni obiecywali mi więcej, niż dotrzymać mogli; inni zrazili mnie swym brakiem tolerancyi dla obcych ras lub religii; byli też i tacy, którzy sami opuścili mnie bezlitośnie,

lub chcieli, bym szukał ich prawdy w dalekim gdzieś kraju. Czyż prawda nie jest wszędzie obecną? Tyle doznanych zawodów zniechęciło mnie. Czy człowiek ten był prawdziwie moim Andrease? Lub ta kobieta? I ten przechodzień z przed chwil parę? Czyż byłem istotnie na właściwej drodze?

Mój interlokutor mówił dalej.

— Zjawisko cudowne nie dowodzi jeszcze Prawdy: gdyż, jakże tu rozróżnić, czy siła, która je stworzyła, pochodzi z dołu, czy z góry? Wiedza też nie może być sprawdzianem: jakież umysł zawrzeć w sobie potrafi wszystkie tajemnice przeolbrzymiej Przyrody? Jak określić, jaka ilość wiedzy odpowiednią jest stanowi duchowemu, umysłowemu i fizycznemu ucznia, jego przeszłości, przyszłości i jego środowisku, istotom, na których czele stoi, i tym, śladami których stąpa. Proszę nie myśleć, żebym był czemś istotnie. Ja nic nie wiem; i nie znam nawet głębokości mojej niewiedzy.

— Jednak, cóż robić, by iść naprzód? — spytałem, dobierając słów właściwych, gdyż cały mój słownik techniczny i uroczysty zdał mi się nie na miejscu wobec tego człowieka, pełnego prostoty. Ja, wtajemniczony w wiele stopni, członek wszystkich bractw europejskich, mniej lub więcej zbliżonych do iluminizmu, główna sprężyna nie jednej z nich, ja, który

napisałem tyle broszur uczonych, iż korespondenci moi zagraniczni tytułowali mnie: Mistrzem, wielce uczonym, tak, iż wreszcie sam w to uwierzyłem; ja, który celebrowałem obrzędy magiczne i wznowiłem uzdrawiania metodą Paracelsa, który „dałem Światło“ wielu mężom i niewiastom, pełnym dla mnie uwagi i szacunku; ja, który miałem siebie za niewzruszonego i nieulękiego, uczułem, iż moja wieża z kości słoniowej chwieje się u podstaw; byłem stropiony; czynił bym sobie wyrzuty, gdybym wobec tego nieznajomego zachował się inaczej, niż jak mi to nakazywało moje wewnętrzne ja: było to gorące pragnienie, by przez tego człowieka dojść do pewnego spokoju i do syntezy.

— Odpowiem na to, rzekł Andreas, gdy uczyni nam pan tę uprzejmość i przyjdzie do nas na śniadanie, — oznaczmy dzień, czy zgadza się pan?

Przyjąłem zaproszenie, nie czyniąc ceremonii i, pożegnawszy się, odszedłem. Praca zawodowa nie dała mi czasu na rozważenie wszystkich tych faktów i okoliczności; i, kiedy szedłem powtórnie do Andreasa, byłem bardziej, niż kiedykolwiek, niezdecydowany. Przyzwyczajenie do analizy stępiło we mnie intuicję. Miałem dopiero z biegiem czasu spostrzedz, jak bardzo się opóźniłem, nie poznając odrazu nieznajomego z bulwaru Sérurier.

III

Stella nakryła do stołu w altance. Oczekując na śniadanie, Andreas dał mi do wypicia czystej wódki, rozcieńczonej wodą, wyjaśniając mi, że, gdy jest otrzymana z moszczu, tłoczonego z winogron, zrywanych w nocy, nie jest szkodliwą, zwłaszcza gdy została kilka razy przedestylowana, i że nie niszczy komórek tłuszczowych, w które temperamenty, jak mój, nie są podobno dostatecznie zaopatrzone. Ciągłe paląc, gospodarz mój rozpytywał.

— Oto jakie są moje znaki zapytania, rzekłem mu; postaram się streścić je jaknajlepiej. Zacznijmy od filozofii buddyjskiej. Głosi ona, iż materya jest niezniszczalną i wieczną; dlaczego? Zkąd pochodzi ruch, który ożywia świat? Czy należy iść za nim, czy oderwać się od niego? Kto wsączył w nas to pragnienie życia, które nosimy w sobie? I kto wzbudza w innych pragnienie przeciwne? Tacy, jakimi jesteśmy, mamy walczyć z potężną magią zmysłów, za pomocą umysłowości, która jest sama funkcją tych sił, jakie pragnęlibyśmy zniszczyć. Z drugiej strony arhatowie narzucają intelektowi rozważającemu drogę doświadczałą, pozytywną, analityczną. Jeżeli tedy zgaszenie niewiedzy unicestwia siłę czuciową, trzeba będzie, by uczeń dla uniknięcia

Karmy, iżby się już więcej nie narodzić, zachował świadomość po śmierci, innemi słowy, by odkrył uprzednio, przez intuicję, istnienie świata niewidzialnego, którego nie mogą mu dowieść jego medytacje rozumowe.

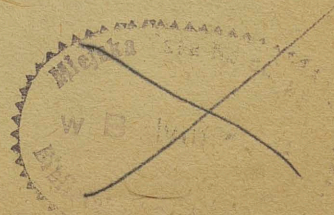
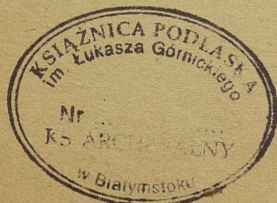
Mahajana wylicza osiem ścież drogi. Przypuszczam, że za pomocą pierwszej, za pomocą nauki, stwierdza się próżnię świata fizyczną; że wtóra, pięć zakazów, i trzecia, powstrzymanie się od dziesięciu grzechów, są z dziedziny moralności oczywistej; lecz praktyka sześciu cnót transcendentnych, albo czwarta ścieżka, wydaje mi się być niemożliwą. Bowiem, jeżeli zostałem mnichem, jeżeli nie już nie posiadam, jak będę sprawował jałmużnę? Cały pełen egoizmu, próżności, pogardy, bowiem mniemam się być lepszym, niż inni, jak będę praktykował „miłość wszystkiego, co istnieje“? Buddyzmy syngaleskie, tybetańskie, japońskie, chińskie, tatarskie, przedstawiają dla tego, kto chce iść za nimi, jedynie długi szereg syntez prowizorycznych, kompromisów pomiędzy stanem ucznia i ideałem, ku któremu on się wysiła. Oczywiście, ból jest nieodłączny od istnienia; lecz nikt nie może dowieść, że istnienie jest wytworem niewiedzy. Jeżeli na przyjemność pewną nie jestem wrażliwy, nie jest ona przyjemnością dla mnie, tem nie mniej nie przestaje ona istnieć; wskutek tego, pozo-

staje zawsze możebność, że, w przyszłości, czar ten pociągnie mnie nanowo; jeżeli oprę mu się, pozabawię niektóre komórki ich rozwoju; i ja, buddysta, dbały o wszelkie istnienie, zabiję pewne energie. Nie chcę przez to dać do myślenia, że mam zadowolić me namiętności; przedstawiam tylko antynomię dwóch zasad buddyjskich.

Następnie zaś, gdzie znajdę dziś nie mistrza, ale doktrynę? Jak wybrać w tuzinie sekt japońskich? Bonzowie chińscy wiedzą nie wiele; a w Tybecie, jak odróżnić to, co pochodzi z kultu Bompas ze szkoły Yogaczary, lub z tantryzmu Kala-Tczakra? Pozostaje buddyzm syamski, co do którego nie mam dokumentów.

— To wszystko zdaje mi się dosyć słusznem.

— Weźmy obecnie tajemnice, pochodzące w prostej linii od brahmanizmu. Przypuszczam, że Yoga została założoną, by pozwolić duchowi ludzkiemu otrzymać zarody największej możliwie ilości sił i usprawnić je. Ustawy specjalne, by kontrolować dźwięk, muzykę, optykę, magnetyzm, siłę mięśniową, namiętność, nie interesują mnie, zdaje mi się bowiem, że, gdyby człowiek doszedł do pochwycenia ośrodka tego wszystkiego, zdobył by tem wszystkie zależności. Studiowałem tedy tylko Radżę



Yogę. Niech mi pan wybaczy wszystkie te szczegóły: chciałem mu dostarczyć pierwiastków do osiągnięcia diagnozy pewnej.

IV

Zawołał ktoś z ulicy. Andreas poszedł zobaczyć i wrócił po mnie: była to kobieta z ludu z dzieckiem cierpiącym na rękę.

— Doktorze, proszę zobaczyć, rzekł mi Andreas, co temu małemu?

Po zbadaniu wywnioskowałem, że to objawy rachityzmu, wskutek dziedziczności alkoholycznej.

— Nie sądzę, odparł Andreas; musi to być poprostu wyrostek ksyfoidalny... I w rzeczy samej, występ mostka zaginał się do wewnątrz całkiem miękki.

— Mam tam coś na chorobę kości, ciągnął; nie jestem jednak lekarzem, nie mam prawa zapisywać lekarstw.

— Jeżeli pan życzy sobie, natychmiast podpiszę receptę.

— Dziękuję panu, doktorze; nie chcę pana utrudzać; oto coś prostszego, co matka będzie mogła stosować tak często, jak zechce.

Położył dziecko na fotelu i kazał matce posuwać palcem wskazującym wzdłuż małego mostka.

— Czy czuje pani co? zapytał.

— Tak, panie, odrzekła kobieta: jak gdyby woda zimna przepływała mi w środku palca.

— To dobrze; czy widzi pani mały występ, który się porusza?

W rzeczy samej, chrząstka zdawała się wracać do przodu małymi drgnieniami.

— Och, dziękuję panu, popłakiwała biedna kobieta.

— No, nie trzeba, nie trzeba, mówił Andreas, robiąc miny, by rozweselić małego. Gdy matka kocha dziecko, Bóg dobry pomaga. To Jemu trzeba dziękować, to Jego jednego należy prosić;... zamiast plotkować z kumosz-kami; niech pani czyni to samo za każdym razem, gdy mały uśnie. No, do widzenia; a jeżeli to nie pomoże, to mój przyjaciel doktor jest tutaj.

I gdyśmy zostali sami:

— Miałeś pan rację, rzekł mi; to, rzeczywiście, alkoholizm; ale lepiej, żeby kobieta ta nie gardziła swym mężem.

— Chodźmy do stołu.

V

Nie mieliśmy trzech minut spokojnych w czasie tego śniadania. Cały szereg odwiedzających przerywał nam bezustannie: robotnice i robotnicy przybiegali, prosząc o radę, zanim

świsstek fabryczny nie przywołał ich do powrotu.

Przekonałem się niebawem, iż, jeżeli wśród wybranych towarzystwa i inteligencji Andreas posiadał niewielu tylko wielbicieli, to pomiędzy prostym ludem miał przyjaciół licznych i żarliwych. Często szopa była przepelniona.

Był tam złośliwy katar, rana, sprzeczką z nadzorcą, kłótnia z szefem lub syndykatem. Andreas zdawał się wiedzieć o wszystkim: znał fabryki, inżynierów, drobniejszych przemysłowców, członków towarzystw pomocy wzajemnej, sekretarzy komitetowych; mówił wszystkimi gwarami; porozumiewał się z mularzem, mechanikiem, lub monterem, jakby należał do ich zawodu; pojęcia tego środowiska były mu bliskie; wiedział, jak poruszyć serca i uspokoić zapalone głowy; unieszkodliwiał plany zuchwałych; rozmawiał o sprawach, dotyczących żon, dzieci i wycieczek zamiejskich. Niejedno ognisko domowe zawdzięczało jemu jedynie, iż sobotniego wieczoru ojciec wracał rażny na nogach, przynosząc nienaruszony prawie zarobek tygodniowy.

— Co pan czynisz, spytałem, by ci ludzie słuchali pana? Gdy byłem w szpitalu, zadawałem sobie wszelki możebny trud, by ich zadowolić, a raczej, aby ich czem nie urazić; najlepsi z nich najtrudniejszymi bywali do

powodowania; z małymi łotrzykami robiło się, co się chciało.

— To całkiem proste; żyłem z nimi; pan należysz do klasy posiadającej; tysiąc odcieni was rozdziela; nie wyczuwasz ich, i to właśnie przeszkadza panu do ich zrozumienia; jest to zkadina ta sama zaporą, która zamyka przed nami wszelkie dziedziny życia: niemożność wyjścia po za siebie.

— A jednak przyswojenie sobie metafizyki czyż nie jest tem samem, czem przeniknięcie stanu duszy?

— Być może, lecz, wie pan, ja nie znam się ani na metafizyce, ani na psychologii.

Spojrzałem na Andreasa, myśląc, że drwi, lecz tak nie było; nie uśmiechał się on; mówił poważnie. Ciągnął dalej.

— Rozumieć i wiedzieć, to nie to samo co pojmować lub postrzegać; to znaczy ująć coś do głębi, zrodzić się z tem, zestroić, ucieleścić z pomocą całego zasobu umysłowego, estetycznego, a nawet fizycznego. Jeśli chcesz pan wiedzieć, czem jest rzemieślnik, trzeba, żebyś został rzemieślnikiem, i to bez zastrzeżeń; bez tego, stał byś się tylko wykołajeńcem. Nie jest to łatwem. A więc przynajmniej idź między robotników, zdaj sobie sprawę z tego, co oni myślą, czują, bez żadnych zgóry powziętych idei.

— Tak, jest to to, co prywat-docenci nazywają: obserwować obiektywnie?

— Tak, jeśli pan chcesz.

— Zdaje mi się, że wynalazcą rzeczywistym tego jest Abailard?

— Mniejsza o to; pamiętajmy tylko, iż, aby poznać w sposób zupełny, trzeba móżdż wyrzec się całkowicie równania osobistego, temperamentu i indywidualności. Przy medytacjach systematycznych można to osiągnąć w umysłowości; Brahmani tak twierdzą; Jezuici dochodzą do tego na swój sposób także, tak mi się przynajmniej zdaje. Lecz jeśli zważymy, iż intelekt ciągle się odmienia przez zmiany fizyologiczne, magnetyczne, uczuciowe duchowe, doprowadza nas to do szukania innego organu poznawczego, bardziej centralnego i wyższego. Tym organem jest „serce”; żadna rzecz nie może być poznana, jeśli się jej pierwej nie kocha. I ten tylko jedynie otrzymuje wiedzę doskonałą, kto jest „ubogim w duchu”, prostym aż do jedności, wyzutym aż do nagości i pokornym aż do mienia siebie za zero.

— Czyżby tedy Ewangelia zawierała systemat logiki?

— Tak jest, pomiędzy tysiącem innych rzeczy. Ale wróćmy do naszych robotników. Mają oni, zwłaszcza robotnicy paryscy, wiele

miłości własnej; nie wiedzą oni, że są glebą tak bogatą, skąd wyrastają drzewa silne i kwiaty urocze; wiedzą oni jedynie, że są na dole drabiny, i że wszyscy od wieków depcą po nich. Otóż, od czasu do czasu tereny wymagają pługa. Robotnicy wiedzą dobrze, że mają tylko nie wiele oświecenia i nie wiele wychowania; nie lubią oni jednak, by im o tem mówiono nawet zwykłym spojrzeniem. Nie chcą oni, by traktowano ich, jak paryasów. Przy pierwszym zetknięciu się z panem, stawiają się sztorcem, są niezbitnie przekonani, że się nimi gardzi, iż nie mają oni kołnierzyków przypinanych, lub iż się wyrażają niepoprawnie. Jest to podobnie, jak ich wstręt do szpitala; wyobrażają oni sobie, że, ponieważ nie płacą, czyni się nad nimi doświadczenia; będą woleli opłacić pierwszego lepszego lekarza, którego przepisów zresztą nie wykonają. Nadzorca jest zawsze zmorą zakładu, ponieważ jest on robotnikiem z urzędu, władniejszym, niż inni; prócz tego schlebia on pracodawcy; dmie on w jego słabe strony, zwłaszcza w ochocie do robienia oszczędności.

— Jakto, przerwałem, pan zdajesz się ganić oszczędność?

— Gromadzenie bogactw nie jest zapisanem w prawach Nieba. Zkądinąd pracodawca nie ma także racji; jest on zbyt często

chciwy na zysk, bez miłosierdzia; ma on prosić swych robotników za maszyny; drobny majster zapomina, że on był także jednym z tych robotników, którym urąga każdodziennie; w sercu jego umiejscowiła się kasa ogniotrwała, i gra on na małą stopę rolę tyrana. Tak więc, nieufność niepokonana rozdziela dwie kasty; każda jest przeświadczoną, że inna ją wyzyskuje. Troski dyrekcyi jątrzą naczelników; niezgody syndykalistów podtrzymują złe usposobienie proletaryatu. Syndykalizm nie wyświadcza prawdziwych przysług, gdyż jest on karykaturą braterstwa: gruntowany on na materji, duch rozdziału i intrygi ożywia go; roi się tam od faworów. Żeby ugrupowania te dały owoce społeczne, jakich się od nich można spodziewać, potrzeba, by członkowie ich mogli się złączyć w jednej idei ogólnej; lecz ileż wieków trzeba będzie, by rozprzestrzenić w masach tę dążność do wyrzeczenia się indywidualizmu na korzyść zbiorowości.

— Tak iż narazie?...

— Niech każdy czyni w swym zakresie, co uważa za najlepsze. Najlepiej jest iść do ludu bez frazesu, za pan-brat. Zresztą, gdy się chce, żeby ci wyżsi przyszli do nas, trzeba, byśmy sami naprzód zstąpili do niższych. I możesz pan być pewien, że, jeżeli w dyskusji powstrzymamy się od osobowości, jeżeli odsuniemy

sądy zgóry powzięte i jeżeli prosić będziemy Nieba, to Ono natchnie nas słowa dobre, kojące i sprawiedliwe.

VI

Rozpoczęte w ten sposób śniadanie skończyło się bardzo późno; miałem naznaczone widzenie; musiałem odejść. Za następną wizytą, Stella zwróciła rozmowę na temat metafizyczny.

— Pogląd mój na to ustalony, rzekła, uśmiechając się; lubię jednak bardzo słyszeć dyskusję nad tem, jakkolwiek jestem bardzo nieuczona... albo może iż... Poprzednim razem krytykowałeś buddyzm, doktorze; a brahmanizm czy znalazł łaskę u ciebie?

— Nie przypuszczam, by buddyzm ucierpiał gorzej od mych krytyk, niż brahmanizm od tych, które teraz wypowiem. Proszę panią o jej ocenę:

Wedy dają do zrozumienia, że człowiek zawiera, w miniaturze, obraz tego wszystkiego, co istnieje we wszechświecie. Jak w jednym, tak i drugim, istnieje zasada ośrodkowa, punkt, o który zaczepiają się z możliwościami różnymi układy każdej z dwóch maszyn. Punktem tym w człowieku jest Atma, wierzchołek nieświadomości wyższej; pociąga ona umysłowość

(mental). Ta zaś może, zdaje się, przywłaszczać sobie układy następne nieświadomego; powiększać, pogłębiać, oczyszczać w ten sposób sferę świadomą aż do Atmy: taki jest cel, jaki zakładają sobie wysocy Yogowie.

— Wszystko to jest całkiem dokładnie, odrzekł Andreas. Wiesz pan, że Gupta Widya posiada, pomiędzy wszystkimi wiedzami, własność osobliwą komplikowania materiału wskutek złożoności intelektu, który asymiluje. Ich podręczniki autentyczne, te przynajmniej, którem czytał w pieczarach, są jedynie spisami rzeczy; najbardziej szczegółowe nie liczą ponad dwadzieścia stronic; zrobione są one z tych liści palmowych, sporządzonych w szczególny sposób, by się nie niszczyły; są to skróty pamięciowe; uczeń sam musi znaleźć sposób przyśwojenia osobistego każdego prawidła ogólnego. Lecz ja przeszkadzam panu w jego dalszym rozwinięciu wykładu; proszę wybaczyć, dobiegłem już wieku, w którym lubi się mieć życzliwego słuchacza.

— Jestem pewien, że zawsze liczne wyciągnę korzyści z tych wspomnień, które pan zechce mi opowiedzieć; teraz prowadzę swój wykład dalej; zdaje mi się, że ulżę swemu umysłowi, gdy wypowiem moje wątpliwości. Oto co, o ile mi się zdaje, wyrozumiałem z Radża-Yogi; proszę mnie zatrzymać, gdy będę

w błędzie. Ujmuję kamień; wrażenie dotknięcia potrzebuje minimalnej cząsteczki czasu, by się przejawić; ruch powrotny samowolny, za pomocą którego pozostawiam rękę lub ją usuwam, wymaga około trzydziestu trzech tysięcznych sekundy do wytworzenia się. Yogi stara się uświadomić sobie dwa prądy i zjawiska mózgowe, jakie zachodzą w krótkim międzyczasie, o którym mówię. Jeśli dojdzie do odróżnienia świadomego nerwów, wzdłuż których przebiega wrażenie i refleks, komórki mózgowe wzruszone i odmiany ideacyi, wówczas skontroluje prawie swój mental; to jest, iż umysłowość (mental) nie będzie już związaną z mózgiem, i będzie ona mogła być przeniesioną na jakikolwiek inny punkt ciała. Yogi będzie mógł widzieć końcami swych palców, słyszeć oczami i tem podobnie. Musi on rozpocząć zabieg podobny dla wrażeń hyperfizycznych, dla myśli i faktów pamięci, dla samego pierwiastka myślącego i wreszcie dla pojęcia swego ja. Doszedłszy w ten sposób do stanu oderwania się biernego, gdzie przebywa szczyt świadomości, rzuci się na doświadczenia nie do opisania, które uczynią z niego „wyzwoleńca“.

— Całkiem dokładnie, przerwał Andreas, a przynajmniej według mych prób osobistych.

— A więc, ciągnąłem dalej, rozpocząłem tę pracę, osiągnąłem pewien stan bezposta-

ciowy mentalu; zbliżyłem się do monoideizmu, czułem, że go prawie osiągam; a wtem, za każdym razem zapora odrzucała mnie do zgiełku zwyczajnego.

— Tak, jest mur.

— Słusznie; lecz czy mur ten jest opatrnościowym? czy mam go przebyć, czy go zburzyć? czy to ja sam go zbudowałem uprzednio? Czy też mój przeciwnik? czy przyjaciel?

— Nie mogę ci tego powiedzieć, doktorze; trzeba, byś sam w tem przejrzał; możesz zburzyć ten mur, lub go obejść, lub przeskoczyć przezeń, albo się podkopać pod niego; lecz nie próbuj jeszcze niczego; czekaj; te ćwiczenia stosują się jedynie do kilku twoich władz; popełniasz ten sam błąd, jaki popełniają nowicyusze atleci, którzy rozwijają mięśnie piersiowe albo swoje bicepsy, nie dbając naprzód o rozszerzenie klatki piersiowej, ani o wzmocnienie serca.

— Tak jest, zawołałem szczęśliwy, żem przejrzał myśl nową. Pański punkt widzenia różni się od brahmańskiego; ale czyż znasz pan tedy zasadę bardziej ośrodkową, niż intelekt i która nie należała by do nieświadomego? Czy księgi hinduskie mieszczą wszystkie „księżyc mentalny“ ponad „słońcem życiowym“?

— Słusznie, dla świata, gdzie one obcują, ale my—my mamy coś innego.

— Co tedy?

— Czytałeś pan nazwę tego tysiąc razy, doktorze, i byłeś wtedy dzieckiem...

— Lecz w jakiej książce?

— W Ewangelii, słodko i cicho rzekła Stella; Jezus mówi bez przerwy o naszym sercu.

— Serce nasze, serce, odpowiedziałem; to symbol, to figura retoryczna.

— O, nie, o, nie, rzekł Andreas z mocą; nie masz w Ewangelii symbolów, prócz dla tych, którzy żyją w królestwie przenośni. Co znaczy słowo w obliczu aktu? Czem system wobec faktów? Czem wiedza wobec mocy? Poznanie zjawiska do głębi wymaga, by go doświadczono uprzednio tysiąckrotnie.

— Ależ to upadek nauki wygłaszasz pan. Czyż wyczerpałeś już tyle nauk? Posiadasz-li pan niepodejrzane moce działania? Jeżeli mówisz pan prawdę, zwałą się wszystkie moje marzenia; pozostanie mi zapomnieć o moich książkach, o moich hieroglifach, o moich liczbach, o moich szematach; stracę dwadzieścia lat studyów; będę rozbitkiem?

— Doktorze, i ja także podlegałem zwątpieniu, odparł Andreas tonem serdecznym; byłem w rozpaczach aż do tego stopnia, że brakło mi już łez; a jednak powinienem był być podtrzymywany przez dumę, przez wielką dumę, przez dumę, żem wdrapał się na pochyłość,

na którą od wieków nie zapędził się żaden europejczyk. Dzisiaj wiem, że to nie własnymi siłami dopełniłem tego wejścia. Ale wówczas wierzyłem jedynie w siebie; nieszczęścia waliły się nad moją głową, lecz nie zmusiły do ugięcia jej; nie przestawałem nigdy iść naprzód; prześcignąłem wszystkich mych współuczniów; i naraz uczulem się samotnym. Mistrzowie moi byli bezlitośni; jeżeli upadnie, myśleli oni, będzie to dlatego, że jest on za słaby, by wznieść się wyżej, i my tracilibyśmy tylko siły na podtrzymanie go. Tylem się nauczył, tyle widziałem, tyle walczył, rozwiązałem tyle zagadek sprzecznych, że dobro w mych oczach nie odróżniało się ode zła, ani strona prawa od lewej. Był li Bóg? był li dyabeł? Czy stworzenie jest uczynione z ładem, czy jest ono chaosem? Ja sam czem jestem? Niewolnikiem, czy wolnym? Co będzie ze mną? Czy upadnę? Czy to nicość czyha na mnie? Czy wieczność chwalebna gotuje się? Roztrzaskając w ten sposób me prace, me podróże, me rozmyślania, przechodziłem bez odpoczynku od obawy do znużenia. Te filozofie, te dialektyki, te teologie, te tajemnice praktyczne, jakich doświadczyłem, jady, obecności straszne i upiorne, przywodzące do rozpaczki zdania tych, co się wyleczyli ze wszelkiego złudzenia: co o tem wszystkim wnioskować? Spostrzegłem w ekstazach

wtajemniczeń formę bogów Przyrody i Nauki; jak budowniczy mostów Kiplinga, pijany opium tajemnem, nieraz chwytałem rozmowy tajne tych istot strasznych; z tego wszystkiego pozostawało mi jedynie znużenie nieskończone. Co czynić? Jak adepci Benaresu, mam li żądać od materyi, pomimo wszystko, zwyciężkiej, filtrów zapomnienia?

Podbity tonem przeżytych tych zwierzeń, słuchałem całą duszą. Znalazłem wreszcie człowieka, który nie mówił rzeczy ze słyszenia; znalazłem prawdziwego człowieka doświadczenia! Przewidywałem kres mych długich szukań-po omacku, kosztowałem nadziei, jasnej nadziei, zorzy nareszcie! Tymczasem Andreas spokojny palił dobrodusznie długą swą fajkę flamandzką, brunatną i gładką, jak bambus do opium, i ciągnął opowiadanie w te słowa:

— W czasie tego przełomu wewnętrznego miałem prócz tego powód do obawy o me bezpieczeństwo osobiste, chociaż wszystko zdawało się być spokojnem wokoło mnie; wiedziałem, iż urazy wschodnie straszliwie są cierpliwe i mądrze zarządzane; obudziłem pewne niedowierzanie. A oto w jaki sposób. Gwiazda moja sprzyjała, bym został przyjęty do wszystkich niemal stowarzyszeń ezorerycznych muzułmańskich, hinduskich i chińskich: tantricy sziwaici, czarodzieje jawajscy, czerwone czapki z Bhu-

tanu, górale z Nanhanu wtajemniczyli mnie w swe magie; znałem narzecza zaginione, obrzędy, które się szepczą do ucha, przedmioty straszne, które się zdobywa jedynie drogą zbrodni, kamienie i trawy rzadkie, których poszukiwanie wymaga miesięcy włóczęgi; zamieszkiwałem pustelnie, ukryte w głębi lasów; widziałem przyprowadzanie trucizn wyszukanych, napojów czarodziejskich, którym nie można się oprzeć; towarzyszyłem strzelcom nieulekniomym, którzy wąż się wyrywać dzikim bestyom pazur, ząb, lub sierść, przez rytuał odrzucane, gdy pochodzą od zwierzęcia martwego. W dymie ofiar, w oparze krwi wytoczonej wielokrotnie ukazywały mi się formy potworne bogów z Za-świata; sny moje były często macone wzrokiem złym ironicznym tych istot, wobec których najsilniejsi i najroztropniejsi z ludzi są tylko pigmejczykami. Wywoływacze zręczni, którzy, dzięki obliczeniom sprzyjających warunków odpowiednich, zatrzymują chwilę tych tytanów i wydzierają z nich odpowiedź, są przedmiotem ich drwin i służą im często, jako zabawki.

Mogłem się stopniowo przekonać, że jedynie teoria magii jest nauką dokładną; praktyka jej obfituje w możliwość błędów; zbyt wiele danych pozostaje w niej nieokreślonych. Kto

chce wyrwać przyrodzie siłą jakąś moc nieznaną, rzuca się w uścisk Przeznaczenia, i jego szranki, jeżeli nawet zwalniają na chwilę kleszcze, stają się w końcu dla niego bardziej niezbłaganymi i bardziej bolesnymi. Potrzeba dla wszelkiego dojrzewania czasu, od początku wyznaczonego. Jeżeli człowiek ma w sobie pragnienie wszystkich mocy, to znaczy, że posiada on ich zarody. Lecz nadto niecierpliwy, wykluwa on je sposobami sztucznymi, i otrzymuje jedynie rośliny wątłe, przeznaczone na zgon przy pierwszych podmuchach huraganu... Wnioski te wydały tedy wyrok na prace mej młodości; należało mi lub zamknąć wzrok na oczywistość, lub rozpocząć wszystko na nowo.

— Jestem zdumiony, rzekłem, słysząc, jak mi pan wyjaśnia moje własne położenie; ileż to zadałem sobie trudu, szukając zdala i po ciemku prawdy, prostej, promiennej i całkiem bliskiej!

— Wszyscy to samo czynią, doktorze; pociesz się. Musi być bardzo trudnem uniknąć tej pokusy tajemnicy; pamiętam bowiem, że już w samym początku mego pobytu w Indyach, adepci, do których się skierowałem, uprzedzili mnie lojalnie. Wyjaśnili mi, że nie mam racji szukać wdali symbolów obcych, podczas gdy rodzima moja religia dostarcza mi cudownych; zapewnili mnie, iż Mistrzem na-

szym ciągłym, dla nas Europejczyków, jest Jezus, i że oczekiwanie tych, którzy mu się ufnie oddają, nie może być zawiedzionem. Chowałem tedy słowa te przez ciąg lat w mej pamięci, „nie rozumiejąc ich“. O! jak człowiek nie ma racyi, że nie próbuje żyć z zapomnieniem o sobie i moralnie, i intelektualnie! Gdy ci brahmanowie mówili mi w ten sposób, gdybym odłożył na bok myśl zgóry powziętą, iż pragną mnie wywieść w pole, dwie te minuty przytomności ducha dały by mi w zysku lata, które już nie wrócą; o, tak, miałem słabość żałować nieraz tej straty.

— Słabość? zapytałem nieco zdziwiony.

— Ach, tak, jest to słabością wierzyć, że coś było nieużytecznem.

— A teraz co myślisz pan o przestrobach brahmańskich?

— Uważam je za słuszne.

— Tedy należy iść za swą religią. Należy iść do kościoła i być w Kościele.

— Należy postępować według swego sumienia, oświeciwszy je, jak można najlepiej.

— Istotnie, człowiek miał sumienie, zanim był jaki ustrój kościelny... Tu Andreas przeczytał niewątpliwie w mej myśli, gdyż przerwał mi z uśmiechem:

— Doktorze, nie zabłąkujmy się; nie jesteśmy biskupami, ani pan, ani ja: nie do nas

należy sądzić księży, ni ich teologii, ni ich kazuistyki. Jeżeli wierzysz pan w Chrystusa zawsze żywego, idź pan za Jego słowem: wystarczy ono na wszystko.

Ton, z jakim Andreas wymówił ostatnie te wyrazy, zdał mi się szczególnym, niepokój ogarnął mną; powtarzałem prawie mimowolnie:

— Chrystus zawsze żywy?

I spostrzegłem nagle, z pewnym przestachem, skutki nadzwyczajne, jakie mogła mieć podobna hipoteza. Słowo bowiem Andreeasa wrażało się swym akcentem stanowczym; nie iżby był on mówcą, wyrażał się on w sposób najzwyczajniejszy: lecz poza jego rozprawami zwykłemi, nawet bez podkreślania ich gestem ani spojrzeniem, postrzegałem coraz bardziej to światło tajemnicze, bardzo łagodne, lecz bardzo mocne, zwiastuna prawdziwego Obecności nadprzyrodzonych. Dwoistość ta zbijała mnie z tropu: nieśmiałem zadawać mu pytań wyraźnych o jego stosunkach możliwych z Dezyderyuszem albo z Teofanem; okazał bym się naiwnym, gdyby mnie zechciał zmylić; lub niedowierzącym, gdyby był szczerym; czekałem, aż czas rozwiąże te niepewności; były one bolesne, bowiem cała sprawa mego życia rozgrywała się w ciągu tych dni.

Po pauzie, rozmówca mój, począł jakby mówiąc do siebie.

— Tak jest, w jakim bądź świetle rozważam, czyni i słowa tej istoty boskiej, mogą jedynie litować się nad wyobrażeniami nieprzystojnymi i nad głupstwami, jakie o niem ludzie napisali. Brahmanowie sami wzruszali ramionami, gdy m rzekli im, iż wielu spirytualistów zachodnich wierzy we wtajemniczenia Jezusa, u Essenczyków, u Egipcyan, lub u Lamów; że spirytyści wyobrażają go sobie, jako magię, magię czarzy — jako du Potet'a w pierwszej edycji; okultysty — jako maga; że niemają oni wszyscy, iż dosięgli Jego wysokości, nie liczących, którzy się stawiają ponad Niego, bowiem przysłali dwa tysiące lat później!...

— Ach, tak, przerwałem, słyszałem, jak wygłaszałeś fałszywe słyny...

— Nie cytuj panna nazwisk, doktorze; nie sądzimy, porównujemy jedynie, odparł mi powstając. I o to uczymy się od tego Chrystusa głębokiej wyrozumiałości; „Ojcze, przebac im, bowiem nie wiedzą, co czynią“.

WII

Dwa miesiące upłynęły już od pierwszej mojej bytności; w początkowych zaraz tygodniach, Andreas przysłał mi klientów ze swej dzielnicy; i chociaż była to prawdziwa wy-

prawa, chętnie odwiedzałem tych jego chorych, gdyż dawało mi to pretekst do widzenia się z nim samym.

Pewnego ranka, kończywszy wizytę, zmierzalem do niego; zawróciwszy na drogę, tęże już ulicy, zatrzymałem się przed bramą, jak torej właścicielkę miałem w opiece lekarskiej. Naturalnie, znalazłem całą gromadkę pracowników, dzielnych dziewcząt, które wynosiły w swą młodość we mdłych oparach bielizny i we wstrętnej gorącej rozpalonej piecy, cały ten światek gadatliwych i filuternych, ale dzikich, przyjął mnie serdecznie; było mi dozwolone uciąć rozmówkę i za fundować od czasu do czasu pieczonych kasztanów w zajął niecztery sous. W poprzednim tygodniu uprzedzono mnie, iż zbliżały się imieniny uczennicy Wy-szedłszy więc dzisiejszego ranka na przedmieście Temple, zakupiłem sprawunek ze wspólnego pierścionka markizy, rubin ze szkła i sklefony, który straganiarz odstąpił mi za wie za skromną sumę czterdziestu dziewięciu sous „zamiast siedmiu franków pięćdziesięciu“.

Wszedłem więc do praczek i pierwszej ofiarowałem pierścien, a następnie, za pozwoleniem gospodyni, wzięła je za rękę, ommienie prośbami o poradę na różnego rodzaju bóli, a w międzyczasie odwiedzałem się wielokrotnie

czy o żonie policyanta, o pracowniku biura municypalnego, o zamiataczu ulic i tak dalej.

— I jeszcze co, wie pan? pana przyjaciela, pan Andreas gości u siebie chińczyka, przyjechał on wczoraj wieczorem; jakżeż się go przestraszyłam; wszedł tu, pytając o drogę; jeszcze się u mnie nie świeciło; nie mówi dobrze po francuzku, ale to piękny mężczyzna.

— To nie chińczyk, nie ma przecież war-kocza.

— Ależ tak, ma twarz żółtą.

I tak dalej w kółko.

Uciekłem, jak tylko było można, i, aby nie wpaść, jak intruz, do Andreasa, zaszedłem pierw-
wej na śniadanie do handlu win. A później
około drugiej godziny zjawiłem się u Andreasa.

Ów jego „chińczyk“ był to wspaniały hindus w turbanie, brodaty i prosty, jak kolumna; widocznie należał do wysokiej kasty Kuhu; po należytej prezentacji raczył ująć nieco ze swej potrójnej dumy: aryjczyka, arystokraty i kapłana; gawędziliśmy dosyć swobodnie, skacząc z przedmiotu na przedmiot; kultura angielska, archeologia, medycyna, astrologia, epigrafia, agnostycyzm, monizm, służyły nam, jako przyczynki, do wytworzenia sobie jeden o drugim jaknajlepszej opinii. W przerwach Andreas wtrącał swoje uwagi; wreszcie hindus zaczął głosić chwałę Wiedzy nad

Wiedzami, Radża-Yogi. Była to zresztą przyjemność słuchać go; był raczej opowiadaczem, niż krasomówcą, ale z taką swobodą i z takim dobo-rem słów, z tak szczęśliwemi połącze-niami idej, iż, zdawało się, śledzenie roz-wijanego przez niego przedmiotu nie znuży nigdy. Fakty, teorye, obrazy wiązały się, przeciwstawiały i łączyły bez końca; był to wątek świetny, tworzywo sute, jak na murach świątyni fryzy rzeźbione, splatające w jedno: rycerzy, potwory, duchy dobre, bogów i bajadery — z takim przepychem obfitującym, iż mózg obcującego pogrążał się w rodzaj sen-nego marzenia, przerywanego chwilami, na którego łonie wszystko zdaje się łatwem i możebnem, wszystkie tajemnice wyjaśnio-nemi, a wszystkie utopie rozsądnemi.

I tak słuchałem brahmana, gdy Andreas przerwał, mówiąc:

— Tu pozwolę sobie przerwać gościowi, aby mu zadać jedno pytanie, a i drugie w dodatku.

Gdy człowiek Wschodu przyzwolił, Andreas mówił dalej:

— Jeśli mnie pamięć nie myli, księgi wasze nakazują, aby nigdy nie przedsiębrać żadnej z praktyk Yogi, zanim się nie przejdzie sku-tecznie dwóch systemów ćwiczeń moralnych; bez czego wszelkie ćwiczenia praktyczne

stały by się niebezpiecznemi, a może nawet śmiertelnemi dla nierozważnego ucznia?

— To, co pan mówisz, jest słusznem, przytwierdził kapłan.

— A więc może zechce pan dać nam nieco szczegółów, odnośnie do tych przygotowań.

— Nie nauczę pana niczego, jak również i jego szanownego przyjaciela, powiadając, iż chodzi tu o dziesięć zachowań i dziesięć oczyszczeń. Oto pierwsze:

Achimsa, które polega na nieprzyczynianiu żadnego bólu ani myślą, ani słowem, ani czynem żadnej istocie żyjącej.

Satya, które polega na mówieniu zawsze prawdy, pojęciem, słowem i gestem.

Asteya, które jest obojętnością na posiadanie czegobądź, pojęciem, myślą, słowem lub czynem.

Bramatczarya, które jest czystością ciała, słów i myśli.

Daya, które jest uprawą dobroci względem wszystkich tworów, nawet względem demonów.

Arđawa, które jest równością usposobienia w spełnianiu wszystkich czynności poleconych i w powstrzymywaniu się od wszystkich czynności zabronionych.

Kszama, które jest cnotą cierpliwego znoszenia wszystkich rzeczy przyjemnych czy nieprzyjemnych.

Dhriti, które jest zachowaniem stałości niezachwianej zarówno w nieszczęściu, jak i w szczęściu.

Mithaara, które polega na odżywianiu się zdrowymi pokarmami, których objętość równa się czwartej części pojemności żołądkowej.

I wreszcie Sanca, które jest oczyszczeniem ciała za pomocą obrzędów religijnych i oczyszczeniem serca przez odróżnienie abso-lutu i względności.

— Powiedz nam pan również dziesięć formuł drugiego rzędu, prosił Andreas.

— Oto są one, ciągnął hindus.

Naprzód: Tapas: pokuta cielesna umiar-kowana.

Santhosza, która polega na tem, by być zadowolonym ze wszystkiego i mieć za wszystko wdzięczność dla Boga.

Astikeya, która jest przyjęciem doktryny wedyckiej o zasłudze albo przewinieniu.

Dhana, miłosierdzie, czynione osobom zasługującym.

Iśwara-Pudża, kult należny Panu, wedle obrządków.

Siddhanta-Srawana, wiedza filozofii religijnej.

Kriti, wstydzic się błędów religijnych lub świeckich, jakie się popełniło.

Mathi, zachowywać przepisy ksiąg świętych z wiarą i miłością.

Dżapa, odmawiać modlitwy codzienne; i wreszcie Wrata, powstrzymywać się od czynności zabronionych przez prawidła kapłańskie.

— Tak tedy, zapytał Andreas, jedynie gdy uczeń stał się niezdolnym do uchybienia któremuś z tych nakazów, jest on zdatny do prac praktycznych Yogi?

— Tak jest, panie, odrzekł Nadżendra-Nath (takie było imię tego człowieka Wschodu). Taką jest doktryna czysta starożytnych Rishi'ów; lecz nowatorowie współcześni zapominają o niej lub kaleczą ją.

— Wiem o tem, brahmanie, rzekł Andreas; proszę mi wybaczyć, żem zniewolił pana do dania tych wszystkich szczegółów, były one pożytecznymi do poznania dla naszego przyjaciela, doktora. I położył nacisk na wyraz: naszego.—Co do mnie, odcyfrowałem ich tekst szanowny w mej młodości... właśnie przed dojściem do szesnastego roku;... i lektura ta pochłonęła mię zupełnie przez dwadzieścia jeden dni i dwadzieścia jedną noc.

Spojrzenie kapłana zaiskrzyło się przez mknienie pod jego długimi znużonymi powiekami; ale oto ze zwykłym akcentem grzeczności światowej zapytał:

— Byłeś pan tedy w mojej ojczyźnie, panie? Jakie prowincje zwiedziłeś pan tam?

— Wiele, odrzekł łagodnie Andreas; szukałem bowiem kamienia, który znajduje się w głowie jelenia.

Tu muszę powiedzieć, że lud w Indyach przypisuje hypotetycznemu temu kamieniowi własność niezawodną przeciw ukąszeniu węzów; i ważne braterstwo tajemne, dając wierzeniu temu znaczenie symboliczne, uczyniło ze zdania, jakie Andreas wygłosił, znak swój rozpoznania.

— W istocie! odrzekł brahman, tym samym tonem biernej uprzejmości; mam taki kamień; mam również flet o siedmiu dziurkach dla czarowania węzów kobra.

— Kraina pańska bogata w osobliwości, rzekł Andreas; i powstawszy, żeby wziąć fajkę, pozostał, stojąc ze skrzyżowaną prawą nogą na lewej; i dodał:

— Właśnie jeden z pańskich współziomków, starzec, który chodził, wspierając się na bambusie, podarował mi Winę (lire), której dźwięki czarują nawet szare żmije; było to, jeżeli dobrze pamiętam, w królestwie Udh około Rudrapury.

Tu Nadżendra zdał się utracać swoją obojętność, ponieważ replika ta Andreasa była właśnie zdaniem, przez które członkowie wędrujący Agartty dają się poznać swym niższym.

Jednak, ze względu na moją obecność, kapłan poprzestał tylko na powstaniu, składając ukłon.

— Proszę, rzekł Andreas, ponownie siadając, niech pan siedzi. Powróćmy do naszej rozmowy. Pozwolę sobie na kilka uwag, które pan zaraz zrozumie, jeżeli tylko zechce zapamiętać przez kilka minut, kim jesteś i jacy byli twoi nauczyciele. Oto, naprzód, gdzie jest człowiek, który by żył na tym podole, nie przyczyniając bólu żadnemu stworzeniu? Zapalka ta cierpi, kiedy ją zapalam; i będzie cierpiała, kiedy ją zgaszę. I jeden mój oddech przynosi w ofierze tysiące małych istot. Prawda wyrażona każe przypuszczać, że się ją zna. Jeżeli znam prawdę, na cóż Yoga? Być obojętnym na wszystko, jest niegrzecznością względem Boga: wszystko, co On nam daje, jest drogocennem, bowiem, jedynie przez najlepsze użycie tych darów czynimy Mu możebnem, by tak powiedzieć, nowe i hojniejsze szczodrości. Zachować czystość? Ależ, gdyby rodzice moi ją zachowali, duch mój pukałby jeszcze napróżno do bram ziemi; i bezczynność ta przymusowa byłaby dla niego męką piekielną. Być dobrym dla wszystkich stworów? Naprzód. Jeden jest tylko dobry; następnie, jeżeli jestem dobry, to — iż osiągnąłem cel; tedy, nie potrzebna Yoga. Pogoda niezamącona? Należałoby na to poddać się wszystkim próbom; wtajem-

niczenie byłoby bezużytecznem; nikt nie może być obojętnym wobec boleści, jeżeli nie przebył jej już „dawniej“: znowu wyluszczenie zasad. Być wdzięcznym Bogu za wszystko, co nam zsyła, nawet za najgorsze cierpienia, może być jedynie człowiek wolny; nie zaś zgoła uczeń Yogi. Co do zachowań obrzędowych, pozostawiam je panu, ponieważ przez to jedno, żeś się pan zrodził na ziemi błogosławionej Bharaty, Wedy zawierają dla pana wszystką prawdę.

Hindus skłonił się i rzekł: „Odkrywasz mi pan horyzont, jak z wierzchołka Meru“. Andreas ciągnął dalej:

— Tak jest; pan, brahmanie szanowny, masz swoją drogę; człowiek żółty ma swoją, również muzułmanin i chrześcianin. Chodzimy sztucznymi szlakami bogini Uludy: strzeżmy każdy swej drogi. Wracasz pan z Ameryki i z Londynu; obsypano pana stosem zaszczytów, odznaczeń, herbatek i mów. Kiedy pan wrócisz wreszcie do swej pustelni, kiedy złożysz ofiary i spłacisz świątyni grzywny niezwykłe, za to żeś się ważył pan, kapłan, porzucić ziemię świętą i mieszkać u Mleczasów, cuchnących zjadaczy krowiego mięsa, obaczysz pan, czy najpośledniejszy z naczelników policji w uniformie khaki na swym koniu australijskim nie zmusi pana do przebiegania

z krańca na kraniec kraju, jeżeli to będzie jego kaprysem, wyzywając pana od murzynów i od idiotów-bałowców. Anglo-Sas mówi o braterstwie, lecz go nie stosuje. Czyż nie widział pan, jak Yankesi „cywilizowani“ obchodzą się z kolorowymi dżentelmenami? Dałeś się pan zahukać, tak jest, zahukać, chociażby nikt tego na chwilę nie mógł przypuszczać, przez piękne słuchaczki Newyorskie, Bostońskie, czy Filadelfijskie, przez piękne towarzyszeki obiadów z Carltonu; mniemałeś pan, że one zrozumiały coś z pańskiej metafizyki? Jesteś pan od ludzi Zachodu oddzielony murem. Niech mi pan wybaczy, że mówię panu te rzeczy tak porywczo: ale trzeba, byś pan był ostrzeżony.

I gdy Hindus, nieco dotknięty, skierował spojrzenie ku mnie:

— Mój przyjacielu! rzekł Andreas; nic nie szkodzi, chodzi on o kuli żebraka.

— Oh! odrzekł Nadżandra z ulgą, wiem dobrze, że najmądrzejsza roztropność kieruje wszystkimi pańskimi czynami; nie mam najmniejszej wątpliwości co do tychże uczuć u tego pana. I oddał mi głęboki ukłon, zaś drugi Andreasowi. Potem rozpoczął długą rozprawę po hindusku, z której nie wiele rozumiałem. Następnym wieczorów, na wyraźne zaproszenie naszego gospodarza, przybyłem słuchać nowych biesiad; on i Nadżandra mó-

wili po francusku, po angielsku, od czasu do czasu chwytalem imię mulły, albo generała rosyjskiego, albo naczelnika muzułmańskiego, i dowiedziałem się tym sposobem wśród dwójga tych ludzi więcej rzeczy o świecie azyatyckim, niż przyznać się godzi, że się wie o nich. Były tam na porządku dziennym: podróż cara, misya etnograficzna japońska, lazaryści, budowa kolei, awantura giełdowa na Strandzie, inne wypadki również nieznaczące były rozpatrywane drobiazgowo; okazano mi ich sprężyny; sprawdziłem raz jeszcze stare powiedzenie hermetyczne: „Wszystko we wszystkim“. Ezoteryzm spotykał się w zbieżnościach wielce nieprzewidzianych; i co za mądrość tych ludzi! Co za głębokość poglądów, jaka zręczność! Stanowczo Andreas musiał być w rzeczy samej bohaterem mego czarnego zeszytu; od tego czasu jeszcze kawał drogi postąpił, mówiłem do siebie; osiągnął cel, zdaje się, że doszedł do ostatnich stopni wtajemniczenia.

Późniejsze me odwiedziny pograżyły mnie w niepewności.

VIII

Nie nowe znaki zapytania, lecz zawsze stare zagadnienia, zawsze stare sprzeczności niepokoiły mnie. Powtarzałem je Andreasowi

z uporem chorobliwym. On słuchał mnie cierpliwie, i opowiadał mi, w rodzaju odpowiedzi, ten lub ów z epizodów swego ruchliwego życia. Otóż opowiadania te, wogóle, zawierały zawsze jakieś słówko, które, chociaż zdało się być wygłoszonem całkiem przypadkowo, wyjaśniało ów z problemów, o którego kąty rozbijały się me rozumowania ciasne. Oto jedna z najpełniejszych tych historii cudownych. Mówi to Andreas. Opowiedział mi ją podczas kilku mych wizyt.

„Zawiązałem, w Paryżu, przed odjazdem, stosunki z korespondentami pewnych hindusów; i wszystko zostało przewidzianem, bym tam miał się zaraz zwrócić do kogo.

Wylądowawszy w małym porcie malabar-skim, miałem przechadzać się w mieście, w ubra-niu kapłana sziwaisty, z pewnym amuletem na kostce ręki. Zaledwie przebiegł dzielnicę hinduską, gdy człowiek z niskiej kasty zbli-żył się do mnie i dał się poznać. Zaprowa-dził mnie do wioski. Tam wózek lekki przewiózł nas do Ghattes, skąd poczęliśmy wstępować w górę koło wieczora. Uciążliwa droga nie-pozwalała mi napawać się ani świeżością nocy, ani pogodnością pejzażu. Ciernie, kamienie, niejaka również obawa dzikich zwierząt i owa-dów jadowitych pochłaniały całą moją uwagę. Nieco przed wschodem słońca przybyliśmy

na rodzaj płaszczyzny granitowej, pokrytej trawą twardą i spaloną, na której garbiło się, co pewna przestrzeń, kilka kup kamieni, ułożonych wkrąg. Przewodnik mój skierował się ku masie skalnej, pośrodku jednej z nich, która była nieco podobna do kamieni, wznie-sionych w Cornouailles. Zaledwie miałem czas rzucić przelotne spojrzenie na wspaniały wschód słońca na morzu z prawej strony ode mnie, gdy już musiałem zabrać się do pełzania pod sklepieniem, utworzonem przez te kamienie. W końcu dotarłem do jakiejś dziury, i tam poszedłem za moim przewodnikiem; potem korytarz spadzisty powiódł nas do jakiejś skrytki, gdzie płazy pełzały pośród białych kości. Hindus gwizdnął, by usunąć węże, i po-stąpiwszy parę kroków, wydostaliśmy się na wąski wąwóz: widok skraju nieba błękitnego zrobił mi, wyznając, przyjemność.

„Weszliśmy do nowego tunelu, dość krót-kiego, i wydostaliśmy się wreszcie na wolne powietrze, z widokiem wstrząsającym na miasta w zwaliskach. Panditowie utrzymują, że Dekkan zawiera wiele miast umarłych, zniszczonych przez kataklizmy lub wojny. Dowiedziałem się później, że to miasto było jakgdyby odosobnio-ne przez trzęsienie ziemi, które, usuwając skały, wyłobiło dokoła krąg urwisk, a ich ściany gładkie przeszkadzały wszelkiej pokusie zejścia

na dół. Pozycja tego grodu, na przeciwnym poziomie płaszczyzny, na którą się dostaliśmy, i natura kredowa gruntu, zgromadzały wody deszczowe. I przez to ruiny te były okryte przepyszną roślinnością, gdzie gnieździł się tłum małp i ptaków. Był to widok czarodziejski. Szerokie drogi z płytami, łupanemi przez wieki, były obrzeżone zwalonymi pałacami. Tu i owdzie kilka kolumn z różowego marmuru, małe sadzawki, dawniej kąpiele, otoczone balustradami, które bujność roślin niszczyła powoli, schody monumentalne z ich długimi stopniami rozłączonemi: wszystko to zawalone zielenią i kwieciami, rozbrzmiewające koncertem ptaków i skrzeczeniem małp. Orkiestra nadzwyczajna, o zespołach oszałamiających, o zamilknieniach majestatycznych i pełnych tajemnic. Wszędy olbrzymie drzewa, których listowia wspaniałe nie pozwalały ciekawemu, któryby się zabłąkał na wyżynie urwisk otaczających, przejrzeć coś poprzez nie.

„Mój przewodnik uwijał się poprzez tarasy, chwiejące się kolumny i rozdroża, które stały się polankami. Naraz wyrósł przed nami olbrzymi fronton rzeźbiony pagody. Przybyliśmy na miejsce. Zjawił się bramin, który mnie przywitał po angielsku. Ulokował mnie na balkonie galeryi ocienionej, kazał przynieść owoce i napoje rzeźwiące i zachęcił mnie do

kilkogodzinnego spoczynku na łożu polowem. Niespodzianka atoli, oczekiwanie widoków nieznanym, nie pozwalały mi zasnąć.

„Obejrzałem świątynię. Piękność jej budowy, bogactwo szczegółów, wymiar proporcji czyniły ją równą najznamienitszym zabytkom Benaresu i Ellory. O ile pamięć moja lektur tantryckich pozwalała mi wnosić, budynek ten winien być być zbudowanym ku czci Ganesy, boga-słonia. Składał się on z olbrzymiego muru albo galeryi okrężnej, zawierającej pięć innych murów, ułożonych w kondygnacye i koncentrycznych, przeplatanych portalami. Galerya środkowa, najwynioślejsza, była wypełniona przez właściwą świątynię. Ujrzałem później, że zawierała ona trzy ołtarze, pod sklepieniem wspartem na kolumnach masywnych i bardzo ozdobnych. Każdy ołtarz, stanowiący bryłę sześcienną o trzech metrach każdego rzutu, służył za podstawę piramidzie ściętej o pięciu płaszczyznach, nieco wyższej. Dachem był taras elipsoidalny, w którego dwóch ogniskach wznosił się czwarty i piąty ołtarz. Środek tego tarasu, pomiędzy temi dwoma ostatnimi ołtarzami, otwierał się na nawę dolną, dając przejście do ogromnego posągu boga, którego aureola przechodziła całość.

„Zespół płaskorzeźb i fryzów przedstawiał legendę Mahadewy, tak prawie jak ją opisuje

Skanda-Purana. Użytkowano jedynie kamień, nie posługując się ani drzewem, ani metalem.

„Parama-Sziwa i jego dwudziestu pięciu murthi'ch figurowali na pierwszym ołtarzu; na drugim Daksza, pośród Pradżapati'ch, czynił pokutę przed Sziwą, potem zradzał swych synów: pierwszy tysiąc: Haryasuasi; drugi tysiąc Sabalasuasi, którzy rządzą subtel-nemi pierwiastkami świata, inaczej: Tattwas; później sześćdziesiąt swych cór, pośród których jaśniała Uma, małżonka Sziwy. I długi szereg wszystkich tych figur, gdzie każda wyobrażała symbol poszczególnej siły kosmicznej, rozta-czał się na czterech stronach ołtarza, na pięciu bokach kolumn podtrzymujących, na pięciu płaszczyznach piramidy szczytowej.

„Trzeci ołtarz ukazał mi upadek Dakszy i przemianę jego córy, Umy, w osobowość Parwati na górze Himawan; podczas gdy Sziwa w postaci Dakszinamurti stara się na-próżno wtajemniczyć munisów w cieniu drzewa banianowego, a następnie czyni to na szczycie Kailasy. W czasie tego wtajemniczenia Asuro-wie rozprzestrzeniają się na ziemi i popełniają tysiące okrucieństw. Wówczas Mahadewa wy-lania z siebie Humarę lub Subramanię, wojo-wnika duchowego.

„Na tarasie wyższym czwarty ołtarz wy-kreślał wydarzenia narodzin innego syna Sziwy,

Ganesy pokojo-twórcy. Wreszcie piąty ołtarz, według podania Linga-Purany, przedstawiał pięciokrotnego Sziwę wraz z jego dwudzie-stoma dziećmi. To, Sadhodżyata, przez którego życie jest pochłaniane; Wamadewa, który speł-nia prawo i obrządek; Tatpurusza, który utwier-dza stworzenia w wiedzy najwyższej; Aghora groźny, który naucza Yogi; i wreszcie Isana, forma wszystkich form, syntetyzująca Jedność, Rozum, Pokutę, Wiedzę, zachowywanie reguł religijnych i dwadzieścia siedem innych przy-miotów duszy, która dostąpiła wyzwolin.

„Wzdłuż perystylu zewnętrznego pełży węże Wieczności o siedmiu głowach: sym-boliczni stróże tajemnic stali wyprostowani w równych odstępach; słonie święte, dźwiga-cze wiedzy tajemnej i furtyani świątyń, opusz-czały w stronę zwiedzającego swe trąby i kły granitowe.—Cała podpora nikła pod chaosem rzeźbionych postaci demonicznych, osadzonych, według Ksiąg, w światach niższych Niewidzial-nego; za krzewami kaktusów, euforbów i fig kolczastych, domyslałeś się w cieniu oblicz grubo-wargich, zwierzęcych kłów wampirów, Pisatszasoów, Katapulanasoów i Ulkamukhas — Pretas'ów.

Kolumny podtrzymywały długie płasko-rzeźby, gdzie tańczyli muzycy Gandharwasi. Od północy, były obrazy Somy i Indry; od

wschodu, Yakszasów, stróżów skarbów, pod przewodem Kubery i Yakszini, jego małżonki; na zachodzie, armia straszna Rakszasasów pod dowództwem Khadgha-Rawany, rozdawcy zwycięstw. Południe tworzyło wejście główne.

„Bramin, który mnie przyjął, — szczupły i chudy, o wydłużonej twarzy rasowej, o pięknych oczach przezornych prałata rzymskiego, — powrócił do mnie na schyłku dnia. Objaśnił mi, że cała ta stara świątynia, zamieniona na pracownię, była do mego rozporządzenia i że wszyscy w niej mieszkający, z powodu wysokiego dostojenstwa osoby, która mnie skierowała do nich, uważają siebie za mych służebnych. Podziękowałem, według przesadnych formuł dobrego tonu wschodniego, i poczęliśmy obchodzić ją, jako naszą własność czasową.

„Jest pewna postawa umysłowa, co do której proszę pana, byś w niej się zaraz ustalił, rzekł mi mój przewodnik. Jest to, aby się nie spieszyć, uważać, że masz pan wiele czasu przed sobą, i że staniesz pan w obliczu nowości zupełnych. Niecierpliwość, pośpiech byłyby tedy dla pana przeszkodą, nie zaś pomocą“. Przyrzekłem dołożyć wszelkich starań, by osiągnąć ten spokój, który jest, jak to wiedziałem, znamieniem odróżniającem mędrców, do których szedłem po naukę; poprosiłem, by mi zaufano; i przygotowałem się do otrzymania pierwszej lekcji.

„Świątynia ta, rzekł mi treściwie mój przewodnik, jest z rodzaju laboratoryów i z rzędu warsztatów. Nie znajdę więc tu ni rzadkich kamieni, ni drogich esencji, ni przyborów do magii psychologicznej. Uczni, którzy tu pracują, badają tylko to, co Europejczycy nazywają siłami fizycznymi, zaś to za pomocą przyrządów bardzo czułych. Winny one być odosobnione od prądów magnetycznych ziemi i atmosfery; otrzymuje się tę izolację zabiegami fabrykacji ręcznej; zgoda żadnych maszyn; części metaliczne, druty, wszystko to kute bite, płaszczone na blachę, obijane ręcznie z cierpliwością niewiarogodną. Widziałem jednego z tych robotników, kującego bez przerwy sztukę miedzi od wschodu słońca do zachodu młoteczkiem zegarmistrzowskim; nocą zastępował go inny; i robota ta, jak mi powiedziano, trwała już miesiące.

„Uwolnię pana od opisywania mu wszystkich tych przyrządów, których mechanizm rozkładał mi mój przewodnik. Jeden z nich był atoli, którego użytek nieprawdopodobny przechodzi najbardziej niezwykle fantazje romansów naukowych.

„Oprawdzając mnie po tem muzeum maszyn, Sankhyananda — tak się nazywał mój przewodnik — zwrócił moją uwagę na coś w rodzaju wielkiej skrzyni sześciennej, zro-

bionej z materiału żółtego, jak złoto, i przezroczystego, jak szkło. „Oto jest, rzekł mi, Durakapalam, co mógłbyś pan przetłumaczyć na swój język wyrazem: telemobil. Posługujemy się nim do podróżowania po planetach naszego wszechświata materialnego“.

„Otworzyłem szeroko oczy; lecz mój rozmówca ciągnął dalej: „Masz pan tu przed sobą zastosowanie systemu Tattwasów, którego część wasi filozofowie moniści odkryli w teorii czwartego wymiaru. Oto jest łańcuch rozumowań, którymi się posługiwaliśmy“.

„Z całej drobiazgowej fizyki sankhyi, której wykład wtedy usłyszałem, streszczę panu jedynie niezbędne. Posłuchaj pan.

„Jest jedna jedyna substancja powszechna; wszystkie przedmioty są tylko jej formami. Formy te postrzegamy jedynie pięcioma zmysłami; mogą one tedy być szeregowane pod miano zmysłu, jaki je rejestruje. Każdy zmysł jest wrażliwy na pewien rodzaj ruchu atomowego: słuch, wzrok, dotyk, smak, powonienie należą odnośnie do drgań eteru, światła, powietrza, wody albo ziemi, które są zarazem ruchami atomów; eter: ruch we wszystkich kierunkach; światło: promieniowania prostoliniowe; powietrze: wir; woda: ruch równoważący; ziemia: ruch zatrzymujący.

„Prócz tego, każdy z tych żywiołów ma,

jako poszycie, własności innych: eter, prócz dźwięku, zawiera barwę, formę, smak, zapach. Inne zastosowania widzisz pan sam.

„W końcu, każda z tych form kinetycznych jest reprezentowaną w umyśle ludzkim. Wszystko tedy może sobie odpowiadać w pewnych warunkach.

„Ale zwłaszcza fluidu akustycznego własności opisał mi Sankhyananda.

„Dźwięk, rzekł mi, wśród innych własności, posiada ruchomość, fluidyczność, pulchność. Zwiemy to Sneha. Pozatem, wiedzieliśmy daleko wcześniej, niż wasi fizycy, iż on wydziela ciepło. Wreszcie, wzbudza on ruch przez władzę pobudliwą, którą zwiemy Prana-mitwa. Instrumenty muzyki strunowej, melodye rytmiczne, łoskoty gromowe okazują istnienie różnych tych własności. Streszczając, forma substancji powszechnej, którą zwiemy: Akasa, posiada, jako własność specyficzną dźwięk, a jako własności ogólne: formę, ruch, ciepło.

„Długie i liczne doświadczenia nauczyły nas, że jedne działy dźwięków zawierają najdoskonalsze formy, inne są bogatsze w ciepło, inne jeszcze wywołują silniejszy ruch. Umieemy odróżniać te działy, wytwarzać te dźwięki, a nawet powiększać ich intensywność, za pomocą różnych środków psycho-fizyologicznych.

Tak, na przykład, fakir może wznieść się w powietrze i pozostać zawieszonym przez pewien czas, używając pewnego dźwięku przy pewnym natężeniu nerwowem; innemi słowy, siła nerwowa może działać na materję za pomocą dźwięku. Oto punkt pierwszy.

„A oto drugi:

„Pojęcie przestrzeni jest jedno z najtrudniejszych do ustalenia. Wy, Europejczycy, pojmujecie tylko przestrzeń fizyczną. Nazywacie ją przestrzenią rzeczywistą; dla nas, jest ona uludną; podczas, gdy naszą przestrzenią rzeczywistą jest to, co niektórzy z waszych geometrów i matematyków nazwali hyper-przestrzenią. Przestrzeń fizyczna jest skończoną, bowiem, gdyby była nieskończoną, jedynie liczba nieskończona mogłaby ją wymierzyć; otóż, nie może być liczby nieskończonej konkretnie. Tradycja pod tym względem zgadza się z rozumowaniem, i mam nadzieję, że doświadczenie okaże to panu.

„Jeżeli przestrzeń jest skończoną, ma ona formę, i forma ta jest sferyczną, bowiem nie masz racji, by rozciągała się raczej w jednym kierunku, niż w drugim. Przestrzeń jest miejscem wszystkich tworów; i przypominają się panu napewno osobistości kosmogoniczne, które ją symbolizują. Mieszkańcy ci podlegają nieuchronnemu prawu przemiany. Oto prawdy

elementarne; wystarczą one do wyprowadzenia zasady telemobilu.

„Maszyna ta winna módz się przenosić na wszystkie plany przestrzeni i trwać tam. Musi posiadać tedy niezniszczalność swojej materji, i siłę motoryczną, niezależną od sił fizyczno-chemicznych i fluidycznych, to jest, siłę zasady wyższej. Oczywiście, że nie wychodzimy z granic świata widzialnego.

„Warunki te zdają się być niezniszczalnemi; a jednak ziszczono je; oto w jaki sposób. Chemiczy z naszych pieczar mogą fabrykować metale, opierające się wszystkim czynnikom fizycznym; lecz, by otrzymać metale, odporne na siły innej planety, należy znać ten świat, który też słusznie starają się zbadać.

„Jak wyjść z tego błędnego koła?

„Postrzeżenia nasze firmamentu, z punktu widzenia mechanicznego, matematycznego i biologicznego — to co można by nazwać astronomią i astrologią, — są zachowane od dwustu z górą wieków. Dziś jeszcze, conocnie, karty są kreślone; ześrodkowują je, klasyfikują, syntetyzują. I tym sposobem ustanawiamy dla każdego ciała niebieskiego tablicę przypuszczalną wszystkich jego własności fizycznych i chemicznych przyrodzonych. Są to tylko prawdopodobieństwa, które w ten sposób wy-

prowadzamy, lecz rachunek wykazuje, że szanse błędu są nieskończenie małe.

„Gdyby tedy obserwator przeniósł się w telemobilu jaknajbliżej do planety najbliższej położonej, mógłby on sprostować tablicę, wykreśloną dla tej planety. Następnie chemicy nasi i inżynierowie mogliby wynaleźć drugą maszynę dla zbadania planety następnej.

„Stara szanowna Magia, która w każdym wieku ujawnia się pod formami, stosownymi do okoliczności, nie jest splotem urojeń; jest ona nauką ścisłą i pozytywną; prawdziwi magowie nie są rojącymi pół-uczonymi, lecz inżynierami, fizykami, chemikami Świata Niewidzialnego. Naiwni, którzy się hypnotyzują pantaklami lub mantramami w celu pozyskania władzy, niewiedzą, że rysunki te są szematami kinematyki nieznanej, której terenami są tajemnicze przestrzenie o czterech, pięciu, sześciu i siedmiu wymiarach. Wyobrażenie tego już wydawałoby się czystym szaleństwem dla waszych filozofów. A jednak, w przestrzeniach tych, są jestestwa działające; inteligencye tam myślą, organizmy cielesne tam pracują, fabrykują tam maszyny, zradzają tam dzieła sztuki. Pantakle — to linie sił tych maszyn, szkielety posągów tych niewidzialnych, symfonii tych niesłyszalnych, wszystkich tych tworów niepoznawalnych, które

zapładniają atoli serca szlachetne i duchy głęboko ludzkie.

„Czy uważając, razem z Kartezjuszem, wszystką materję, jako rozciągłą, i wszystką rozciągłość, jako materję, to jest przestrzeń wypełnioną, — albo materję, jako rozciągłość nieprzenikalną z pustymi przerwami, — lub czy się przyjmie sławny systemat harmonii zgóry ustalonej, — lub czy, wreszcie, nadaje się światom siły przyciągające i odpychające, — żaden z tych czterech poglądów nie jest niezgodnym z naszym. O ile będziesz pan więcej postępował w Wiedzy, o tyle bardziej będziesz pan wiedział, że doktryny tradycyjne wystarczają do usunięcia różnic, jakie się wznoszą bez przerwy na polu ciasnem filozofii egzoterycznej.

„Tak jest, przestrzeń jest substancjonalną; tak jest, siły proste, które ją zapładniają, istnieją niezależnie.

„Zawładnąć nią i niemi, oto podwójny problemat, którego rozwiązanie przypisuje sobie nasz telemobil.

„Mamy już władzę nad energią akustyczną specjalną, o której mówiłem panu na początku. Poszukajmy teraz dla niej punktu oparcia, ośrodka stałego, wreszcie przyrządu kierowniczego.

„Otóż, pierwiastki proste materji, atomy,

nie mogą działać jedno na drugie, bowiem nie dotyczą się one; gdyby było inaczej, dotykałyby się one, z racji swej nieskończonej małości, całemi swemi powierzchniami, i materya, będąca masą pełną, pozostałaby nieruchomą. Należy tedy przypuścić, że kąpią się one w środowisku bardziej fluidycznym, złożonym z innych atomów znacznie drobniejszych, ożywionych zawrotnemi szybkościami, trącających bez przerwy atomy eteru, udzielając im w ten sposób ruchu wibracyjnego. Hypoteza ta opiera się na rachunku różniczkowym, stwierdziliśmy ją drogą licznych doświadczeń, dokonanych przy pomocy przyrządów optycznych, potężniejszych, niż wasze mikroskopy, a których zarysem pierwszym są zwierciadła magiczne legend popularnych.

„Jak się organizuje materya? Odpowiedź na to pytanie dostarczy nam może danych, jakich nam brakuje.

„Ustanowiono objętości atomowe rzekomych ciał prostych; pomimo niepewności tych wyliczeń, ustalono, że objętości atomowe ciał tej samej rodziny są w stosunkach prostych. Bez-użyteczna wspominać panu Dumas'a i Wurtz'a. Jeżeli tedy wypadek szczęśliwy poda w ręce chemika czynnik, zdolny zmienić pozycye atomów w ciele, stanie się możebnem zamienić chlor na jod, lub węgiel na rubid.

„Otóż, czynnik ten istnieje; mędrcomwie nasi znają go; księgi nasze nazywają go. Jest nim Vyoma-Panczaka-Akaśa; Mandala-Brahmana między innemi opisuje pięć jego form. Czwarta jego forma, Surya-Akaśa, cechuje się własnością specjalną kondensacyi. I znaleźliśmy ciało, które może otrzymywać znaczny ładunek tych molekuł subtelnych, które więc może przenikać wszystkie formy materyalne o trzech wymiarach.

Nasz akumulator ma wygląd bloku, — dużego in quarto — złożonego z pięciuset albo sześciuset cienkich arkuszy kryształu. Wie pan o tem, że kryształ, w mowie alchemika, znaczy niebo Saturna. Arkusze te są rznięte według formy, która przypomina powierzchnię katakustyczne. Kiedy chodzi o naładowanie przyrządu, jeden z naszych Sannyasis'ów zaprawia się do osiągnięcia pewnego natężenia nerwowego. Zamyka się tedy, by powtarzać na księdze kryształowej pewien mantram, około setki tysięcy razy; potrzeba, by z laboratoryów, położonych na powierzchni ziemi, można było słyszeć wibracyę harmoniczną płatków kryształu, zachowywanych przez operatora w krypcie, położonej na dwadzieścia metrów pod ziemią.

„Takim jest, w zasadzie, motor naszego telemobilu. Musi mieć ta maszyna ramę,

ochronę od zmian temperatury, od burz elektrycznych, najazdów nieprzewidzianych gości, wszystkich rodzajów wypadków możliwych w ciągu przeprawy międzyplanetarnej, z których najdrobniejszy byłby śmiertelnym dla prowadzącego aparat.

„Wiemy znów, by mówić językiem zachodu, teorię pangeometrii. Czy się przyjmie systemat Euklidesa, czy systemat Bolyai, geometria sferyczna pozostaje ta sama; podczas gdy, w geometrii hyperbolicznej, obwód w miarę jak promień jej urasta, dąży, już nie ku linii prostej, lecz ku linii krzywej, odrębnej od prostej, pozostając jednak do niej styczną; jest to horicykl. Ta fantastyczna krzywa, równoległa do prostej, zdradza powierzchnię i objętości, które rozwijają się naturalnie wewnątrz powierzchni i objętości Euklidesowych. Oto co zdołaliśmy urzeczywistnić wewnątrz ciał materyalnych fizycznych.

„Ciało to, odporne na wszystkie czynniki mechaniczne i na wszystkie znane reaktywy fizyczne, jest cennym metalem, który przemieniamy drogą wielokrotnych kowań i hartowań specjalnych. W stanie złota, kondensuje on jedynie eter świetlny, Taidžas; podczas gdy teraz, kufer ten sześcienny napełniony, jeżeli można się tak wyrazić, mówiąc o substancji nieważkiej, Suryą-Akaśą.

„Nie dotykaj pan, rzekł Brahmin, gdy wyciągnąłem rękę ku skrzyni błyszczącej; dotknięcie dałoby się panu we znaki. By posługiwać się bezpiecznie tym aparatem, należy przejść przez taką uprawę, by organizm mógł znosić ogromne natężenie elektryczne. Jest na to Yoga specjalna. Nie mamy, narazie, w świątyni osobnika przygotowanego; zresztą, w tym sezonie, stan fluidyczny kraju jest niesprzyjający; gdy jednak pozostaniesz pan czas pewien z nami, będziesz mógł ujrzeć doświadczenie“.

— „Oto są, począł Andreas po chwili, pierwsze powiadomienia, jakie dał mi mój przewodnik. A oto dopełnienia, które zebrałem powoli i które ułożę, jak pamięć mi podda.

„W sumie, problemat polega na znalezieniu akumulatora, zdolnego do pochłaniania siły dźwiękowej, fluidu, by tak rzec, akustycznego, i fluidu nerwowego, za pomocą którego istota ludzka postrzega wrażenia i pojmuje idee. Jako materiał surowy do tego aparatu, posłużył metal, wydobyty z pewnych gliniek, ze starannością niesłychaną. Przezroczysty kufer, o którym panu mówiłem, zawiera w środku ten mały aparat, podobny do książki kryształowej. By go naładować, na-przód siedmiu kapłanów poddaje się przez czterdzieści dni surowej regule. Jedzą raz

tylko na dzień: owies, mózdzki niektórych zwierząt i ryby bardzo elektryczne. Mieszkają w celi, której ściany pomalowane na liliowo i ozdobione szematami siły, która ma być ujęta. Odpoczywają cztery godziny na dobę, dzieląc czas na cztery okresy pięciogodzinne, tak wybrane, że środek każdego z tych okresów wypada na wschód słońca, południe zachód i północ. Muszą oni, przez powtarzanie mantramu siły dźwiękowej i koncentrację umysłu na własnościach znanych tej siły, dojść do tego, by ją widzieć, dotykać, kosztować jej, czuć ją i słyszeć. Zabiegi te odbywają się w okresach, ustalonych przez astrologów za pomocą studyów drobiazgowych nad zmianami magnetyczno-ziemskimi. Miejsce lokalu wybrane według mapy tych prądów.

„Zabieg trwa czterdzieści dni; potem następują trzy dni snu ciągłego, nakazanego operatorom. Potem, przez siedem dni sześciu z nich naładowuje maszynę przez nałożenie rąk, nie odpoczywając, nie jedząc, nie śpiąc. Byłem dopuszczony do widzenia ich siódmego dnia wieczorem. Wygląd ich był fantastyczny. Przez pozostawanie w ciemności od siedmiu tygodni, bowiem światło słoneczne zawiera promienie, niesprzyjające podjętemu doświadczeniu, skóra tych ludzi przybrała barwę starej kości słoniowej; zapadłe ich oczy błyszcząły

blaskiem stałym pod ciemno-bronzowymi powiekami; dla oszczędzenia sił umiarkowywali wszystkie swe ruchy; sprowadzono ich do celi, gdzie spoczywał telemobil, dwadzieścia metrów pod ziemią, i umieszczono ich na punktach, z góry oznaczonych, na skórach ryśich. Wyobraź pan sobie ciszę absolutną tej piwnicy, jej atmosferę dziwną, ruchy osób, jakby upiorów; zda mi się, że tam jeszcze jestem, doktorze; po raz to pierwszy widziałem takie widowisko“. I Andreas począł przedstawiać scenę, chodząc tu i tam, by mi uprzytomnić działających.

„Oto siódmy operator, ciągnął dalej; wchodzi on do skrzyni przezroczystej, której kanty są zalepione specjalnym kitem. Umieszcza się na przekątnej z nogami podgiętymi i rękoma złożonemi podług pewnej postawy (asana). Za nim znajduje się akumulator; na wysokości oczu dysk ze złota połyskującego; pod jego łokciami dwie kryształowe obrączki, połączone dwoma srebrnymi prętami z akumulatorem. Siedzi on na stołku wklęsłym, napełnionym sproszkowanym węglem, przygotowanym z drzewa pewnego gatunku lauru. Jest nieruchomy; oddech zatrzymany, źrenice już odwrócone, w Dharanie. Wszystko to się odbywa w ciszy, przy lśnieniu knotu, zanurzonego w oleju z kamelii. Przykucnięty w za-

kątku zewnętrznym, obserwuję to wszystko przez grube szkło fioletowe; prądy nateżone, które przepływają przez celę, czynią ją niebezpieczną, gdy się nie poddano zabiegom.

„Operator opiera się silnie na obręczkach, dwa lub trzy razy, świst przenikliwy świdruje mi uszy wraz z idącym za tem łomotem ogromnym morza rozhukanego. I skrzynia naraz znika mi z oczu. Byłem tak zdziwiony, iż mniemałem, że był zahypnotyzowany. Jednak widziałem ciągle sześciu pomocników nieruchomych, słyszałem mego mistrza, jak mówił do mnie, nie miałem gorączki. Byłem świadkiem tedy dezintegracji, i to w sposób najniezwykleszy. Mój mistrz objaśnił mi, iż przyrząd był tak mocno nasycony fluidem dźwiękowym, zarówno jak ciało operatora, że sobowtóry ich pozostały w celi, widzialne dla jasnowidza i utrwalone pod postacią figury geometrycznej, — co magowie zachodni nazywają pantaklem, — nakreślonej na podłodze celi.

„W tydzień potem Sankhyananda sprowadził mnie znów na dół do zakątka obserwacyjnego. Sześciu pomocników było tam ciągle, jak sześć posągów. Czekałem godzinę. Fluorescencya przeszła wskroś półmrok; pomocnicy wyciągnęli ręce ku szematowi. Opar zafalował w powietrzu, i naraz, bardzo cichutko, kufer przezroczysty znalazł się wraz z opera-

torem w tej samej pozycji, co w chwili odlotu. Zdjęto go, sztywnego, jak mumię, i przeniesiono szybko do sąsiedniej komnaty, gdzie była przygotowana ciepła kąpiel; zastosowano mu wcierania, masaże, namaszczenia, zabiegi drobiazgowe. Potem wyprowadzono go na powietrze, dano mu pewne potrawy, i począł zdawać sprawę przelożonemu zgromadzenia, krocząc w postawie najspokojniejszej, jakgdyby nie był bohaterem niewiarogodnej odysei.

IX

— Widzi pan, doktorze, mówił mi Andreas, podczas jednej z mych wizyt następnych, — my, Europejczycy, nie skończyliśmy jeszcze sylabizowania alfabetu nauki. Ludzie Wschodu też, dodał z uśmiechem; chociaż sprawiają wrażenie, jakgdyby umieli znacznie więcej, niż my; ale to dlatego, że sylabizują oni inny alfabet.

— Inny alfabet? — przerwałem nieco zgorzszony, wierzyłem bowiem w dogmaty esoteryczne: Naukę jedną, Religję jedną, moc jedną. — Jest tedy wiele „Wiedzy“.

— Oczywiście, doktorze. Ja, na przykład, chociaż nie jestem wielkim uczonym, znam tuzin systematów chemii, jeszcze więcej fizyki; i fizjologii też! Andreas uśmiechał się dalej. Potem, w rodzaju pocieszenia:

— Oto posłuchaj pan innej historii.

„Brahmanowie pouczają, że siły kosmiczne są zorganizowane, że każda z nich tworzy państwo, podobne do państw, jakie bada historia naturalna. Wierzą oni, że magnetyzm jest światem; elektryczność innym światem, i tak dalej. Jak sprawdzić tę hipotezę? Jak postrzedz, zanalizować, zużytkować te wszechświaty nieznane? Wynajdując przyrządy czułe? Wykształcając nasz systemat nerwowy? Materjaliści wybraliby pierwszą metodę; mistycy użyliby drugiej. Moi mistrzowie spożytkowali i jedną, i drugą, dążą oni bowiem zawsze do rozwiązania sprzeczności.

„Weźmy jeden z magnetyzmów ziemskich, jaki oznaczmy literą C. Brahmanowie określili niektóre z jego własności; potem poszukali tych sił psychicznych ludzkich, które przedstawiają te same cechy. I ponieważ, powiadają oni, wszystko odpowiada sobie, więc, jeżeli wyzwolą jedne, drugie zjawia się automatycznie. Zmiany magnetyzmu C są, zdaje się, w stosunku do pewnych plam słonecznych; i, w organizmie ludzkim, ogniskiem jego wydzielania się jest, powiadają, pępek.

„Wie pan, że niektóre sumnambuliczki utrzymują, iż widzą za pomocą zwoju nerwowego słonecznego albo za pomocą czoła. Znają, na Wschodzie, sztukę przenoszenia zmysłów

fizycznych na jaki chcieć punkt ciała; jest to Yoga; ustanowili tedy ćwiczenia, które pozwalają czuć i myśleć za pomocą zwoju pępkowego.

„Odtąd, chodzi już tylko o wzięcie osobnika przygotowanego, o wybranie godziny i miejsca, gdzie przechodzą silne prądy C; eksperymentator, porwany w tę falę fluidyczną, przy zachowaniu pełnej świadomości, poczyni spostrzeżenia, i dzięki „podłożu“ stałemu, powróci znów stopą pewną, w chwili przewidzianej odpływu, na plan fizyczny. Tak czyniłby nurek, nie krępowany koniecznością zaczerpnięcia oddechu.

„Oto krótkie streszczenie wyjaśnień, jakie mi zostały udzielone. Poprosiłem natychmiast, by mi pozwolono przyjąć udział w takim doświadczeniu. Odpowiedziano mi wymijająco: że trzeba poczekać, że nic jeszcze nie postanowiono; a potem — przedsięwzięcie jest delikatne; można narazić zdrowie, równowagę mózgową. Odparłem dyplomatycznie, że mistrzowie moi sądzą o mnie znacznie lepiej, niż ja sam; i zdało się, żeśmy zobopólnie zapomnieli o tym projekcie.

„W kilka tygodni później, Sankhyananda mówił o blizkich wstrząśnieniach sejsmicznych, o prądach C, o węzłach, przechodzących przez naszą świątynię; pojąłem w lot; ponowiłem

prośbę; i zostałem przyjęty do liczby pięciu operatorów.

„Woda, spływająca do rowka, jaki jej wyłożono, jest dokładnym obrazem procesu, jakiego chciano użyć. Magnetyzm ten C, spływa zawsze ku punktom najmniejszego natężenia; szuka on równowagi, lecz szuka go z trzaskiem bez wątpienia, myślałem sobie, bowiem zwą go: Burzą krain podziemnych.

„Tygodnie całe trwał trening surowy, jakby powiedział anglik; pokarm, sen, postawy, oddychania, zaklęcia, wszystko było przewidziane z drobiazgowością okrutną. Nie wiem, co wieczystego dorzucają te trudy do istoty ludzkiej; ale dają one narazie rokoszną błogość fizyczną i umysłową; człek staje się młodym, zmysły czujne, myśl przeźrocza, pojęcie czyste, jak jezioro spokojne. Przenika cię pogoda przyrody; czujesz się wolny od trosk i od obaw. Dni upływają w radości i pokoju.

„Doświadczenie nasze odbyło się dokładnie przed zachodem słońca. Wybrano, w okolicy, mały obwód skalisty; oczyszczono tam grunt i wykreślono na nim, proszkiem kolorowym, figury i znaki, które oznaczają własności Burzy-podziemnej. Przedmioty, kadzidła, szaty, orientacya zostały ustalone według odpowiedników, wykrytych pomiędzy tą siłą do zba-

dania a różnemi minerałami i roślinami, zapachami, przestrzeniami, formami, dźwiękami. Znasz pan teorię sygnatur, nieprawdaż?

„Otrzymałem rozkaz nie poruszania się, pod żadnym powodem, nawet gdyby rozstała się ziemia. Gdyśmy wszyscy byli uszykowani, w postawie wymaganej, kazano nam usposobić się psychofizycznie do stanu Dhyany, w którym świadomość pozostaje czujną. Widzę mych towarzyszków; kierownik, nagi, stoi przed nami, szepce mantramy, z laseczkami wonnemi w rękę; algi płoną z gumami o wstrętnym zapachu. Nagle, miałem wrażenie, że zstępuję do bardzo starego zamczyska, w głębi wielkiego szybu kopalnianego. Architektura tej budowli, istoty, które ją zamieszkiwały, tworzyły plamę na pejzażu, jak gdy się widzi na fotografiach spirytystycznych widma, zacierające kontury przedmiotów materyalnych. Zwolna, powietrze zdawało się stawać wciąż suchszem; i chociaż nieznośny zapach asafetydy dochodził już do mnie, bowiem, w stanie w jakim byłem, oddychanie odbywało się w odstępach półgodzinnych, inna woń opanowała me nozdrza i gardło. Po ciężkim, tłustym, gorzkim z obrzaskami kwaśnemi, strasznym zapachu tym nastąpił naraz trzask straszny gromu, w środku którego jakgdybyśmy się znajdowali. Kości me drżały pod wibracyami głębokimi;

znosiłem zmore senną spadania bez końca. Muskulę me tężyły się mimowolnie; ciało czuło strach i chciało uciekać. Wiedziałem jednak, że było by to śmiercią dla mych towarzyszków i dla mnie. Nie wystawia się człowiek bezkarnie na promienie obnażone sił tajemnych.

„Dodaj pan do tych obaw niepokój niewiedzy, co czynić, strach, że się nie zobaczy znaku możliwego mistrza, obawę, że się nie wytrzyma do końca. Przeszedłem tam okres czasu bardzo nieprzyjemny, który mi zdał się bardzo długim.

„Otóż, wśród mych wysiłków, zobaczyłem nagle w środku naszego koła, nieco ponad naszymi głowami, dwoje oczu, patrzących na nas z ciekawością, z chytrą, z mocą. Zarysowało się lice, w obramieniu włosów o puklach falujących; potem utworzyło się ciało, stojące na jednej nodze, z drugą podgiętą. Wszystko to w ozdobie materii drogocennych, iskrzących się klejnotów. Ale u bark wiały się ramiona liczne, może ze dwadzieścia, wszystkie gestykulujące; ręce o palcach ruchliwych zdały się mówić, jak czynią to głuchoniemi. Dwie spośród nich, na piersi, czyniły bez przerwy gest, który żąga ogień magiczny piekiel. W przerwach, błyskania prosiły się tu i tam. I forma ta fantastyczna, olbrzymia, ukształtowana czernią

na czarnem tle, promieniowała grozą. Sprawiała wrażenie maszyny ogromnej, żyjącej, inteligentnej, posłusznej niewątpliwie, ale, jak potwór przedpotopowy, z trudem ukrócaną. Chłód natężony unicestwiał nas; grzmienie ciągle, przenikające przeszywało nas aż do szpiku. Dojrzałem mknieniem oka, że ciało mistrza sączy strumienie potu. Liście, na których byliśmy przykucnięci, stały się żółte i poskręcane. Pojęliśmy na ten znak, że Obecność skończyła mówić. Całe widmo, w rzeczy samej, zniknęło wkrótce, w świetle księżyca, który był już wysoko. Z trudem dźwignęliśmy się. Pozostawaliśmy tam sześć godzin, na pastwie najstraszniejszego z przerażeń od strony wrogich sił niewidzialnych.

„Spałem cały dzień, i całą noc następną: nasz systemat nerwowy nie ma giętkości ani plastyczności systematu Hindusów. Zbudziwszy się, podczas medytacji porannej, spostrzegłem, że zrobiłem wielki krok naprzód. Ujrzałem, że siły odsłaniają się postępowo, w miarę oka, które je kontempluje. Zrazu zdają się być wypadkami ślepem; potem, odkrywa się dla nich pewną logikę, i mianuje się je następnie: fluidami, prądami, wibracjami, prawami; wreszcie, postrzega się, że są one dziełami tych tworów, które polyteizm obwoływał mianem Nieśmiertelnych.

„Ale zwłaszcza, zwłaszcza, począłem miarkować, że nic nie wiem. O, gdybyż przez dzień tylko czuć życie! Pragnąłem tego z całej duszy, ale nie wiedziałem wtedy całkowicie, że, do ziszczenia tego pragnienia, pomoc najskuteczniejsza przyjdzie mi od kobiety“.

I, mówiąc te słowa, Andreas zatrzymał na Stelli spojrzenie poważne, pełne niewysłownej czułości.

X

Pewnej niedzieli, gdym przybył do Andresa, nie było go jeszcze w domu; musiałem czekać kilka godzin; Stella, bym się nie niecierpliwił, pokazała mi całą zawartość sklepu i tylnej jego części: teki ze sztychami, meble z szufladami, napełnionymi drobiazgami, witryny, zastawione cennymi przedmiotami. Rozwinięła mi swe koronki o ściegu francuskim, genueńskim, honitońskim. Potem, pokazała mi tysiące drobnych osobliwości: turkusy zzieleniałe, moczone z kawałkami korzenia jesionowego; w miseczkach drewnianych opale pękane, perły zgasłe, czekające również na lekarstwo; kadłub crowth'u irlandzkiego, odtworzonego podług starych miniatur, schnący na słońcu, i tysiąc innych osobliwości.

— Nie wyobrazi pan sobie, mówiła Stella,

jak Andreas jest cierpliwy, [dbały i nawet trwożliwy w drobiazgach. To oto pudło do wioli zgotował z kłoca starej gruszy, którą uprzednio poddał przez całe miesiące działaniu słońca za pomocą systemu soczewek; by ją powerniksować, sporządził żywicę z sosny morskiej, i, pomnę, na tym kadłubie położył ze dwadzieścia warstw. Oto kociołek, kupiony w Trône; robi z tego wazę tybetańską. Te kawałki kości słoniowej mokną już całe miesiące w tych flakonach, dla nabrania koloru.

Oprócz pracowni naprawiacza, były tam w tym składzie pierwiastki prawdziwego muzeum: boazerye flamandzkie z XVI wieku, stare teorby, długie trzcinki czerwonoskórych; zamki z sekretem, salaterki na kompot perskie z delikatnej gliny z cyprysem Zoroastra, herbatnica japońska z glinki szarżółtej, nakrapianej miką, bezcennej wartości; kilka porcelan chińskich, z których jedna z gatunku zielonych z napisem dobroczynnym tatszuang, kamienie dźwięczące, gongi cyzelowane, monety rzadkie, pierścienie à la Marat, à la Rocambole, z żelaza, z kamieniem z Bastylii w sygnecie, afisze urzędowe, akwaforty, portrety konturowe, tkaniny zwijane, sztylety tybetańskie do odpędzania duchów, maski tunguzkie — i czego tam nie było!

— A wszystkie te rupiecie mają swą

historię. Opowie on panu, niewątpliwie, w przyszłości niejedną z nich. Ale oto właśnie i on.

Andreas powracał, istotnie, uprzejmy i poczciwy. Poprosił mnie, bym mu pozwolił pracować podczas rozmowy, i zabrał się do roboty obowiązkowej, by skończyć naprawę dzbanka cynowego.

Gdym opowiedział mu, jak zły spędziłem tydzień: w mozołach, niepowodzeniach, urazach, niecierpliwości, wstrętach, lenistwie:

— Będziesz miał pan ich jeszcze więcej, rzekł mi, tytułem pocieszenia.

Stella podała nam herbatę, herbatę naciągniętą z cegiełek, pochodzenia bezpośredniego z Chin, którą nazywają w Tybecie Kiapa Kakig, jak mnie pouczył Andreas. Była zresztą wyśmienita. Wciąż obrabiając pilnikiem, gospodarz mój słuchał mych żalów z cierpliwością pobłazającą; i wzbudzał zachwyt we mnie osobą swą tak prostą, tak skromną, tak żywotną, tak słuszną w postępowaniu: wyłany bez poufałości, patryarchalny bez pozy, słowem, ludzki; takim byłby starzec bardzo mądry, któryby mnie ukochał zpośród wszystkich swych dzieci; aczkolwiek wiedziałem i to, że każdy, ktoby się zbliżył do niego z sercem otwartem, musiałby odczuwać tę samą pewność, że jest Benjaminem jego serca. Może istnieje, myślałem sobie, nieznany stan miłości? Wra-

żenia moje chwilowe świeżością, jasną pogodą, żywością, przechodziły wszystkie najczystsze radości, jakie znałem dotychczas; czułem się spokojnym, ufnym, spoczywającym w cieniu miłości pogodnej i stałej.

Andreas począł mówić do mnie na *ty*; nie zdziwiłem się zgoła; dnia tego, tu, koło niego wszystko mi się zdało naturalnem i jasnem.

— Zapanuj nad sobą, mówił mi: wytchnij; wróć do pokoju. Tego, którego kochasz, Istotę idealną, która, acz jeszcze zewnętrzna dla cię, nawiedza cię jednak chwilami, posła tego Wieczności,—to prawda, otaczają go wrogowie, i mgły ukrywają go tobie; ale zwycięstwo jego jest pewnem, i wpływ jego na ciebie pozostaje całkowity. Mniemasz, iż nie przewidział on rozpadlin na drodze, na którą cię wezwał, byś szedł za nim? Wszystko, co się staje z człowiekiem, staje się przez jego własną wolę. Bezużytecznem i szkodliwem jest, by to, co ty możesz zrobić, przedsiębrał kto inny zamiast ciebie. Patrz na złego ucznia: nie przygotował on swej lekcji wczorajszej; by mieć napisanem zadanie, ofiarowuje piłkę koledze pilniejszemu. Gdy to przepisze, czy będzie umiał lekcję? Straci czas i skłamię, a na egzaminie przy końcu roku nieuctwo i lenistwo wyjdą na jaw. Nie odrzucaj tedy

roboty, jaka się nastrecza; nie naśladować raka; cofniesz się, choć ci się będzie zdawało, żeś postąpił. Pośpiech ten zresztą, na zmianę ze zniechęceniem, odbije w tobie niepokój naszego wieku. Życie wre, pragnienia się jętrzą, siły się kurczą i potem opadają. Gdybyś mógł widzieć duchy twych współczesników, na tysiąc, nie znalazłbyś może pięciu, może dwóch, szukających prawdziwego światła, z pobudkami czystymi.

Wiesz o tem, że traktaty o magii obiecuja władzę nad siłami niewidzialnymi i nad ludźmi; obietnic tych możesz się domyslać we wszystkich wykładach magnetyzerów. Czyż nie ma, w łonie naszej cywilizacji pozytywistycznej i utylitarystycznej, towarzystw, które szerzą te doktryny głupie o wpływie woli na wszystkie sprawy „ważne“ w życiu: na bogactwo, na powodzenie i inne brednie. Czujesz to dobrze, że tacy apostołowie są albo naiwnymi ofiarami oszustwa, albo cynicznymi łowcami zysków; cieszą się jednak pewnem powodzeniem.

Mędrcom ci głoszą, że wszechświat materialny jest doskonale urządzony, że wszystko odbywa się tam według sprawiedliwości, ponieważ, powiadają, wszystko tam podległe prawom przyczynowości i zachowania energii. Zgoda. Ale chcieliby, by świat moralny był

w anarchii, i świat niewidzialny w chaosie: jakaż niekonsekwencja!

Nie mogą oni zaprzeczyć, że sprawiedliwość działa na wszystkich planach; dla czego tedy pobudzają człowieka do buntowania się przeciw swemu przeznaczeniu, zamiast nauczyć go spożytkowania go? Dlaczego chcą, by dłużnik duchowy nie płacił swych długów? Dla czego uczą napadać i obdzierać w cieniu?

Oto naiwny, któremu wmawiają oni, że za pomocą pewnych ćwiczeń będzie mógł zasuggestyonować swego przeciwnika, urzec nabywcę, uwieść człowieka biernego. Jakiem prawem uczą oni popełniać tę podwójną zbrodnię: krzywdzenia za pomocą sposobów, pochodzących z ciemności, i posługiwania się dla egoizmu materialnego siłami, stworzonymi dla pracy ducha?

Jak nie widzą ci ludzie, że podlegają zdrości, niezgodę i nienawiść? Rozniecają oni tem bardziej, w sercu człowieka i w świecie, ogień ten piekielny, iż działają za pomocą tchnienia ze świata niewidzialnego, tchnienia, niegodnie przywłaszczonego! Nie sąż oni tymi ślepcami, którzy popychają innych ślepców ku otchłani?

Tym sposobem ziemia paczy prawie zawsze światła, jakie otrzymuje. Pomnę, że w Rosyi, za panowania cara Aleksandra I-go, jeden z przyjaciół został posłany do pewnego okręgu

i dał tam podwaliny małemu Stowarzyszeniu Dzieci Nieba. Kilku włościan poczęło pracę; iścili między sobą braterstwo; prześladowania poszły rychle zatem; człowiek dobrej woli obronił ich przed rządem; po tysiącu zabiegów, udało mu się uzyskać dla tych biedaków możność życia bez udręki władz administracyjnych. Człowiek ten zwał się: Łapuchin. Ale czego nie dokonała władza cezara, to zrobił duch ciemności. Dzieci tych pracowników słuchały złych proroków; i dzisiaj, Duchoborcowie,—o nich to bowiem mówię,—spaczeni książkami pisarza, który zażywa rozgłosu powszechnego, doszli do buntu, do oblędu, do nienawiści względem pracy, do najgorszych szaleństw mistycznych. Tak samo człowiek, gdy pojmie, na widowni powszechnej, iż nosi w sobie zarody władz tajemnych, nie ma nic pilniejszego, jak dawać im wzrost, nie bacząc jakimi środkami, pacząc je na hipnotyzm, na sugestję, na ustawianie woli, na magię. Ci tedy, którzy pojęli naukę Boga, niech podejmują ubóstwo dobrowolne w ciele, w duchu i nawet w inteligencji. Ciekawości, jakie poświęcisz teraz, mój doktorze, ręczę, że będą stokrotnie ci zapłacone.

Tak mówił Andreas. Nauki te poważne wzbudziły na nowo mą odwagę; zarysowały mi się jaśniejsze widnokreśli; siła zbudziła się we mnie; powziąłem świadomość próżności

tytułów mych i dyplomów, niepewności wiedzy mojej. Czulem głęboką wdzięczność dla tego starca tak przygarniającego; do tej kobiety tak dobrej; po tem wszyskiem, poco dochodzić, czy są oni, czy nie są przyjaciółmi Dezyderyusza z mojej młodości? Czyż nie mądrzej będzie przyjąć i zużytkować, co dali mi tak łaskawie?

XI

Zdawałem sprawę z tych refleksyi memu współrozmówcy, który uprzątał warsztat, gdy Stella oznajmiła, że obiad gotowy.

Pod koniec obiadowania, usłyszałem, jak do sklepu weszło kilka osób; gdy Andreas i ja wyszliśmy do nich, zdziwiłem się, poznawszy, pomiędzy piętnastką gości, różne twarze, widziane już w szkołach lub towarzystwach neo-spirytualistów. Pozdrowilem starego lekarza magnetyzera; innego, młodszego, astrologa i homeopatę; stolarza hebanistę z Pikpusa, słynnego w swej dzielnicy z nastawienia zła-mań i zwichnień członków; drukarza-anarchistę i mistyka; robotnika siodlarskiego, ucznia Boehmego; dymisyonowanego kapitana, prezesa koła spirytystów; elektrotechnika kardekistę; subyekta księgarskiego, który był biskupem gnostyckim; aptekarza hermetystę; starego republikanina z 48 r., fourierystę, pastora:

w oczach wszystkich czytałeś szczerą, zapal i przekonanie.

Czułem zawsze wielką sympatyę do tych nowatorów idealistów; ciągną oni piękną tradycję wolnościową Celtów; ci ludzie z ludu, wzniesieni ponad swą sferę trudem usilnym, zaradzający lukom wykształcenia inteligencyą nierzadko oryginalną, bogaci porywami szlachetnemi, jaśni pomimo rozczarowań, weseli pomimo razów, torujący sobie drogę wśród gęstych zarośli starych utopii, wyobrażali dla mnie żywo najlepsze postacie duszy francuskiej.

Nic dla nich nie znaczą, by celu dopięli, małe i wielkie niedostatki życiowe, skazują się na nie z wielką prostotą. Znałem niektórych z nich, którzy, wychodząc z pracowni o wpół do ósmej wieczorem, na cały obiad posilali się kromką chleba w ciemnych uliczkach, by o ósmej być od początku na odczyt; a o jedenastej wieczorem wracali pieszo ku przedmieściom, by zaoszczędzić omnibus na kupno książki ważnej. Jakże są wzruszające te ubogie ofiary, bez chwały! I jakież winny nam dawać zapal do pracy, i jaką ufność w przyszłość rasy: jej stara krew szlachetna nie wyczerpuje się jeszcze tedy, i światło jej Ducha nie całkiem jeszcze zgasło!

Postrzegłem się później, że wprowadzeni

do Andreasa nie znają go dokładnie: Jedni go mieli za uzdrowiacza; drudzy brali go za pozostałego przy życiu członka pierwszych kół kardec'owskich; albo za bardzo niezwykłego lekarza; dwóch czy trzech przypuszczało, że jest wtajemniczonym sekt wschodnich. Wszyscy palili i pili, prócz członka Gwiazdy niebieskiej. Mówiono zwłaszcza o Kongresie metapsychiki, zapowiedzianym na przyszłą wiosnę.

Andreas nie wtrącał się wiele do rozmów; odpowiadał dosyć wymijająco na pytania, oświadczając, że nie wie, że nie ma kwalifikacyi do dawania rad, że chce być w spokoju, że jest dosyć uczonych do badania rzeczy oderwanych, i tak dalej. Widziałem, że dzielni ci ludzie zostali nieco zbici z tropu; ponieważ znałem z nich kilku, poczytałem za dobre wtrącić się do rozmowy; oświadczyłem, z własnego upoważnienia, by nie proszono Andreasa o przyjęcie stanowiska na tym Kongresie, by nie wymieniano nawet jego nazwiska; lecz gdyby miał im dać rady, niech usiłują iść za niemi.

Andreas, zdało się, że przystaje; wyszczególniono mu program, wymieniono organizatorów i mówców; rozwinięto cele wytyczne. Lecz on milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie, zwracając się do mnie, rzekł:

— Czy nie uważasz, doktorze, że jeżeli członkowie tego Kongresu nie są bez mała

świętymi, jest on zgóry skazany na bezpłodność. Jeżeli uczestnicy mają nadzieję błyszczenia, jeżeli wychwalają swe prace, jeżeli oczerniają się, zbierają wycinki z Argusa prasy... I zdanie jego, poczęte ironicznie, zakończyło się pocziwym uśmiechem.

— Dlatego to, przerwał drukarz, — czynia ponury i chudy, o twarzy namiętnej, — dlatego to Egipcianie odbywali swe kongresy tajemnie, pomiędzy wtajemniczonymi.

— Tak, zgodził się Andreas, i nietylko oni jedni. Ale dzisiaj, dzisiaj jest pożytecznie, dzisiaj trzeba, by wszystko zostało odkrytem; tak zapisano w Niebie; musi to być zapisanem w Ewangelii?

— Tak jest, odpowiedział pastor; i zacytował księgę, rozdział i werset.

— Z drugiej strony, doskonałość nie jest z tego świata; nie można wymagać, by badacze ci pozostali anonimami. Jakże więc zrobić? Poszukajcie etykiety, sztandaru, godła, który by was wszystkich zjednoczył; urządźcie się pod regulaminem tolerancji, by żadna osobistość, ni żadna szkoła nie opanowywała innych; by każda grupa miała, nie prezydenta, lecz sekretarza, by wszyscy uczestnicy byli równi. Działalność indywidualna nagięłaby się lepiej dla wpływu Ducha; ale — chcecie kongresu, urządźcie kongres; przynajmniej, nie opieraj-

cie go na pieniądzach, ani na osobie; oprzyjcie go na ideale.

— Bardzo dobrze można to urządzić, odezwał się stolarz grubym głosem zachrypniętym; wszyscyśmy bracia, nie prawdaż? Niema zgodności zdań? Nic to nie szkodzi; posprzeczają się, rzecz się wyjaśni; ja bo tam, proszę panów, nie lubię czytać, to mnie usypia; ale słuchać, gdy rozmawiają, o, to rozumiem.

— Bardzo słusznie, przytwardził Andreas; ludzie uczą się, słuchając jedni drugich, zwłaszcza gdy nikt nie myśli, jak wyrwać się naprzód.

— Czytał pan program? zapytał młody adwokat. Zamierzają tam badanie magnetyzmu, pod względem fizycznym i terapeutycznym; badanie fluidów, złota, sobowtórów, zjawisk spirytystycznych, fotografii transcendentnej; czy wie pan, że otrzymano fotografię ducha osoby żyjącej; w ten sposób będą się starali dostarczyć dowodów doświadczalnych dla twierdzeń ezoteryzmu.

— Dobrze więc, kochany mistrzu, rzekł na to Andreas, masz pan kogo podatnego?

— Nie, rzekł adwokat, ja się zajmuję socyologią.

— Kto ma osobę podatną, zdrową, silną, uczciwą niewiastę?

— Ja! rzekł magnetyzer z prowincji, olbrzym jowialny.

— Wyciągnij tedy rękę, o, tak. Poprosimy Niebios, by zechciały dać nam widzieć inną stronę magnetyzmu, niż trzy bieguny znane. Chcecie tego wszyscy?

— Chcemy, chcemy, odpowiedzieliśmy kołem.

— Zwróćcie uwagę, że nie czynię najmniejszej sugestyi, rzekł Andreas; nie używam również woli; proszę jedynie. No, co czujesz?

— Strzyka mi w palcu wskazującym, rzekł olbrzym; ale to boli, proszę pana.

— Nic to, jedźmy dalej.

— Teraz to palec środkowy; ciało w nim ściśnięte, i zmrożone... A teraz palec serdeczny, — zuję w nim gorąco, jakbym go zbliżył do świecy; mały palec drga, jak kiedy się elektryzuje; to samo w wielkim palcu, w kościach, prąd świeży... Już nic nie czuję.

— Zapamiętaj więc sobie pięć tych wrażeń! Oto, co się zrobiło; duchy palców zostały na chwilę zwolnione od wszelkiej więzi z magnetyzmem ogólnym ciała; za każdym razem, kiedy poprosisz, — mając, oczywiście, ręce czyste, nieprawda-ż? — wolność ta zostanie udzieloną na chwilę temu lub innemu z tych palców; i będziesz mógł posługiwać się tem dla chorych. Palec wskazujący na choroby wątrobiane; środkowy na kości; serdeczny — na serce; mały — na system nerwowy; wielki — na

zaburzenia psychiczne. Ale miej ręce czyste, to znaczy, sumienie czyste; nie mówiono nigdy o tem?

— Nie, proszę pana, odrzekło kilka głosów.

— Zwróćcie uwagę na to, że ja nie umiem magnetyzować. Możnaby fotografować te wypływy nieznane; możnaby nawet spróbować otrzymywać klisze barwne.

— Czy pan pozwoli mi, bym to badał? zapytał aptekarz spagirysta.

— Oczywiście, odrzekł Andreas; zresztą, ja nie mam nic zgoła do pozwalania, ani do zabrania. To, co pokazuję panom, nie jest rzeczą nową: mówiłem już o czemś podobnem baronowi du Potet, lecz sędzę, że on się tem nie posługiwał.

— Jakto, pan znałeś du Potet'a? wykrzyknął któryś tam. — Lecz, w tejże chwili oficer spirytysta rzucił pytanie:

— A na umarłych, panie?

Andreas, zdało się, słyszał tylko to drugie pytanie.

— Zrobicie lepiej, jeżeli umarłych pozostawicie w spokoju, rzekł łagodnie. Ale wiem dobrze, że nie posłuchacie mnie. Módlcie się, przynajmniej przed waszemi seansami; i starajcie się nie przeciążać medyków.

— Tak, ale gdy się gasi światło, sceptycy mówią, że się oszukuje.

— Dlaczego nie probujecie lamp ze szklami liliowymi lub fioletowymi? Używajcie do lamp oliwy, nasyconej wonią cynamonu albo gwoździków.

— A gdyby tak użyć zwierząt, albo krwi i wonności? poddał uczeń Elifasa Lewi'ego.

— Nie, zwierzę by zanadto cierpiało; a potem nie wiecie, czym jest właściwie woń. Spróbujcie lepiej ot tego środka. Weźcie stół mocny, kwadratowy. U boków przeciwległych, przytwierdźcie pod blatem dwie blachy z miedzi i dwie blachy z cynku; połączcie je drutami, tak żeby utworzyć rodzaj solenoidu; posadźcie medyum na krześle, postawionem na tymże dywanie wełnianym, co i stół, i zamknijcie prąd nad nim. W tych warunkach, możebna, że otrzymacie przenoszenie się przedmiotów bez dotykania, z minimalnem zmęczeniem. Uczestników niech będzie zawsze liczba parzysta, i kierujący seansem niech ma zimną krew, zwłaszcza jeżeli przyjdzie wam fantazja puszczania prądu do drutów.

— Wszystko to, rzekł stary uczeń Wrońskiego, ukryty w kącie zaciemnionym, wszystko to piękne i dobre; ale zjawisko nie przekonuje, jeżeli się niema jeszcze przekonania eleuterycznego. Trzeba ciała doktryny, syntezy...

— Doktryny? Ależ ją macie, kochany profesorze, odparł Andreas; tablice Mesyanizmu.

sa, o ile to możliwe, słuszne. A potem, mamy już tyle teoryi, tyle systematów! Ale pan, doktorze, ciągnął dalej, zwracając się do lekarza, pan, który jesteś znany, powinieneś puścić w ruch instytucję, gdzieby przygarniano medyum, gdzie by im poprawiano zdrowie, prostowano nieco ducha, gdzie by ich zwalniano podczas dwóch albo trzech miesięcy od troski materyjalnej. Na początek wystarczyłoby, gdyby znaleźć u osoby zamożnej dwa, trzy pokoje, pośród lasów. Mielibyście w ten sposób zjawiska ciekawsze i mniej oszukaństw. Wielu ze słynnych badaczy zostało oszukanym; ale biedne te istoty mają wiele na swe usprawiedliwienie: chwytają się je, porzucają się je, drażnią się je, psuje się im zdrowie, opłaca się je mało...

— Ale, zapytał nieśmiało blade młodzieniec, zwolennik katolików kontemplujących, czyż nie jest to wszystko ponownem odkrywaniem, odmładzaniem rzeczy starych?

— Ależ tak! odrzekł mu Andreas z uśmiechem: są to stare nowości. Niedługo już, zobaczycie coś nowego; ale wtedy nie wiercie temu; będą to owoce jadowite. Wszelako, od lat kilku, atmosfera nasza odsłania niektóre siły całkowicie nieznane; dotychczas, widzę zaledwie dwóch, trzech ludzi, którzy mogą operować niemi.

Wielu zapragnęło wyjaśnień; Andreas uprzedził ich:

— Nie, nie, nie chcę nic dorzucać do tego; ludzie ci chcą pozostać w ukryciu; ale wolna wola wasza szukać; to, co oni odkryli, jest na podporządku każdego z was.

— Jakże to? Co trzeba robić? zapytało kilka głosów.

Andreas począł się śmiać figlarnie: Ależ wiecie dobrze, wiecie o tem oddawna, co trzeba robić, by Niebo dało nam sekret. Nie pamiętacie więc już? Ty oto — wszak to już dwadzieścia lat, jak matka twoja była tak chora? A ty — w roku wielkiego waszego strejku, spotkałem cię nocą na moście Tolbiackim? I ty, doktorze, kiedyś to był na zastępstwie w Nizy; byłeś wtedy jeszcze asystentem w szpitalu; o włos nie pomyliłeś się co do epruwetki?

— Tak, ale od tej pory uważam, wie pan o tem, odrzekł pocichu lekarz.

— Otóż więc! by wrócić do tego, co mówił nasz przyjaciel Aleksander Wielki, — Andreas nazywał tak robotnika siodlarskiego, ponieważ trzymał on zwykle głowę, pochylając ją na lewo, — byłoby dobrze, żeby ktoś na kongresie oddał cześć publiczną i uznanie waszym poprzednikom. Mają prawo do tego. Niech mówią tam o tych prekursorach; niech ich

zrehabilitują; niech ogłoszą nazwiska tych, których skazywała na śmierć niegdyś nietolerancja, tych, którzy znosili całe życie nędzę i sarkazm. To oni utorowali wam drogę, nie zapominajcie o tem; to ich łzy zraszały pole, na którym wy poczynacie zbierać plon.

— Co do mnie, rzekł starzec z 1848 r., pozwólcie mi, panowie, powiedzieć, jak wszyscy jesteście, podług mnie, nieroztropni; jak nie znacie reguły tajemnicy, jaką stare bractwa wtajemniczonych i wolnomularstwo, ich spadkobierstwo, tak mocno zalecały. Jakto? Uczycie oto tłum usypiania, działania na odległość, ujmowania fluidów, sugestyi? I nie wiem już — czego! I żaden z was nie przewiduje, że recepty te mogą być czytane przez zbrodniarzy, albo poprostu przez utylitarystów? Nie wierzycie tedy, że Mesmer ponosi karę za wszystkie plugastwa, popełniane przez hypnotyzm? Nie wierzycie, że wasze sprawozdania z doświadczeń eksteryoryzacyi czynią was odpowiedzialnymi za pewną liczbę t. zw. czarów? lub tedy teorie wasze o reinkarnacyi i wasze kazania o Karmie są tylko frazesami!

I stary entuzyasta toczył po nas wzrokiem oburzonym.

— Ma rację, zakończył Andreas; lecz głos jego jest głosem wołającym na puszczy. Jesteście wszyscy dzielnymi i bardzo miłymi.

ludźmi; ale za wiele upatrujecie przyjemności w tem, że wydrukują waszą prozę i do imienia waszego dołączą przymiotniki pochwalne. Wszelako, pomyślcie, na waszym Kongresie, o środkach, przeciwko możliwości złego użycia waszych odkryć. Ale już późno; mieszkacie daleko; i musicie wstać wcześniej jutro rano. Idźcie już; a gdy odwiedzicie znów starego gadułę, będzie on miał coś innego wam do powiedzenia.

XII

W kilka dni później, przyszedłszy znów do Andreasa, zastałem go na rozmowie z mężczyzną o silnie rozwiniętych plecach, o fizjonomii energicznej, i który mówił głosem dźwięcznym. Był to pewien magnetyzer z prowincyi, którego uleczenia źle usposobiły Towarzystwo lekarskie jego miasta; zaskarżono go do sądu. Uczciwy ten człowiek gniewał się bardzo; wygadywał bez końca na tych nieuków z końcówką *us*, którzy tak drogo pobierają od biedaków i którzy tak mało ich uzdrawiają. Nastawał, popierając anegdotami, na ich chciwość zysku, na brak ich poświęcenia, na ich nietolerancję, i tak dalej.

Andreas usiłował uśmierzyć go.

— Czynisz pan w tej chwili, mówił mu,

jak ci oratorowie z Łóży, którzy, iż kilku księży okazuje się mało godnymi, zwalają na cały kler te same gromy. Nie jestem praktykującym; nie mam zarówno zaufania bezgranicznego do nauki oficjalnej; lecz wiem, że wszędzie znajdziesz ludzi uczciwych. Znam kilku godnych podziwu księży, i kilku lekarzy również; i, biorąc na ogół, w każdym, jakie chcesz stowarzyszeniu, masz równą liczbę ludzi ambitnych, skąpych, czy egoistów. Powiadasz pan, że doktorzy każą sobie za wiele płacić: nie jest to dokładnem, gdy mowa o lekarzach na wsi lub z dzielnic; sześć lub siedem lat studyów kosztowało ich drogo; opłacili dyplom; muszą opłacać patent; muszą zachować pewien sposób życia, muszą utrzymać żonę i dzieci; jakiem prawem wymagasz pan od nich tej zdolności wyrzeczenia się, jakiej nie posiada człowiek jeden na tysiąc.

— Lecz dlaczegoż przeszkadzają mi leczyć, kiedy ja to mogę zrobić lepiej, niż oni?

— Ba! jesteś pan ich konkurentem: walczą. To — życie; nie jest to ideałem, zgadzam się, ale gdzie jest ten, co urzeczywistnia ideał? To odszkodowanie, jakie chcą, byś pan zapłacił, zastąpi opłatę patentu, jakiej pan unikasz.

— Istotnie, zgodził się magnetyzer, dosyć to słuszne, co pan mówisz; nie myślałem

o tem; muszą oni płacić za prawo praktykowania...

— Podczas kiedy pan leczysz w sposób zwyczajny, bez studyów, lub przynajmniej po studyach bardzo ogólnych w porównaniu ze studyami Wydziałów medycznych. A potem, — mówiąc między nami, gdyż można to powiedzieć, nieprawdaż? — leczysz pan, zgoda na to; lecz przecie płacą panu, chociaż nie tak drogo, jak znakomitości lekarskiej. Następnie, czy jesteś pan zupełnie pewien, że zawsze uzdrawiasz?

— O, tak, odrzekł magnetyzer, to pewne; miałem kilka chybień, ale to rzadko.

— No, tak, wiem, ale ja nie o tem chcę mówić; myślę o chorych, którzy wychodząc od pana, zdają się być uzdrowionymi. Czy pan jest całkiem pewien, że są oni uzdrowieni radykalnie?

— Ależ tak, jestem tego pewny, rzekł magnetyzer, nieco zdziwiony; co chcesz pan przez to powiedzieć?

— Poprostu to: że często uzdrawiasz pan tylko pozornie i na pewien czas, po którego upływie choroba wraca pod inną postacią. A może pan wypadkiem czynisz swych chorych nieśmiertelnymi?

— O, nie, oczywiście.

— Leczysz pan tedy tylko częściowo.

Wygląda to, jak gdybym mówił paradoksy; lecz posłuchaj pan trochę. Jesteś pan zwolennikiem teorii fluidów; choroba — to złe fluidy, pan je wypędzasz, wpuszczasz na ich miejsce dobre; wszystko w porządku. Inny z pańskich kolegów będzie leczył ziołami; inny jeszcze będzie działał za pomocą woli; trzeci znów użyje duchów; w gruncie rzeczy, wszystko to mniej więcej sprowadza się do tego samego. Ale te złe fluidy, które pan wypędzasz, gdzie idą one sobie? Gdy masz pan w kuchni karaluchy, zatykasz pan dziury, i karaluchy idą do sąsiada; czyś pan nigdy nie zadawał sobie pytania, gdzie idą sobie te siły chorobotwórcze, które pańska siła lecznicza wypędza? Idą one sobie gdzieś indziej, szukając innego organizmu, podatnego do ich przyjęcia.

— Lecz tedy, panie, rzekł magnetyzer zakłopotany, nie mam że magnetyzować? Cóż tedy chcesz pan, bym robił?

— Ależ nie! rób pan w dalszym ciągu; czynisz pan dobrze; masz pan obowiązek niesienia ulgi środkami, jakich przyroda panu dostarczyła; robisz pan bardzo dobrze; ja chciałem tylko dać panu do zrozumienia, że nie jesteś pan wszechmocny, żeś pan tylko odrobinę mocniejszy od lekarzy, małą odrobinę, — a to dlatego, że pan wierzysz w Życie.

— Widzę z tego wszystkiego, że pan

niszczysz wiarę, jaką miałem w siebie; daj pan coś natomiast; powiedz pan cośkolwiek.

— Otóż! nie powiem panu, że, jeżeli ktoś zachorowuje, staje się to dla tego, że on na to zasłużył, i że trzeba pozwolić mu cierpieć dla odpokutowania...

— O, nie, przerwał magnetyzer, rzekłbyś mi pan to, czego bym nie słuchał. Nie mam nic wspólnego z temi teoryami uczonych; pochodzę z ludu; ojciec mój nie mógł mi dać wielkiego wykształcenia; wiem tylko jedno, że jeżeli ktoś cierpi i jeżeli mogę go uwolnić od bólu, byłbym ladaco, gdybym tego nie zrobił.

— Wiem, odrzekł Andreas; masz pan pocziwe serce. Nie szczędzisz nigdy trudu, i masz w tem rację; radzę panu, owszem, uprawiać dalej magnetyzm. Lecz jak przeszkodzić, by złe fluidy nie szły dalej czynić spustoszenia? Drogą magii? Oczywiście, można je zakłócić, przywiązać zło do jakiegoś miejsca; ale potem, burza straszna wybuchnęła by nad pańską głową. Własnymi pańskimi środkami? Ale pan nie widzisz tych fluidów. Posługując się somnambuliczką? Tak, jeżeli znajdziesz pan osobę całkowicie jasnowidzącą i jeżeli potrafisz pan obronić ją, gdyż we śnie jest się bardziej wystawionym na razy, niż w stanie jawy. Otóż, nie masz osoby, któraby widziała wszystko,

jak nie masz uczonego, który by wiedział wszystko. Tak więc, pozostaje jedyny sposób, to uciec się do Mistrza życia i śmierci.

— Odmawiać Ojczenasze? wykrzywił się na to magnetyzer. Ależ te pocziwe niewiasty, które spędzają swe życie w kościele, czyż one leczą? Przeciwnie, stworzenia to najbardziej plotkarskie i najbardziej złośliwe.

— Zostawmy w spokoju dewotki. Bóg nam kazał być tylko miłosiernymi. Gdyś pan był malcem i przynosiłeś dobre stopnie w sobotę wieczorem, ojciec pański dawał ci groszaki w niedzielę. Rób pan w ten sposób dalej. Pomagaj pan ubogim jeszcze bardziej, niż pan to czyniłeś dotychczas, nie poddawaj się nigdy gniewowi, a gdyś pan jest wobec chorego, zwróć się do Boga; powiedz mu: „Nie wiem, jak wziąć się do tego; pomóż mi; chcę dać temu choremu siłę życiową, jaką ty mi dałeś; uzdrów go tem, i racz następnie urządzić te sprawy“. Potem, możesz pan sprawować, jak zwykle.

— Jednak, dobry Bóg miał by dużo do czynienia, gdyby...

— Nie troszcz się pan o to, przerwał Andreas. Wiesz pan o tem, że w pałacu, rządca pyszniejszy od pana; otóż, z panem Bogiem jest tak: im jesteś prostszy, tem lepiej słyszy ciebie. I nigdy nie zapominaj pan o tem,

że jeżeli chorzy przychodzą do zdrowia, to tylko dla tego, że On chce tego.

— Wszelako, nie może on chcieć, by cierpiano?

— Chce on, przeciwnie, byśmy byli szczęśliwi; i dla tego zawsze mamy nieco mniej bólu, niż na to według sprawiedliwości zasłużyliśmy.

— Lecz pocóż trzeba, by cierpiano? Bóg mógłby łatwo oszczędzić nam tego!

— Tak jest, gdybyśmy nie mieli głowy upartej. Upieramy się nie czynić tego, co On nam każe. Gdy się kto zasiedzi zbyt długo w winiarni, nazajutrz ma ból głowy. To nie Bóg sprowadza migrenę; to reaguje przyroda. Choroby nie mają innej przyczyny. Żle się sprawuje człek,—to, oczywiście, zakłóca inne istoty, widzialne i niewidzialne; nie masz racyi, by dały się deptać bez słowa; protestują tedy. I to wtedy powoduje chorobę, nieszczęście, niepowodzenia. Oto dla czego należy mówić do Boga: „Uzdrow tego chorego, jeżeli taką jest twoja wola“, gdyż może być, że ten ktoś zniósłby chorobę, a nie zniesie tak łatwo zmartwienia albo straty pieniędzy, która zastąpi chorobę, jaką pan, uzdrawiający, chcesz mu odjąć.

— Zgoda. Zrozumiałem. W rezultacie, mam robić, jak mogę najlepiej, wszelako

nie upierając się przy leczeniu mimo wszystko.

— Tak właśnie. Uważasz pan, jest dwadzieścia sposobów złamania nogi; lecz zawsze jest to noga złamana. Tak samo, jest dwadzieścia sposobów leczenia; oto właśnie dla czego człowiek leczący może nie być uczciwym. Lekarz, nieczuły i chciwy, może wyleczyć jeżeli jest uczonym. W ten sposób pewne istoty ze Świata Niewidzialnego mogą udzielić komuś władzy leczenia, ponieważ przez to otrzymują one władzę nad chorymi.

— Ale tedy jest to wszystko bardzo niebezpieczne, zawołał magnetyzer.

— Tak jest, niebezpieczne. Ale pan nie masz się czego obawiać z tej strony, jeżeli tylko będziesz pamiętał, żeś jest narzędziem w ręku Boga. Bóg dobry nie pozwala, by wprowadzano w błąd tych, którzy Mu ufają.

XIII

Gdy znowu przyszedłem do Andreasa, był u niego młody robotnik siodlarski, wypytujący o środki właściwe do urzeczywistnienia łączności pomiędzy szkołami spirytualistycznymi, na tym słynnym Kongresie, o którym świeżo mówiono. Andreas starał się włożyć

niewielko rzeczywistości w utopie szlachetne entuzjasty-mistyka.

— Naprzód, mówił, spirytualizm współczesny jest dopiero w stanie szkicowym; nie ustalone nawet jeszcze jego słownictwo; wyraz techniczny przybiera w każdej szkole odmienne znaczenie; ta sama idea przyjmuje różne miana; trzeba całych studyów przedwstępnych, by się w tem rozgarnąć.

— Może by dobrze było wydać słownik.

— Owszem, jeżeli masz spirytualistę z dostateczną powagą, by wszyscy przyjęli jego określenia. W przeciwnym razie, słownik twój będzie tylko wyrazem szkoły.

— A gdyby tak naprzód ustalić doktrynę?

— Wynijdz trochę ze swej komnaty, odwiedź kilka kół spirytystów, magnetyzerów, astrologów, okultystów, teozofów: wtedy wrócisz, przynosząc mi pierwiastki twego ciała doktryny! A jednak wszyscy się ogłaszają za tolerancyjnych; lecz ich tolerancja polega, dla każdej szkoły, na okazywaniu, że wszystkie inne szkoły posiadają tylko część prawdy, podczas gdy ona jedna dzierży ją całkowicie. Wszelako, ta mnogość teorii jest rzeczą naturalną, konieczną i pożyteczną. Prawda ma niezliczone oblicza; i trzeba znać je wszystkie. Następnie, jedność tryska tylko z mnogości,

w Naturze; wreszcie, starcie się idei i uczuć zdradza jedynie prawdziwą tolerancję.

— Więc projekt mój nie żywotny? zapytał młodzieniec.

— Na twojem miejscu, przedstawiłbym go nie mniej; obaczysz starcie się ogólnie wielkich kapłanów: widowisko to pouczające. A potem, zabierając głos w chwili odpowiedniej, dasz możność wyłonieniu się z bitwy przeświadczenia ważnego, mianowicie, że jedynym punktem łączności możliwej jest to, co, we wszystkich tych systematach, nie należy do inteligencji, lecz do serca; nie do wiedzy, lecz do mocy; nie do teorii, lecz do praktyki: jest tem moralność.

— Tak, zarzucił robotnik; jednak jeżeli spirytualiści mają się zgodzić tylko na punkcie moralności, to nie warto zgoła ześrodkowywać ich, gdyż najwyższa moralność spirytualistyczna jest równą najwyższej moralności materyalistycznej. Czynić dobro dla dobra, ani nie z obawy przed żandarmami widzialnymi czy niewidzialnymi, ani nie w nadziei nagrody: Epiktet i wielcy święci katoliccy tegoż nauczają.

— Masz rację; tem nie mniej spróbuj złączyć tych ludzi. Trzeba, widzisz, marzyć; marzenie jest pożyteczne; nie trzeba się tylko upajać marzeniami. Gdzież bo jesteśmy? Wszyscy jesteśmy na ziemi. Dokąd iść pragniemy?

Wszyscy społem do Absolutu. Lecz odległość ogromna, tak wielka, jak to o niej liczby astronomiczne mogą nam dać wyobrażenie. I nie możemy wszyscy iść tą-ż drogą, nie jesteśmy bowiem tacy sami jedni w stosunku do drugich. Patrz, kiedy podróżnicy ruszają w świat w kierunkach najbardziej przeciwnych: każdy z nich obaczy inne pejzaże, miasta, ludy, pomniki, muzea rozliczne. Oto różne religie, różne wtajemniczenia. Lecz wszyscy ci podróżnicy spełniają jedno dzieło: idą; bez tego nie byliby podróżnikami. Oto rola moralności. Bez niej, próżno gromadzić misterya, obrzędy, nauki, nie idzie się naprzód. Z nią, bez żadnej innej rzeczy, o tyle się idzie naprzód, o ile się nie zatrzymuje dla ciekawości drogi.

— Innemi słowy, wywnioskował młodzieniec, spirytualistom trzeba by zdrowego rozsądku: niech nie podejmują trudów, których nie są jeszcze zdolni doprowadzić do skutku.

— Słusznie, mój drogi druhu, zachowajcie zdrowy sens rzeczywistości. Dnia tego, kiedy dwaj spirytualiści staną się niezdolnymi do mówienia źle jeden o drugim, uczynią oni więcej dla łączności szkół, niż gdyby zwołali dwadzieścia kongresów i podpisali dwadzieścia tomów upomnień. Co myśli pan o tem, doktorze? dodał Andreas, zwracając się do mnie.

— Podzielam w zupełności pańskie zda-

nie, odrzekłem. Wierzę, że wszyscy jesteśmy prowadzeni, nie domyślając się nawet tego; lecz przewodnicy nasi, dobrzy czy źli, nie mówią nam o swoich zamiarach, jak generał nie zwierza swych planów szeregowcom. Wodzowie zaś Ciemności, zręczni i przebiegli, umieją zradzać w sercach czystych ciekawości nieczne, pod pretekstami chwalebniemi. Bądźmy tedy roztropni.

— Bóg jednak nie da się zbłąkać człowiekowi szczeremu! zawołał boehmista.

— Trzeba jeszcze, odrzekł Andreas, by człowiek ten uznał, że może błądzić; by nie liczył całkowicie na swą wiedzę i swą inteligencyę; by był skromnym.

— Tak jest, zawnioskował młodzian, mamy tylko pozostać szczerymi, stać się pokornymi, dać dowód odwagi. Bóg robi resztę; bowiem, ponad wszystkimi religiami i wszystkimi adeptatami, jest kult Ducha; i my, łącząc się z Ojcem, przez Syna, będziemy jedynie mogli nosić miano spirytualistów.

Podczas tych ostatnich uwag, wszedł, jak gość domowy, pastor wolnomysłny: był to człowiek jeszcze młody, blondyn, z oczyma jasnymi. Przywitawszy się, zabrał głos w celu wyłożenia zamierzeń kilku swych kolegów, mających na widoku zbliżenie pomiędzy katolicyzmem i protestantyzmem. To dzień szlachetnych utopii, pomyślałem sobie.

— Zdaje mi się, ciągnął duchowny, że my, protestanci, jako zwolennicy nieskrępowanego badania, przedstawiamy zasadę powszechną indywidualizmu, wyzwolenia; jesteśmy niejako przednie poczty, wysłane na zwiady w religii. Podczas gdy katolicy, konserwatywni tradycyoniści, systematycy, przedstawiają sobą przeszłość. Chcieć zlać w jedno dwie te dążności zdaje mi się całkiem ryzykownem. Księża i pastorzy winni wiedzieć, ponieważ są sługami tegoż Boga, i świadkami jego pieczy, że ta z czynności boskich, która się zwłaszcza zajmuje człowiekiem, jest to Opatrzność. Przez jej zabiegi, aspiracye nasze najwyższe otrzymują odpowiedzi, i nie krępując nas w niczem, daje nam ona środki do wyjścia z trzęsawiska, w które nas wpędza kolejno obciążenie fatalne przeszłości i uniesienia bez uzdy ku przyszłości.

— Widzę, panie, u pańskich współwyznawców podział nieskończony na sekty; następnie, oddanie się we władzę racjonalizmowi, czy to w studiach filozoficznych, czy w studiach historycznych, które kończy na zaćmieniu literą znaczenia boskiego Ewangelii. Czyż to nie część najuczciwsza waszego duchowieństwa uznaje w Zbawicielu tylko człowieczeństwo, a w cudach widzi tylko symbole albo dzieła naukowe? Nie jest że to właśnie naucza-

niem wtajemniczeń antychrześcijańskich wschodnich?

— Nikt bardziej odemnie, doktorze, nie ubolewa nad takim stanem ducha, odrzekł duchowny. Jest to błąd, którego nie popełnia katolicyzm. Lecz wasi teologowie, niech mi pan wybaczy szczerość, usypiają się zanadto przeszłością, przesadzają znaczenie obrządków; litera zabija ducha; przytem rząd waszego kościoła zdaje się być trochę zanadto politycznym. Jedynym tedy terenem porozumienia się byłaby nie boskość Jezusa-Chrystusa, bowiem, na nieszczęście, zbyt wielu moich kolegów nie wierzy już w nią, lecz działalność moralna, miłosierdzie.

— Istotnie, spory zgola bezużyteczne; gadacze nie są realizatorami, rzekł Andreas. Znajdź mi pan pastora i znajdź mi pan księdza, którzy by byli świętymi; rozumiem przez to ludzi zdrowego rozsądku, woli silnej, którzy by ziścili, każdy dla się, ideał praktyczny swej religii. Porozumieją się oni rychło; na ludzi, których całe istnienie jest ciąglem powoływaniem Opatrzności: przez ofiarowywanie jedność wszystkich swych trudów fizycznych i moralnych, Jedność zstępuje, zdobywają oni umiejętność wcielania jej, stają się zdolnymi do zbudowania dla niej ciała organicznego w zbiorowości społecznej.

— O, tak! zawołał młody robotnik, tacy ludzie zdolali by, być może, przekonać Konsystorz, Święte Kolegium, polityków i bezwyznaniowych. Ale czytałem niektóre księgi apologetyczne: chcą one eksperymentowania zjawisk mistycyzmu, chcą katalogować miliony czynników, współdziałających w organizowaniu duszy zbiorowej religijnej czy politycznej; i nie dochodzą nawet do wyliczenia sił, jakie tworzą mikroba.

— Przykład trochę za prosty, zauważył Andreas z uśmiechem; lecz w sumie słuszny. By podbić materię, trzeba ją badać środkami meteryalnemi; lecz Duch nie daje się pochwycić: umyka, kiedy mu się podoba. Przez Ducha to właśnie wieczystego doskonali się nasz duch nieśmiertelny. Religia jest jedną tylko przez to, co w górze; zestosowywać formy religijne, to robić mozaikę; trzeba, by wierni różnych religii wzniesli się aż do Boga: oto czego *form* trzeba doświadczać.

— Próby te zjednania nie są nowe, rzekłem, pragnąc skłonić naszego gospodarza do odślonienia kilku punktów ciemnych z historii bractw mistycznych. Wymieniałem nazwiska, potrafiłem o Różokrzyżowców, o Filaletów, o Kościół wewnętrzny Eckarthausena; lecz Andreas przeciął mój manewr, zwracając nam uwagę, że spóźnimy się na ostatni omnibus;

zwykle, zatrzymywał mnie znacznie poza północ; zrozumiałem, że nie zniewolę go już do mówienia tego wieczoru, poszedłem tedy z boehmistą i pastorem.

XIV

Okoliczności zrządziły, że upłynęły całe tygodnie, zanim mogłem udać się znowu do Ménilmontant. Przeciąg ten czas był płodny w przeszkody: zajęcia, przyjaźni, stosunki, wszystko stało się dla mnie źródłem zawodów; dowiedziałem się wypadkiem o Andreasie kilku historii niezyczliwych; usłyszałem, jak ludzie o powierzchowności szanownej skarżyli się na niego; zwątpienia me powróciły. Nie śmiałem go nigdy pytać o Dezyderyusza, — teraz zaufanie me osłabło; przyszło natomiast niezdecydowanie i zniechęcenie; do tego stopnia, że dnia pewnego postanowiłem udać się po odebranie haftu, i zerwać te stosunki. Nie oskarżałem jednak Andreasa; jakieś przecucie niejasne kazało mi nie sądzić go; wiedziałem, jak plotki obnoszone po mieście wszystko przekręcają; a jednak chciałem zgładzić z pamięci wspomnienie o nim. Nielogiczność tych pobudzeń wewnętrznych zbijała mnie z tropu: nie miałem jeszcze wtedy wiele doświadczenia w czyśćcach duszy.

Kiedy przybyłem tam, sam widok domku wystarczył, by mnie rozpogodzić. Stella przyjęła mnie ze swą wesołością uroczą; pokazała mi swą robotę.

— Musiałam, rzekła mi, sporządzić karton z papieru chińskiego; Andreas pociągnął go werniksem nieprzezroczystym, własnego przygotowania; wtedy mogłam już wyciąć płatki kwiatów brakujących, tak że haft mój nowy jest tak przejrzysty, jak oryginał.

— Czy zwykła podkładka nie byłaby wystarczyła? zapytałem, zdziwiony tylu trudami.

— Nie; byłaby spowodowała nieprzezroczystość. Zresztą, niech pan sam osądzi.

Makata, w rzeczy samej, była w stanie cudownym; niepodobna było odróżnić naprawy; byłem zachwycony i gorąco podziękowałem Stelli. Lecz kiedy chciałem zapłacić, odmówiła stanowczo, powiadając, że mąż by ją złażał. A jednak, pomyślałem sobie, przedstawiano mi tych ludzi, jako mało sumiennych i interesownych!

Andreas, który na ten czas powrócił, poparł zdanie żony. Zresztą, dodał, by zniewolić mnie do przyjęcia tego podarunku, będziesz pan miał jeszcze nie raz sposobność oddania nam tego.

Zasiedliśmy w altance; Stella poczęstowała nas likierami, które sama przygotowała, według starych przepisów; i, gdy z rozmowy

o tem i o owem traf dopomógł, mogłem powiedzieć gospodarstwu o mych boczeniach się i, pod pokrywą słów, powtórzyć niektóre wieści, krążące o nich. Na te zwierzenia pozostali obojętni.

— Wiele innych historyi obnoszą na mój rachunek, i jestem rad z tego wielce, oświadczył Andreas. Daleko bardziej wolę, kiedy we mnie godzą, niż kiedy mi kadzą. Jak to mówi Biblia, wszystko ma swą wagę, swą liczbę i swą miarę, czyż nie tak? Jest pewna ilość potwarzy, na świecie; wolę, by padały na mnie, który nie dbam o nie, niż na innych, którzy by się przejmowali niemi lub ponosili z powodu nich szkodę. Dobro właśnie jest pożywieniem dla zła, gdyż dobro posiada życie; lepiej jest być pastwą dla złego, niż żywić się kosztem dobrego; lepiej być napadany, niż napadającym... wszelako byle pozostać pokornym.

— Odpowiadasz pan na pytanie, jakie miałem na języku, rzekłem. A jednak, słyszałem mistyka, starego lekarza marynarki, którego znasz pan niewątpliwie, nauczającego, że nie bronić się od złorzeczenia albo potwarzy, jest to samobójstwo!

— Ja nie przeczę, że złorzeczenie zadaje rany; ale, jeżeli je odeprzesz, pójdzie ono do sąsiada; a potem, sam fakt, że przychodzi to

do pana, oznacza, że przeznaczonem jest osobście dla pana.

— Jest li to doktryna poddania się woli Bożej? spytałem.

— Tak jest; lecz nie wpadajmy w kwietyzm; należy znosić cierpienia i czynić dobrze.

— Łączyć razem pasywność i aktywność?

— Tak jest właśnie. Zbadaj pan ostatni okres swego życia: czy nie widzisz, skąd pochodzą pańskie zwątpienia obecne?

— Nie widzę, przyznałem się; nie umiałem sięgnąć od skutku do przyczyny. Mają-ż być nią me studia okultystyczne; me próbowania Yogi? Zali nie trzeba zgola, jak mówi św. Paweł, doświadczać, zanim się sądzi?

— Oczywiście, odrzekł Andreas z uśmiechem, ale pan jesteście europejczykiem, któremu zawsze pilno działać. Działać jest rzeczą wysmienitą; ale rozważyć kilka minut, poprosić o Światło — oto są ostrożności, które nigdy nie szkodzą dziełu.

I, gdym milczał, dodał:

— Cóż, doktorze, robiło się małe ćwiczenka, nieprawda-ż? Utkwienie wzroku, tworzenie obrazów myślowych, nastawianie woli, rozwijanie jej? Grande operation podług rytuału Elifasa Levi'ego?

Uśmiech mój potwierdzał; Andreas mówił dalej:

— Widać to z pańskiej twarzy; przemęczyłeś się pan; wątroba nie w porządku; również i płuca. Dajmy na to, że ukazał się panu duch, pański geniusz. Cóż potem? Przypuściwszy, że masz pan siłę, wyrażającą się liczbą 10; czy możesz pan wierzyć, że będziesz pan przewodził siłą, wyrażającą się liczbą 1000?

— Szofer jednak jednym ruchem puszcza w ruch lokomotywę.

— Nie są to siły tego samego rzędu. Uprawiający magię działa za pomocą siły... powiedzmy, astralnej, na istoty również o naturze astralnej. A przytem szofer zna pewne prawa materii, podczas gdy uprawiający magię wywołuje, by właściwie poznać siły tajemnicze. Popełnia on petitio principii.

— To słuszne, oczywiście.

— Magia tedy pańska styka pana tylko z istotą, nieco silniejszą, niż pan, i zważ pan: mówię o sile, nie o Świetle. Chemik, który odkrywa nowy związek, ryzykuje wielce, że może się zatruć lub wylecieć w powietrze ze swem laboratorium.

— Mam nadzieję, rzekłem, że już nie będę próbował operacyi magicznych.

— A więc, zakończył Andreas z uśmiechem, uszy do góry; weź pan na się swe winy. Rozważ pan jedno ze swych ćwiczeń i wyrozum to: wszystkie komórki pańskich pokarmów,

wszystkie cząsteczki tynktur, ziół, sprzętów, roślin, zwierząt, któreś pan używał, wszystkie włókna ciała pańskiego, jakieś pan uprawiał w ruch w tym celu, wszystkie siły niewidzialne, jakimi posługiwała się pańska wola: wszystkie te nierządy i ruiny, trzeba, byś pan teraz naprawił.

— Jest to całkiem słusznem, rzekłem.

— Pokój tedy niech będzie z panem; Niebo uczyni coś dla pana, zakończył Andreas z akcentem głosu ojcowskim.

Raz jeszcze, odszedłem rozpogodzony: w ustach tego człowieka tak prostego, najbardziej oderwana metafizyka stawiała się jasnym zdrowym sensem; wzrok jego tak prawy zaszczerpił mi siłę; uśmiech jego rozproszył mój pesymizm. Odszedłem, pełen ufności, i niemal wstydząc się niedawnych mych niepokojów.

XV

Gdym przybył następnym razem, Andreas był na wyjściu. Zaproponował mi, lub raczej, jakgdybym miał mu być użytecznym, poprosił mnie, bym mu towarzyszył. Grzeczność jego, wytworna w formach, tryskała, zdało się zawsze samorzutnie, jak źródło świeży; względem gości czar jakiś zdobił jego uprzejmość. Święty Franciszek z Asyżu musiał mieć ten sam ujmujący sposób obcowania. Andreas

lubił prawdziwie odwiedzających go; i ci, którym wyświadczał on największe przysługi, byli zawstydzeni, widząc jego zachowanie się, jakgdyby to on właśnie był im obowiązany. Zrozumiałem w ten sposób, co znaczy być prawdziwie pokornym.

— Idę do Plaisance, odwiedzić chorego, rzekł mi Andreas; czy nie przestrasza pana ten kurs?

— Bynajmniej, odrzekłem; lubię chodzenie; ale, czy nie lepiej by było, by zaoszczędzić pańskiego czasu, wziąć fiakra, lub pojechać koleją obwodową?

Oświadczył mi, że woli chodzić; i istotnie, w ciągu lat całych, nie zauważyłem, by w mieście posługiwał się jakim pojazdem. Może trudy te nakładał sobie, jako umartwienie; może godziny te drogi, dzięki jego władzy skupienia, były właśnie używane na pracę umysłową; tak czy owak, robiłem często postrzeżenie, że rzadko sobie wybierał drogę najkrótszą.

Po raz to pierwszy wychodziłem z nim. Nieskończona przeprawa, poprzez hałaśliwe ulice, odbyła się bez postrzeżenia prawie z mej strony jej długości. Andreas miał krok pozornie powolny, tych piechurów, którzy pokonują jednym ciągiem piętnaście mil francuskich. Palił dużo, lecz mówił mało. I muszę wspomnieć, że, ilekroć wychodziłem z nim, byłem w stanie

nerwowym bardzo osobliwym. Widowiska drogi nie pozbawiały mię już pewnego natężenia wewnętrznego, dzięki któremu przedmioty naszych rozmów rozświeślały się, zanim prawie je formułowaliśmy. Zdało mi się, że był na jakimś pomoście, z kądem postrzegałem odwrotną stronę rzeczy, prawdziwe, by tak rzec, ich miejsce. Nie czułem już ciała; i nigdy zmęczenia; zaś wzamian miałem wrażenie wewnętrzne, że nauczyłem się wiele innych rzeczy, niż te, o których on rozmawiał ze mną.

Skorzystałem ze sposobności, by powiedzieć Andreasowi o innej seryi moich studyów, o moich próbach praktyki kontemplacyjnej, o wszystkich moich usiłowaniach po omacku osiągnięcia rezultatu dotykającego.

— I, w odpowiedniej chwili rzekł mi Andreas, najwyraźniejszą pańską zdobyczą jest początek suchot.

Wyraziłem na to zdziwienie; ale, ku wielkiej mej niespodziance, wyliczył mi różne symptomy patologiczne, o których nikomu nie mówiłem; nie śmiałem zgoła pytać, z kądem mógł wiedzieć o tych szczegółach. Dawał mi w dalszym ciągu długie wyjaśnienia techniczne co do Yogi: unikał, jak gdyby z obawy pedantyzmu, używania terminów sanskryckich, starając się przekładać je w sposób dokładny i bardzo mądrze dobrany.

— W sumie, zakończył, gimnastyka oddechowa, uprawiana rozsądnie, jest wyborna. Ale gdy dodasz pan do tego natężenia woli, natężenia magnetyczne lub umysłowe, przekraczasz tem Prawo. Zawartość tlenu, kwasu węglowego, jak i ilość pokarmów, jest ustaloną zgóry dla każdego. Przeznaczenie tych granic, nawet w zamiarze zacnym na pozór natężonej kultury psychicznej, powoduje reakcję. Chociażby nie wiem jak subtelnie rozumować, nie dowiedzie się nigdy, że czyni się dobrze drogą postępowania złą; będzie to tylko dobrem pozornem, prowizorycznem, i dokonywaniem zła całkiem blizkiego.

Zamilkłem, szukając zarzutów i nie mogąc ich znaleźć. Wobec mego milczenia, Andreas mówił dalej:

— Opowiem panu, com widział pewnej nocy, podczas mojej drugiej podróży po Tybecie. Ukazał mi się podczas snu jakgdyby batalion żołnierzy, pracujących nad dziełem oszańcowywania się, w widokach napadu na fortecę, której nie było widać. Kuryerzy przybywali i odjeżdżali galopem. Światło księżycowe oświecało pejzaż cały; przyszedłem tedy do wniosku, że sen ten był rzędu umysłowego. Rzeczą ciekawą było to, że grunt ziemi, skalisty i szarawy, zdawał się poruszać, jak serce tętniące. Naraz ukazała się grupa istot, których

głowy olbrzymie i nieproporcjonalne u wierzchołka, przypomniały mi niezwłocznie owe postacie mędrców chińskich, które znasz pan, doktorze. Falanga ta kierowała się ku namiotowi generała: prowadził ją makrocefal nadzwyczajny, którego ciało było całkiem przezroczyste. Mówił on do generała z surowością; małe połyski fioletowe wychodziły z ust jego. Ruchy wywiadowców i pionierów zmieniły się natychmiast; wielu z nich, odzianych w czerwień, zostało przepędzonych z pola; widziałem, jak biegli, tu i tam, po płaszczyźnie, a potem padali, jeden za drugim, na ziemię. Towarzysze ich, pozostali na polu, stawali się powoli podobni do istot o dużych głowach. Roboty oblężnicze zostały porzucone; i kierowano się, poprzez równinę pulsującą, ku czarodziejskiemu grodowi, który zauważyłem na szczycie łańcucha gór. Poznałem, że obraz ten czarujący był tylko mirażem. Wspinanie się trwało lata. Od czasu do czasu, wędrownicy spotykali kształty fantastyczne, zwierzęta przedpotopowe, potwory, znane jedynie jasnowidzącym. Naraz batalion został otoczony przez Czerwieńców, których poczytywałem za zmarłych. Oficer długowłosey dowodził nimi; posuwali się spokojnie na istoty krystaliczne, i, gdy je doścignęli, padły one na ziemię, jakgdyby w proch rozsypały; skały przyjęły wygląd ziemi żyznej,

i wkrótce roślinność bujna wyrosła na niej. Wszystko zniknęło. Zbudziłem się. Dzień powstawał, i wdrapałem się na wzgórze sąsiednie, by napawać się, jak zwykle, wschodem słońca.

— Jakżeż to musi być piękne, rzekłem, zapominając o widzeniu, jeżeli mam sądzić o tem z tego, com widział w kształtach masywnych Belladonny!

— Jest to nie do wyobrażenia; najniższe doliny są o trzy tysiące metrów; przezroczystość atmosfery, czystość powietrza, cisza niewysłowna, dramat patetyczny barw, roztaczający się na horyzoncie, zanim słońce powstanie raptownie: wszystkie te niezmierzoności wstępują ci do duszy, falami, i odnawiają ci ją. Ranka tego tedy, stojąc na podmuchu mroźnym śniegów wieczystych, szmerzący formuły ze ścieży, jaką wtedy kroczyłem, pojąłem znaczenie mego widzenia, i byłem niem wstrząśnięty. Sądzę, żeś pan nie potrzebował całej tej dekoracji, jaka mi pomogła, by również zrozumieć.

— Zdaje mi się, odrzekłem, że ziemia sucha to plan myślowy, przez się nie płodny, i na którym budują się tylko złudzenia; żołnierze czerwoni i wywiadowcy wyobrażają wrażenia; istoty krystaliczne — to to, co Boehme nazywa wolą własną. Widzenie to poucza, że człowiek nie ma prawa forsować żadnego z przejawów życiowych, jakie przyroda złożyła w nim;

chcieć rządzić ruchami zasady myślącej jest niebezpiecznym złudzeniem: bowiem, by poznać, które z obszarów myślowych należy zatrzeć lub wzmocnić w widokach wszechwiedzy, trzeba naprzód posiadać wszechwiedzę.

— A potem, jedyne nasze narzędzie, mózg, jest zdolny do odbicia tylko skrawka wszechświata, dodał Andreas. Po długim milczeniu, począł znów z półśmiechem:

— Więc tedy, kochany doktorze, pojąłeś bardzo dobrze jedno ze znaczeń mego widzenia; ale zwolnię już pana od mych przypuszczeń; samotnicy są gadułami, gdy znajdują przychylnego słuchacza, a zwłaszcza gdy się starzeją.

XVI

Przeprawa przez bulwar Saint-Michel nie pozwoliła mi odpowiedzieć; ale, poczynając od Luxemburga, nawiązałem szybko rozmowę.

— Rozumiem wszystko, o czym mnie pan powiadamasz, a jednak nie daję się przekonać.

— Masz pan rację, doktorze, zawołał Andreas; jest nam dany sąd, analiza, trzeba się tem posługiwać.

— Niech mi pan pozwoli jaśniej się wyrazić. Oto czego nie mogę sobie wytłumaczyć.

Opatrzność jest dobrą i sprawiedliwą, wszak tak? Dla czegoż pozwala, by ludzie wynajdywali zgubne metody rozwoju?

— To, co pan podajesz, jest, w istocie, problematem trudnym, odrzekł mój towarzysz, z wyrazem twarzy poważnym; trzeba by na to zosrodkować pana umysłowo, dodał po chwili rozważli.

— Nie rozumiem, odparłem; zosrodkować?

— To prawda, mam zły zwyczaj używania porównań dziwacznych. Pojęcie, wie pan, funkcjonuje, jak system algebraiczny, albo jak rysunek geometrii opisowej; ale jest również rachunek różniczkowy i hyperprzestrzeń.

— Wciąż nie rozumiem, przyznałem się po dość długiej chwili namysłu.

Andreas uczynił gest powątpiewający, i zapytał:

— A gdy pan zrozumie, czy będzie mi pan mógł przyrzec, że będzie się pan zachowywał w dalszym ciągu, jakgdybyś pan nie wiedział?

Już chciałem oświadczyć, że tak, ale, pod mądrym spojrzeniem mego towarzysza rozmowy, uczułem próżność dostateczną mej odpowiedzi; zadowolilem się powiedzeniem, że dołożę mych starań w tym celu. Znajdowaliśmy się wtedy, pomnę, przed owym pięknym

parkiem Couesnon, który został wyrabany, by dać miejsce na skład tramwajowy. Poczęło się zmierzchać. Andreas zatrzymał się, uniósł głowę, którą dosyć często nosił pochyloną, popatrzał mi w oczy w ciągu kilku sekund, i rzekł:

— Błogosławieni ubodzy duchem! Oto co można wyczytać w Księdze Baranka. Otóż, duch człowieka jest znany jedynie tym, którzy mogą żyć w atmosferze Pocieszyciela. My, ludzie zwykli, nie możemy oddychać powietrzem tem zbyt żywym. Każde doświadczenie atoli zjędrnia nasze płuca, i uwyróżnia w nas zarys, jaki wszyscy nosimy, posagu Słowa. Nie zdołamy atoli nigdy, własnymi siłami, ożywić tego posagu. Słowo jedynie może weń tchnąć Życie, Swe życie. Otóż, wielu ludzi, zaślepionych, poczytuje ten posąg za żywy; przywiązują się do niego, czynią z niego swe dzieło, swą rzecz; powiększają Cięń; i, mniemając, że idą do Bytu, zbłąkują się ku Nicości. Niektórzy wszelako domyślają się błędu; ci, których nie zagarnęła całkowicie pycha; mogą oni słyszeć ostrzeżenie anioła stróża; poczynają oni czuć namacalnie nie-stałość tego świata; uczą się zapomnieć; i Niebo zbliża się do nich o sto kroków, za każdym razem gdy stąpną ku ośrodkowi świata. Wszystko, coś przeczytał, wszystko, coś usłyszał

egzotycznego i tajemniczego, powtórzyło ci jedynie ten aksyomat: „Akcyja powoduje reakcyę; twa ręka może się jedynie wzniesć ku firmamentowi, jeżeli ramię twoje i ciało twoje opierają się na ziemi wysiłkiem równoznacznym“. Zwałeś to prawem dwoistości, nieprawda-ż? Przez cały przeciąg lat twych studyów, komórki szare twego mózgu nagromadzały, komórki białe wysubtelniały się; odkryłeś w sobie wiele organizmów nieznanych, które ochrzciłeś mianami greckimi, hebrajskimi, albo sanskryckimi, albo egipskimi, albo chińskimi, według nadziei twoich chwil. Czerpałeś siłę, gdzie mogłeś i jak mogłeś; uczyniłeś z siebie coś w rodzaju siłacza dekoracyjnego i nieużytecznego, zdolnego przy sposobności do wysiłku nadzwyczajnego, lecz skazanego przez całą resztę czasu na tryb życia drobiazgowego: podziwiają cię i wbijasz się tem w pychę.

Wszystkie ciała rodzą się, wzrastają, potem zanikają. Twe ciała niewidzialne uniknęłyżby tego prawa? Nie, wszystkie te organy, wszystkie te moce przedwczesne, potrzeba, byś zwrócił; i oto teraz zostaniesz poprowadzony po drodze zstępującej.

Andreas umilkł; przybyliśmy na miejsce; dostaliśmy się do dzielnicy robotniczej, o domach z cegły zabrudzonej, bez pięter, z podwórkami zapełnionemi hałasującą dzieciarnią. Stara

tlusta kobieta poznała Andreasa i wprowadziła nas do smutnej izdebki, gdzie w głębi łóżka, dosyć czystego, mężczyzna zwracał ku przybywającym niespokojne wejrzenie. Był to jeden z tych paryasów, których miasto zradza tysiącami, wyczerpanych od dzieciństwa przedwczesną pracą, a którym alkohol jedynie daje siły do życia, pomimo złego odżywiania się, złej higieny i niedbalstwa.

Począł wylewać żale do wtóru ze swą żoną; Andreas, stojąc, z kapeluszem w rękę, słuchał ich uważnie, kiwając ze współczuciem głową, i zdawał się rozmyślać. Wreszcie stary skończył swe żale, wykrzykując resztą głosu, jaka mu pozostała:

— A jednak Pan Bóg nie jest sprawiedliwy! I zresztą, są to wymysły wyzyskiwaczów! Niema Boga!

— Jakto? Pan Bóg nie jest sprawiedliwy? łajał Andreas. A wy, czy jesteście sprawiedliwi? Czy trzeba, bym powiedział wszystko waszej kobiecie? dodał ciszej, podczas gdy niewiasta wyszła poszukać kieliszków, by poczęstować „nalewką“. I pochylając się, wypowiedział kilka słów do ucha chorego.

— Zkąd pan wiesz o tem? zawołał ów przestraszony.

— Cicho, cicho bądź, odrzekł Andreas, z miną zadowolną z figla, jaki wyplatał temu

człowieczynie. No, wet za wet. Nie skarż się, to i ja nie powiem. Ale,—i tu pogroził palcem wskazującym,— musisz już kroczyć prostą drogą!

Kobieta wróciła; trącono się kieliszkami, wypito. I znowu ona kolejno poczęła się skarżyć.

— Czy ozdrowieje on, mój dobry panie? jęczała. Cóż to się ze mną stanie?

— Nie wiem, nie wiem, matko, wymawiał się Andreas; oto przyjaciel mój doktor powie wam to; choroba ciężka, nieprawda-ż, doktorze?

Byłem trochę w kłopotcie co do mojej osoby; z punktu widzenia lekarskiego chory był nie do uratowania; lecz Andreas był tutaj; zdecydowałem się wyznać prawdę.

— Tak jest, stan bardzo ciężki; będzie to cud prawdziwy, jeżeli wyjdzie z tego.

— Więc chodzi wam bardzo o to, matko, zapytał Andreas, by mieć tego starego męża pyszałka.

Za całą odpowiedź, stara kobieta poczęła płakać. Lecz Andreas wziął z czułością jej rękę, i złożył pod swoją. Ułoży się to, pocieszcie się; ale już nie kłóćcie się wzajem; inaczej, nie warto byłoby trudu; i pomnijcie, że są nieszczęśliwsi od was. Zrozumiałeś to, nieprawdaż? rzekł do męża. No, do widzenia, jednego z dni najbliższych. Idziesz, doktorze?

Doznałem nieco zawodu; oczekiwałem, że ujrzę cud.

— Dlaczego nie uzdrowiłeś go pan natychmiast? zapytałem.

— Ależ — naprzód, to nie ja go uzdrowię; następnie, nie potrzebuje odrazu wstawać; ma jeszcze kilka *sous*; może przeczekać tydzień. Przy tej sposobności, powiedz pan: co byś zrobił pan, okultysta, by uzdrowić tego człowieka.

— Jest on bardzo chory, odrzekłem; nie wiele wiem; próbował bym przeszczepić chorobę ne drzewo, na zwierzę...

— Tak: wprowadzić ją do miejsca, gdzie niema ona prawa iść; a potem, chciałbym widzieć, gdyby tak pana obciążono chorobą bogów; jęczałbyś pan od tego napewno.

— Tak jest, to prawda; nigdy nie pomyślałem o tem. A więc! gdybym puścił innego geniusza na geniusza choroby?

— Jeżeli geniusz pański będzie słabszy, stan chorego się pogorszy; musi tam być o tem przypowieść w Ewangelii. Jeżeli geniusz pański wypędzi albo zabije chorobę, to pan będziesz odpowiedzialny za to, co się potem stanie. Geniusz tuberkulozy poszuka kolegów, żeby się pomścić; a pan co zrobisz wtedy? A jeżeli te istoty, wściekle, rzucają się na niewinnych?

— Nie widzę tedy rozwiązania; chyba poprzestać na zwykłej medycynie?

— Otóż nie, doktorze; kiedy okazuje się niemożliwość, wtedy rzecz jest ciekawą; trzeba się upierać; albo Niebo odpuści winy chorego, albo odmieni sposób zapłaty.

— Pragnę wierzyć panu, rzekłem; ale nie jestem przekonany.

— Wiem, odrzekł z uśmiechem; do widzenia, doktorze, bądź pan zdrow. Odwiedzisz mnie pan w przyszłym tygodniu, we środę, dobrze?

— O, tak, oczywiście, odrzekłem, nieco roztargniony własnymi myślami; liczyłem na powrót przyjemny, długi i powolny, z rozmowami pełnemi, z przerwami dogodnemi, z nowościami; miałem tyle do wyjaśnienia, tyle projektów do przedstawienia; lecz Andreas zniknął już w poczynającej się nocy, którą rzadkie latarnie rozświetlały w odstępach. Powróciłem dosyć smętny do domu.

XVII

Dwa miesiące przedtem, otrzymałem był od Towarzystwa wydawnictw naukowych zamówienie na dosyć dużą robotę, dotyczącą pewnego punktu Patologii. Wysłałem rękopis przed kilku dniami; i wracając z ulicy du Château, znalazłem wśród poczty list wydawcy, oznajmiający mi zwrot rękopisu pod jakimś błahym pretekstem. Pierwsze rozczarowanie.

Miałem, na szczęście, dni bardzo wypełnione, by się od tego oderwać. W dwa tygodnie później, przechodząc przez Plac Szkoły medycznej, postrzegam nową książkę, traktującą o tym samym przedmiocie, który podjąłem w mej pracy; przerzucam ją: była to kopia z mej pracy, wyjąwszy kilka zmian nieznaczących. Nie było to już rozczarowanie, lecz prawdziwe, prawe oburzenie: wspomnienie o tem jeszcze dziś wywołuje uśmiech na me usta. Miałem tego ranka śniadać z Andreasem; nie miałem więc czasu do rozważania, czy należy uprzednio przedstawić sprawę memu wydawcy, czy zapoznać do sądu. Wsiadłem do omnibusu i nieco z opóźnieniem przybyłem do Jeziora Saint-Fargeau.

Począł się lipiec; na przedmieściach — cały ten mały świat, poruszany porą około-południową, ci pijący na werendach, te przekupki jarzyn, nagłone przez policję, migotanie barwne jasnych staników, markiz, murów białych, wystaw upstrzonych, stragany ze smażonemi kartoflami w rurkach papierowych, krzyki, zapachy, gesty, słowa zabawne, słowa tragiczne również: wszystko to bawiło mnie, zaciękawiało i odnawiało mą sympatyę dla ludu i mój podziw dla całej niewyczerpalnej i tryskającej siły, jaką on wydaje bez rachunku.

Zaledwie uściśnąłem dłonie Andreasa i Stelli, już, pełen mej sprawy, opowiedziałem im moje zmartwienia. Gospodarstwo moi śmieli się, dokładając do mego talerza, i na całe pocieszenie, Andreas powiedział mi:

— Daj temu spokój; wydawca pański uczynił zapewne panu ten zaszczyt, że nie miał pana za naiwnego; w skutku tego musiał manewrować roztropnie; przeczytaj pan swą umowę; nie przeczytałeś jej pan, jestem pewien, że nie mógł byś mi powtórzyć warunków.

— To prawda, przyznałem się, źle ją przeczytałem.

— A no! Stello, ponieważ on się przyznaje do swej naiwności, daj mu — daj nam — trochę Tokaju.

I przyjaciele moi dogadzali mnie na przesłigi, jakgdybym był ich synem; stałem się łakomym; czym był głupcem, żem memi urazami powiększał jeszcze zło, jakie oszustwo kupca chytrego zdołało mi uczynić! Odpędziłem urazę, pragnąc zażywać jedynie uroku tej godziny.

Gdyśmy do kawy zasiedli w altance, zadzwoniono do drzwi od ulicy. Służąca wprowadziła mężczyznę w sile wieku, który wyglądał na kupca; ale na tę śliczną pogodę, zakutany w palto, wspierający się na dwu laskach, z trudem stąpający, ukazał oblicze, zniszczone przez cierpienie.

Andreas usadowił go, i prosił o wyjaśnienie celu wizyty.

Przed miesiącem, bez przyczyny, schwycił go bóle, straszne, nie do uśmierzenia, często nie do zniesienia, zwłaszcza w krzyżu; poczynęły się zrana i trwały do nocy, z dwugodzinną przerwą od południa, i kilku małemi przestankami co pewien czas. Radził się wszystkich lekarzy, wszystkich znachorów; nie był ani reumatykiem, ani syfilitykiem; nie miał artrytyzmu, ani skaz nerwowych; rodzice zdrowi zupełnie; oto co mu powiedzieli doktorzy, dodając, że nie rozumieją zgoła jego choroby, i że nie znają żadnych środków, by mu ulżyć.

I człowiek ten, którego rysy tchnęły energią, wolą i nawet uporem, wyznawał swą rozpacz i niemożność, jaką czuł, znoszenia dłużej podobnej męczarni.

— Cierpienia moje są straszne, mówił nam; oto teraz, gdy państwu to mówię, zdaje się, że mi krają plecy, że rozdierają mięśnie jakgdyby zgrzeblami żelaznemi, że otrzymuję razy okrutne, że kłują mnie, że rozciartowują mi kość pacierzową; i, w rzeczy samej, biedak ten zaledwie mógł wymawiać i wił się na fotelu, starając się uniknąć szarpiącej tortury.

— Gdybym znał wroga, i gdybym wierzył w te rzeczy, mniemał bym, że jestem

zaczarowany, zakończył. Panie, jeżeli pan nie mi nie może pomódz, to sędzę, że kula uwolni mnie od tego piekła.

— Nie należy nigdy tracić nadziei, rzekł Andreas, nawet gdyby się było przywiązany do paszczy armaty nabitej. Tak, dodał paląc, pański wypadek jest ciekawy; czyś pan wolny tego popołudnia?

— Ach, tak, jestem wolny, rzekł chory; czy sądzisz pan, że mogłym pracować z męką, jaką znoszę?

— Otóż, jeżeli pan chcesz, zrobimy małą przejażdżkę na wieś; to odmienia myśli; nie prawda-ż, doktorze? rzekł Andreas, zwracając się do mnie.

— Oczywiście, odrzekłem nie rozumiejąc; lecz podejrzewając, że stanę się świadkiem czegoś niezwykłego.

— Przejażdżka na wieś? rzekł chory, po co? Nie przypuszczam, żebyś pan chciał żartować ze mnie? A zresztą, poza tem, wszystko mi jedno, wszystko mi jedno...

— Tak, zdecydował Andreas, jakgdyby odpowiadając na myśli swego interlokutora; może znajdziemy tam jakie zioło.

Udaliśmy się tedy fiakrem na stację Vincennes. Tam, Andreas kupił trzy bilety powrotne do odległej małej stacyjki, gdzie wysiedliśmy po półtorej godzinie jazdy. W oberży, Andreas

potrafił wynaleźć stary powozik; syn oberżysty siadł na kozioł, i Andreas powiedział mu nazwisko gospodarza z sąsiedniej wsi. Była jeszcze dobra wiorsta od oberży do pięknej fermy o trzech tęgich budynkach, na której podwórku wysiedliśmy, Andreas i ja, podczas gdy chory pozostał w pojeździe.

Andreas zapytał chłopca służącego o pana, i oczekując, przechadzaliśmy się jaką setkę kroków, pomiędzy kurnikiem i chlewem, pod okiem czujnym dwóch psów brodatych.

— A! wykrzyknął Andreas, wiedziałem o tem! I wzrok jego zatrzymał się u studni, jaką kopali robotnicy w kącie tego podwórza. Podeszedł do kupy ziemi wykopanej, wziął garść jej i badał ją, przesypując przez palce, ważąc ją na dłoni, i zdając się rozmyślać.

Po upływie kilku minut, przybył właściciel fermy.

— A! dzień dobry, panie Martineau. Wi-
dzi mi się, że nie przypominasz mnie pan so-
bie, rzekł Andreas, baczny zawsze, by mówić
do każdego jego własnym językiem.

— Dalibóg, nie, odrzekł rolnik, szukam...

— Jakto, nie pamiętasz pan, kiedyś był
pan całkiem jeszcze mały, chłopcem może dzie-
sięcioletnim, byłeś pan na wakacjach u swego
wujka w Bagnolet, i złamałeś pan nogę w trzech
miejscach?

— Tak, zawołał gospodarz; tak, ależ to
pan był tym nastawcą, urządziłeś mi pan to
tak ślicznie, tak, tak, to pan; byłem malcem,
ale zapamiętałem pańskie oczy i fajkę.

— A no, tak, to ciągle ja, rzekł Andreas
z uśmiechem, ale fajka już nie ta sama.

— A to mi bardzo miło widzieć pana;
może pan wejdzie na chwilę, by się zasilić; pani
moja zaraz przyjdzie; zarzuca właśnie bydło
za drabki.

Poszedłem za niemi dwoma; zasiedliśmy,
wypiliśmy, gawędziliśmy; ale ja ciągle myśla-
łem o chorym, który tam jęczał w powozie.

— Pan tedy, rzekł nagle Andreas, wier-
cisz studnię, według tego co widzę?

— Tak jest, stara się wyczerpała. A po-
zatem, zaraz to panu wytłomaczę. I począł
się długo rozwodzić nad planami zarządu do-
mowego.

— Otóż, rzekł Andreas, wysłuchawszy go,
powiem panu otwarcie: to mi zawadza, że pan
robisz tę studnię.

— Jakto, zawadza panu? zawołał gospo-
darz, jakże to? dla czego? Wiem, ile jestem
panu obowiązany, ale ostatecznie, to jednak
osobliwe, co mi pan mówisz.

— Tak jest, to mi zawadza, że studnia ta
będzie właśnie w tem miejscu, nastawał An-
dreas, patrząc pocziwcowi prosto w oczy; przy-

jechałem właśnie prosić pana, byś wiercił ją w innym miejscu.

— Ależ, rzekł gospodarz, jakgdyby dotknięty raptownem osłupieniem, jakżeś pan tu przybył? jak znalazłeś mą fermę? przecie to już kęs czasu, jak mój wuj i moja ciotka nie żyją; a rodzice moi nie z tych stron. I jakżeś to pan wiedział, że ja kopię studnię?

— Przechadzając się, rzekł Andreas łagodniutko.

— Hm, ostatecznie, jestem panu obowiązany, uznaję to; a pozatem, to już pańska rzecz, że nie chcesz mi powiadać o swych sprawach.

— Posłuchaj, rzekł Andreas, i tykanie to raptowne nie zdziwiło całkiem rolnika; ileś wydał już na tę studnię? Zwracam ci kosztą i wskażę ci darmo miejsce, gdzie woda lepsza; tu jesteś na odnodze; a ja cię umieszczę na samem źródliisku. A woda ta, wiesz, zdrowa.

— Ach, pan posługujesz się różdżką; powinieniem się był tego domysleć, rzekł włościanin.

— Wyjawszy, że nie mam różdżki. No, bo musimy się spieszyć na pociąg. Oto, wypłacam ci natychmiast nakład; zatrzymaj robotników; każ kopać w miejscu, które ci wskażę; a pojutrze, jeżeli świder nie da ci strumienia wody wybornej, rozumiesz to, wybornej, mo-

żesz zatrzymać pieniądze i świdrować dalej swą pierwszą studnię.

— Zgoda więc, stoi umowa, zawołał rolnik. Zrobimy to w krótkości na piśmie, nieprawdaż?

— Doskonale. Ale pocznij zasypywać studnię natychmiast.

Gdyśmy wyszli na fermę, chory, o którym zapomniałem, zawołał zoddali:

— Panowie, panowie! Czy długo tam jeszcze będziecie. Boję się chłodu.

Zaleciliśmy mu cierpliwość, i oto nagle, gdy studniarze rzucili w otwór pierwsze łopaty ziemi, twarz tego człowieka zmieniła się, zbladła, otworzył usta, i zaledwie po paru sekundach zdołał przemówić, z przestachem w oczach:

— Me bóle zniknęły.

— A co, nie mówiłem, odrzekł Andreas, że wiesz dobrze robi.

Zakończono żywo sprawę; Andreas wypłacił koło piętnastu ludwików rolnikowi, ciągle niedowierzającemu, i dał mu swój adres by mieć wiadomości o wodzie z nowej studni.

I odjechaliśmy truchtem na stację. Powrót był nieco skrepowany; nie nie rozumiałem z tego; i chory również; powtarzał tylko od czasu do czasu: „Nie boli mnie już; nie boli!”

Rozstając się na placu Bastylii, Andreas

wziął go na stronę przez chwilę, i usłyszałem, jak ów głosem energicznym odpowiedział: „Przyrzekam to panu, zrobię“.

Gdyśmy pozostali we dwóch, zaryzykowałem pytanie.

— Jakiż jest stosunek pomiędzy temi bólami i tą studnią? Czy jest jakiś?

— Oczywiście, doktorze, odrzekł mi Andreas z miną obojętną; ziemia ta i plecy tego człowieka są z tej że rodziny.

Zrozumiałem, że nie chciał mówić.

— Lecz, jakżeś się pan dowiedział o tem?

— Przechadzając się.

— Jak wyszukałeś pan tego włościanina i wszystko wreszcie.

— Ależ powiadam ci, przechadzając się.

Andreas nie był stanowczo tego wieczora w usposobieniu do powiadamiania. Wytlomaczył się zresztą z tego przed rozstaniem ze mną, ze swym zwykłym czarującym wdziękiem uprzejmości; powiadał, że ma sprawy zawikłane, które go w tej chwili zajmują; lecz niczego-m więcej się nie dowiedział; sprawiał wrażenie człowieka, któremu pilno, by został znowu sam.

XVIII.

Zapowiadano na 1-go maja tego roku okazałe manifestacje ludowe, i powiedziałem o tem

Andreasowi, wyrażając chęć dowiedzenia się, jakie mogą być w Niewidzialnem odpowiedniki agitacji politycznych i ruchów społecznych.

Naznaczył mi widzenie na wieczór w przeddzień; i zastałem go, istotnie, w towarzystwie starszej kobiety, którą przedstawił mi, jako jasnowidzącą.

— Nie możemy, rzekł mi, udać się razem poza Zaslone; trzeba na to większego, niż mamy, panowania nad sobą; widok niektórych istot i gwałtowność niektórych wirów zbiły by nas z tropu; lecz ta niewiasta uda się zamiast nas, i opowie nam, co zobaczy.

— A czyż nie naraża się na te same niebezpieczeństwa, na jakie my bylibyśmy wystawieni w tym przypadku?

— Nie; gdyż nie będzie tak bez osłony, jak my musielibyśmy być; będzie w pewnego rodzaju obserwatorium.

— No tak! ale czyż pan nie możesz dać tej osłony i mnie?

— Tak jest, było by to możliwem, gdybyś był mądrzejszy; ale tyś nie dość posłuszny, popełnił byś nieroztropności.

— W tym razie, zgodziłem się, nie pozostaje nic innego, jak pochylić się przed tem zdaniem. Rokowałem sobie, że zobaczę coś podobnego do ceremonii magicznej, do zaklęć, do mystagogii. Nie było

nic podobnego; Andreas rzekł poprostu do medyum:

— Siądź na fotelu, zaczynamy.

Medyum usadowiło się wygodnie i natychmiast zasnęło.

— No, zapytał mnie, co chcesz wiedzieć?

— Chciałbym wiedzieć naprzód, odrzekłem, w jakim stanie znajduje się ona?

— Ależ, doktorze, będzie ona w takim stanie, w jakim zechcesz, by była; posługuję się nie fluidem odycznym; wiesz o tem, że jest kilka rodzajów magnetyzmu; ten, którym tu się będzie działało, jest mało znany; nie używam ani pasów, ani sugestyi; i kobieta ta słyszy również dobrze ciebie, jak i mnie; nie pozwoliłbym sobie nigdy wiązać niczego w nikim; ponadto, może ona widzieć równie dobrze w twoim pugilaresie, jak w twojej myśli lub w Pekinie.

Tu pomijam dziesiątek doświadczeń, jakich dokonałem, by sprawdzić te twierdzenia; stwierdziłem, że są dokładne; zauważyłem również, że jasnowidząca, podczas swych widzeń, zachowywała świadomość planu fizycznego; było jej tylko trudno poruszać się.

Poprosiłem wreszcie, by Andreas posłał ją w Świat Niewidzialny Społeczny, którego studia zwłaszcza mnie zajmowały.

Jasnowidząca zwróciła ku Andreasowi wzrok pytający.

— Tak jest, eskorta twoja przybywa, rzekł jej z uśmiechem.

— Jaka eskorta? zapytałem.

— A czyż poszedłbyś sam do kraju całkiem nieznanego? odrzekł mi; i jeżeli możesz tam zajechać koleją w ciągu kilku dni, będziesz to wolał, niż kilkomiesięczną podróż pieszo. Świat, jaki ona spotka, nie są to ani istoty ziemskie, ani nawet ludzie; musi tedy unikać ich badań i ich ciekawości; i tam są komory celne, jak i tu...

— Może to do tego odnoszą się strażnicy, o których mowa w Pistis Sophia, i hasła w komnatach symbolicznych bractwa F.—M...?

— Tak właśnie. I zwracając się do jasnowidzącej: Możesz już wędrować, rzekł jej.

— Jakżeż się ona kieruje? zapytałem: są tedy różne formy przestrzeni? Jakie zmysły prowadzą ją?

— O! chciałbyś wszystko wiedzieć, odrzekł mi Andreas, śmiejąc się; poczekaj, wystudujemy to potem.

— Oto niedźwiedź, jednorożec, lampart, renifer, smok, lew, orzeł, wielbłąd, krowa, bóbr, kogut... wygłaszała jasnowidząca.

— No, nie rozwijaj całej menażeryi, rzekł Andreas; patrz tylko, co robi kogut, naprzekład, bowiem to Francya naprzód nas interesuje.

— A więc, zapytałem, w pozaświecie istnieje miejsce, przestrzeń, gdzie narody przedstawiają się pod formami zwierząt? Jakże to? Sądziłem, że Eggregory należą do przestworów fluidycznych? Czemże tedy jest zwierzę?

— Ależ, odrzekł Andreas z uśmiechem, wszystko jest we wszystkim; kamień tu może mieć formę ludzką gdzieindziej; archanioł Świata Niewidzialnego może być kamieniem drogim w głębokościach skały, lub raczej może tam zamieszkiwać. Zagadka Wszechświata jest tak prosta! Zresztą, dlatego właściwie jej nie rozwiązują. Zwierzę? Ależ wszystko jest zwierzęciem, ja, ziemia, droga mleczna, automobil, geometrya... Jonasz i jego wieloryb, to scena przeżyta w zakątku Świata Niewidzialnego. Cóż bo charakteryzuje biologicznie zwierzę? Jest to indywidualność, obdarzona wolą, odpowiedzialna, ruszająca się, która utrzymuje pod swą władzą doczesną zasadę oderwaną, energie fluidyczne, minerały, organizmy roślinne, wnętrzości podobne do gwiazd; widzimy tylko rodzaje zwierzęce fizyczne ziemskie; ale są rodzaje również ziemskie hyperfizyczne, społeczne, religijne, ludzkie, polityczne, kosmiczne, przemysłowe, umysłowe i t. d., i t. d.

Teorye współczesne materii promieniotwórczej, jonów, elektronów, głosząc, że komórka organiczna, albo atom nieorganiczny to

słońca drobniutkie, mogą pomódz do zrozumienia wizji starożytnych zwierząt świętych, Dewas demiurgicznych, smoków ognistych; nie ukazało-ż by się nasze ciało, jak mała mgławica, również zwarta i również błyszcząca, jak ta, która świeci nad naszymi głowami, gdyby wynaleziono przyrząd do uczynienia postrzegalnemi jonów, z jakich się ono składa?

Ale każesz mi rozgadywać się, jak sroce jednookiej... Bacz dobrze na swego koguta, ciągnął dalej Andreas, zwracając się do jasnowidzącej, po paru sekundach zbadania.

— Był on bardzo piękny, rzekła; ale oto zda się, że znika w dymie, i inne zwierzęta wychodzą ze mgły, która się z niego stała; jest to jakgdyby pole do zapasów; oto stado baranów całkiem zbite z tropu, które drepką becząc; są bardzo brudne, dokoła nich—buldogi; bronią te zwierzęta ogłupiałe, lecz od czasu do czasu zabijają z nich jedno i pożerają. Stado małych zwierząt, które są podobne do psów, idzie na tę pierwszą grupę; są one wszystkich barw i wszystkich kształtów; coś w rodzaju potwora nieruchomego, z ramionami, jak głowonogi, jest blisko nich, podnieca je i rzuca do ataku na baranów.

Pośrodku nich—lis, ku któremu zwracają się one bez przerwy, i który rozkazuje buldogom; w kącie za krzakami, krokodyl jakgdyby

drzemie; lecz wrony, sroki i sójki przelatują od niego do lisa i głowonoga; siadają tu i tam na dwóch stadach i powiększają ich popłoch krzykami i dziobaniem, podczas gdy lis i głownóg naradzają się w przerwach i zdają się używać sobie pomocy, by wzmacniać przestרח baranów i zapal psów; pożerają od czasu do czasu rannych, jakich im przynoszą; lecz nie postrzegają, że w rzeczywistości to krokodyl kieruje nimi. Oto człowiek; niesie sieć rybacką; zapuszcza ją między dwa stada; psy zatrzymują się zwolna; barany poczynają się paść; człowiek patrzy na troje zwierząt dowodzących i każe im pójść w kąt; mówi do nich kilkakrotnie.

— Dobrze, przerwał Andreas; odpocznij trochę.

— I cóż to ma znaczyć? zapytałem.

— Jeżeli kobieta ta wymyśliła tę bajeczkę, lub jeżeli ja ją poddałem jej, wtedy niema ona żadnego znaczenia; a może jest to rzeczywistość obraz, który roztoczył się przed jej wzrokiem?

— A wtedy?

— Twoją rzeczą go dociec; może to z alchemii, a może z astrologii, lub zjawisko społeczne; czy ja wiem? Medyum tylko patrzyło; trzeba by, żeby rozmawiała z temi istotami; ale to było by za męczące dla niej.

— Wtedy, co za cel tego seansu somnambulizmu?

— Nie wielki, doktorze; pojmij to, że bardzo dobrze jest mieć zapal do czegoś, ale nie trzeba podejmować prac ponad nasze siły; gdybyśmy byli, ja i ty, czyści, gdybyśmy mogli nazywać się dziećmi Boga, nie było by dla nas nic ukrytego w Stworzeniu, rozumielibyśmy wszystko, i nas by wszystko rozumiało; wtedy, iż bylibyśmy pokorni, było by możliwem dla nas wejść w stosunek, na przykład, z duchami Narodów, albo Sekt politycznych i religijnych, i kierować nimi według widoków opatrnościowych. W oczekiwaniu tego, możemy tylko pracować w milczeniu, poświęcać się, i mieć ufność w naszego Przyjaciela.

XIX.

Andreas udał się do Bretanii w jedną z tych krótkich podróży niespodzianych, które były jego zwyczajem. Przejeżdżając przez Nantes, zabrał mnie; i tegoż wieczora mieliśmy razem odwiedzić chłopca chorego, mieszkającego o dwie wiorsty od Vannes, w domu szarym, o dachu wysokim, którego szczyt tylko można było dojrzeć z poza płotów drogi dolistej.

Proboszcz uważał chłopca tego za opętanego; co do lekarza, to ów wiedząc, że to al-

koholik, chciał go corychlej zamknąć w zakładzie.

U Bretończyków milczących Andreas był nieszczerdny w słowa; w ciemnej izbicy, której mroki ożywiała mała lampka, babka i córka krzątały się między rondlami i kołyską. Mężczyzna zasiadł z nami, z kiłkiem w ręku, w kapeluszu na głowie i z fajką w zębach. Andreas palił również; wypiliśmy wszyscy trzej po czarce jabłecznika. Kot chudy ocierał się o nas; a dwa psy uwalane w błocie, o oczach błyszczących, grzały się przed kominem.

Na dworze zerwał się wiatr; rozpoczął w kominie drobne zawodzenie; ale wkrótce cała wściekła orkiestra rozbrzmiała od góry do dołu starego pochylonego domostwa. Ponieważ we wrześniu burze są rzadkie, więc jedna z kobiet, nieco zdziwiona, wstała i uchyliła drzwi, by zobaczyć, co się dzieje na dworze; zobaczyłem, jak zrobiła ruch, jak postąpiła kilka kroków na drogę, potem powróciła biegnąc; rzekła głosem cichym: Nie masz ani lekkiego wiatru na drodze, i przeżegnała się.

Mąż jej uniósł głowę, jak ktoś, co się budzi z uspienia; porwał się na nogi, wznosząc kij, ze zwinnością dziką; ale Andreas powstał już był i chwycił wzrok jego pod światło swych żreńców niewzruszonych.

Chłop padł na czworaki; począł kasać tu

i tam ławy, i wyć, jak wilk, gdy, wściekły z głodu, zeruje. Kobiety drżały, zbite w kupę, pod schodami; zwierzęta pochowały się za niemi; skoro burza rozpoczynała wycie, chłop czekał przenikliwiej: czarny demon Strachu wytrząsał w tej izbie najzjadliwsze z swych trucizn. Niecierpliwiłem się, że Andreas nie rusza się; winien był coś zrobić; należało, by coś uczynił... a jednak minuty spadały ciągle w tym samym półmroku, w tej samej muzyce wiatru i opętanego.

Lecz oto Coś brunatnego pchnęło drzwi, łapą cichutką, i, nieme, wysokie, jak pies pasterski, zwinne, z sierścią twardą, z paszczą spienioną i czerwonymi gorejącymi oczyma, siadło na ziemi ubitej naprzeciw człeka, który czekał ciągle, i który, pod technieniem jadłowitem Bestyi, począł drgać konwulsyjnie.

Andreas wszedł pomiędzy nich; i Bestya, która miała kadłub bardzo starego wilka, lecz z karkiem mocniejszym, uniosła ku niemu duże swe żrenice, błyszczące, okrutne, ponure; on ujął łagodnie wielki łeb zjeżony; ręce jego zniknęły w gęstym futrze, a jednak, postrzegalem je, jakgdyby ciało wilka było przezroczyście chwilami; to ostatecznie pozbawiło mnie zimnej krwi; odor nie do opisania ział kłębami z paszczy, która się pienila; nagle zwierzę zebrało się, by skoczyć, lecz Andreas zatrzymał

je za bary, i tak zostali we dwoje, oko w oko, aż dopóki błysk czerwony, migocący w środku żrenic dzikich, nie zgasł, jak świeca zdmuchnięta.

— Usuń wszystkich z izby; posadź go; żywo; rzekł do mnie Andreas.

Wypchnąłem za drzwi kobiety, kołyskę i psy, i z trudem podniosłem człeka, który zamilkł. Jednocześnie zmniejszyła się burza; zwierzę opadło na łapy, cofnęło się ku kominiowi, i tam zniknęło, jako opar. Chłop przeciągał się, przecierał oczy i mamrotał. Dojrzał pianę na rękawie Andreasa i wstrząsnął się zlekka.

— Słuchaj, Janie-Maryo, rzekł doń Andreas. Za godzinę przypomnisz sobie wszystko; ale nigdy nie będziesz mówił o tem! Idź zaraz; pójdziesz i udasz się do matki Le Dallo; będziesz tam jutro na świtanie; powrócisz również pieszo. Oddasz jej sto franków, wiesz, te sto franków z przed dwudziestu lat? i drugie sto franków w procencie; gdy umrze, zamówisz za nią co sobotę mszę. Przysiękasz?

— Tak, odrzekł chłop; i podszedł do małego posążka gipsowego Matki Boskiej, na kominie, zdjął kapelusz, przeżegnał się, odmówił Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, i rzekł:

— Przysięgam, że oddam dwadzieścia pistolów i będę zamawiał msze, i nigdy nie będę mówił o tem.

— Dobrze, rzekł Andreas; idź, żebym widział, jak odchodzisz. Nie bój się, nic ci się nie zdarzy tej nocy na drodze.

W trzy minuty potem byliśmy już na gościńcu; Jan-Marya oddalał się ku północy, podczas gdy my wracaliśmy do Vannes.

Zasypałem, oczywiście, Andreasa pytaniami.

— Była to zemsta, odrzekł mi.

— Lecz wilk, był on przezroczysty, a jednak ciężył, był materyalny; gdyż splamił pańskie ubranie?

— Ależ tak, odrzekł, nie studyowałeś tedy magii? Wiesz przecie, co to lykantropia: jesteśmy w kraju wilkołaków. W tych okolicach, gdzie życie przyrody mocne, człowiek jest mało inteligentny, i daje on duchom kamieni, drzew, bagien, obłoków, wiatrów, gruntów nieuprząwnych, wiele środków do działania. Wtedy twory fizyczne są jasnowidzącemi, intuitywnemi, mediami, zaś twory niewidzialne bliższemi materyi.

— Jest to tedy jeden jeszcze dowód, że przyroda postępuje zawsze stopniowaniem niepostrzegalnem, i że, wtedy, ludzie mają wrodzoną intuicyę Niewidzialnego.

— Tak, wszędy człowiek otrzymuje wewnętrznie to, czego mu trzeba. Dziś ludzie mają skłonność do mówienia, że nauki tajemnicze przychodzą do nas wszystkie ze Wscho-

du. Nie jest to ściśle. Nie tylko w książkach zachodnich, ale i w podaniach ludowych odnajdziesz wszystkie teorie, jakich nauczają ezoteryzmy Indyi, Chin i Tybetu; jesteśmy wszyscy, poprostu, pod władzą uroku umysłowego, rzucanego na nas przez pewne jednostki mocne, ale który nie będzie trwał zawsze.

— To prawda, że księga Zohar zawiera wszystkie idee, jakiem czytał przedtem w Purańach; teoria brahmańska okresów chronologicznych jest również w Seferze i w Trytemiuszu, i w Arbatelu; gdy się dopełni Agrypę niektórymi Ojcami Kościoła, można będzie zbudować pneumatologię również złożoną czy całkowitą, jak pneumatologia Wed: Paracels daje te same nauki z medycyny, z historyi naturalnej, z fizyki i chemii, co i Samhitas hinduskie. Ale można li powiadać, że Wschód jest zawsze źródłem, z którego czerpali owi wtajemniczeni europejscy?

— To słusznie; zbędne jest spierać się o pierwszeństwa; wiesz o tem, że nikt nie wie nic w jakiegokolwiek bądź rzeczy; człowiek ma tylko pozory rozumienia; kabalista, pytagorejczyk, yogi, arhata, wali, święty katolicki, jak jedni, tak i drudzy, nie doszli do szczytu wiedzy i mocy; władają tylko przybliżeniami, mniej lub więcej blizkiemi; każdy z nich jest na wierzchołku góry; wszyscy oni widzą głazy, drze-

wa, zwierzęta, sioła, obłoki; i to jest zgodnością tradycyi; lecz żaden z nich nie widzi ni tych samych lasów, ni tych samych wiosek: i to jest rozbieżnością tradycyi.

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że przedmioty, jakimi się zajmuje ezoteryzm, są zbyt oddalone od nas, byśmy w nich mogli odróżnić coś innego nad szerokie zespoły?

— Tak jest, i gdy badacz znajduje coś wyraźnego, coś określonego, punkt ten jest punktem zbieżnym tylu sił różnych, że jest dlań niemożebnością obliczyć je wszystkie, a przeto zdać sobie rachunek z prawdziwej natury swego przypadkowego odkrycia. Tak więc scena, która miała miejsce przed chwilą, jest aktem ostatnim dramatu, który się począł przed czterystu laty. Chłop ten i czarownica, która wzięła na się kształt wilka, są to starzy wrogowie; pogodzą się zaraz; ale kto zliczy miliony duchów wszelakich, jakie puściła w ruch nienawiść ich wiekowa?

— I kto zaprowadzi ład w tem wszystkiem?

— Bóg, za pomocą niektórych istot. Wszystko żyje, wszystko ma swego ducha, swą inteligencyę, każda forma materialna jest ciałem geniusza. Jeżeli, przypuściwszy, że mogą to uczynić, zechcą pogodzić te miliony iskier życia, będzie mi na to potrzeba jeszcze więcej czasu, niż człowiek ten i kobieta ta użyli go, by je

zwaśnić. Jeżeli zechcę się zwrócić do różnych wodzów tych geniuszów, trzeba będzie ich odszukiwać, trzeba będzie znaleźć ich, gdy oni już niewątpliwie odeszli daleko z tej ziemi. Prościej będzie, jeżeli się zwrócę do Boga, który wie wszystko, i który jednym mknieniem oka, każe się jawić temu tłumowi, i będzie go sądził, t. j. reorganizował.

— Tedy księgi ezoteryczne magii, pneumatologii, czy angelologii, zawierając wogóle dane ścisłe, pobudzają badacza do zwracania się do przyczyn wtórych, nie zaś do pierwszej przyczyny?

— Oczywiście. Chociaż mówią one zawsze, by zwracać się do Boga, by nic nie przedsiębrać bez zjednania sobie Jego pomocy drogą postępowania prawego, pomija się zazwyczaj tę pierwszą stronicę; uważa się ją za dość dobrą dla tłumu, nie zaś dla wtajemniczonego, za jakiego się ten lub ów uważa; ucieka się do sekretów, do rzeczy ciekawych, i w rezultacie zbłąkuje się.

— W sumie: istnieją geniusze, wodzowie, książęta, satrapi i królowie niewidzialni, bogowie dla planet, dla ras, dla narodów, dla miast i dla chałup, przewodnicy zawodów i stanowisk indywidualnych, ratownicy, którzy nas wspierają: kabała, religie, sufizm, buddyzm, brahmanizm jednoznaczne są pod tym wzglę-

dem. Ale jest roztropniej i skuteczniej nie poszukiwać ich, i pytać tylko jednego Boga.

— Tak jest: człowiek winien działać ze Światłem, które go czyni człowiekiem, t. j. z iskrą bożą, która w nim złożona od początku... Jeżeli działa za pośrednictwem jednego z ciał tej iskry, jej inteligencji, lub magnetyzmu, lub woli, działa wewnątrz i na zewnątrz, nie zaś w ośrodku i na planie ośrodkowym świata. Pozostań w ośrodku, w jedności, w harmonii, i wszystko, co będziesz czynił, będzie promieniowało jednością, harmonią i pokojem. Powtarzam ci to, wszystko, czego najwięksi z ludzi nauczali, wszystko, co zostało objawionem najczystszym, tworzy jedynie milionową część Wiedzy całkowitej. Każdy idzie swą drogą. Nie masz tedy polemik, ni krytyk, ni walk, w tym planie Jednym, gdzie człowiek winien się utrzymywać. To, co uważasz za słuszne, mów to, a zwłaszcza spełniaj. Inni zrobią to, co mają do zrobienia. Przyjaciół jest tam, by wszystko uszykować, by ustawić każdego na miejscu, według zamiaru, jaki Jemu jednemu wiadomy. Pracuj tedy i pozostań w pokoju.

XX

Zamiast powrócić prosto do Paryża, Andréas pojechał pociągiem do Chinon, i wysiadł

w Ile-Bouchard. Ztamtąd, pojechaliśmy małą kolejką miejscową, z całą ciżbą gospodarzy i gospodyń, powracających z targu. Mała lokomotywa posuwała się, sapiąc, pomiędzy pagórkami rozgrzanymi upalnym słońcem lata. Poodgradzane murkami z jałowych kamieni, winnice układały schodkami swe linie szczepów; i jak okiem sięgnąć, następowały jedne za drugimi latorośle o liściach zblękniałych od sulfatowania. Sezon zapowiadał się źle; włościanie utyskiwali; zbiór dojdzie do połowy zaledwie zbioru z roku zwykłego; wino prawdopodobnie nie uchowa się; ani płyny, ani nawozy, ani krzyżowania gatunków nie zapobiegały chorobom wciąż nowym; zanosiło się na klęskę; trzeba by dobrych lat, by się dźwignąć nieco.

— Mielicie je, te dobre lata, odparł im Andreas; i do czego to wam posłużyło? Dusiliście grosze; nie opłaciliście tem sobie nawet jednej przyjemności więcej; czy wasza Rada miejska urządziła drogi, albo uczyniła coś dla biedaków? Nie. Dla czegoż więc chcecie, by ziemia była lepsza, niż wy?

— Nie liczysz pan, odparli chłopci, tego wszystkiego, co wydano na szczepy z Ameryki, na gnojenie, na nawozy sztuczne, na polewania?

— Na wiele wam się przydały one, tego roku, odparł im Andreas; i w istocie, nie

nie zatrzymało choroby; nauka agronomii musiała wyznać swą niemoc, i powrócono do praktyk doświadczalnych, które przypominały ludzi dawnej daty, siedzących pod orzechami, z brodą na kiju i z fajką w ustach.

— Tak, ciągnął dalej Andreas, dawniej odbywano procesy z Panem Bogiem po polach; ale dzisiaj, jesteście nazbyt złośliwi; waszym Panem Bogiem jest siarczan miedzi, a jego aniołami fosforany; wyciągnijcie coś z tego teraz, gdyście wyczerpali ziemię; leniliście się siać ziarnka; to nie naturalnie; wiecie to, że gdyby człowiek pił tylko wódkę z wytłoczyn winogronowych, nie jedząc, umarł by w krótkim czasie. Nie trzeba wysilać; umiecie szanować swe konie i woły; róbcie tak samo dla winnicy.

I chłopci słuchali, nic nie mówiąc, by nie zdawało się, że są, jak chorągiewki na dachu; lecz niektórzy zgadzali się na to w sobie, że może ta pan ten i mówi prawdę.

— Nie chcesz pan jednak, spytał Andreas, prowadzić tych ludzi do kościoła i do proboszcza?

— Czemuż by nie? odrzekł mi; nie potrzebują oni mieć ogólnych poglądów rządzenia; urodzili się chłopami; to znaczy, że tym razem mają być tylko posłuszni; wiedz o tem, że religia katolicka jest najlepszą z religii.

— Tak jest, ale jakież ma ona związek z chorobami winnicy?

— Bardzo ścisły, doktorze; a także z chorobami bydła, i z gradem, deszczami, wiatrami i wielu jeszcze innemi rzeczami.

— Jakże to?

— Ależ w sposób bardzo naturalny. Wiesz o tem, że właściwością religii Jezusa jest złączyć z Bogiem całe stworzenie, ponieważ jest to religia Słowa; rozumiesz to?

— Tak jest, prawie; ale zdaje mi się, że miał bym wiele trudu wytłomaczyć to filozofom.

— O! my tak nie sądzimy; należało by naprzód dać im pojąć rzeczywistość obiektywną religii; widzą w niej oni jedynie zespół formuł subiektywnych; widzą w dogmatach jedynie symbole umysłowe, a w obrzędach symbole moralne. Dogmat jest czemś sam przez się, a obrzęd zawiera w sobie władzę; jeżeli, nadto, ksiądz jest świętym, władza ta powiększa się. Lecz, wracając do rzeczy, by wyjaśnić wpływ, jaki modlitwa liturgiczna może mieć na zjawisko fizyczne, należy zdać sobie sprawę, że krąg zbiorowy Kościoła obejmuje więcej, niż ludzi, którzy do niego należą. Kościół katolicki, na przykład, zawiera nie tylko księży wiernych, umarłych i żywych, zaciąga on do swych pułków wiele innych istot widzialnych i niewi-

dzialnych; są niemi naprzód geniusze narodów, którzy go uznają, i geniusze podlegli, którzy im są posłuszni. Zawiera on pewną część duchów piekielnych i duchów niebieskich; duchów nauk i sztuk, właściwych tym narodom; duchów miast, wiosek, rzek, gór, lasów, pól, które zależą od geniuszów narodowych albo etnicznych; duchów instytucji politycznych, świeckich i umysłowych; maszyn, domów i pałaców; w krótkości, duchów wszystkich rozmaitości istot i form materyalnych, sporządzonych przez siłę Przyrody lub wolę ludzi, którzy przysięgli wierność Mistrzowi tej religii.

— Można by tedy wynaleźć psychologię duchową religii, państwa, przemysłu, wszystkiego, co stanowi cywilizację?

— Tak jest, odrzekł Andreas; pamiętaj zawsze, że Przyroda pracuje jedynie na jednej płaszczyźnie, i że to samo prawo, według którego rozwija się gwiazda, rządzi ziarnem, wiedzą i cnotą, i wszystkim innem. Czy widzisz, jak Królestwo Niebieskie podobne do ziarenka gorczycy? Czy widzisz, w jakiej postawie wewnętrznej należy studyować Ewangelię?

— Tak jest, rzekłem, przezieram horyzonty rozległe. Ale, dodałem, powróćmy do naszych nieszczęsnych winnic, wiedziałem bowiem, jak zżęcznie Andreas mógł tę sprawę wyminąć.

— Dobrze więc, odpowiedział, powróćmy.

Jakiż jest akt najwyższy, jakiego człowiek może dokonać? Jest nim ten, dla którego wprawiają się w ruch najgłębsze i najczystsze jego energie, i który, w skutku, budzi najwięcej ech we wszystkich sferach jego indywidualności. Jest tem, nieprawdaż, akt religijny? Otóż, ponieważ wszystko wiąże się we wszechświecie, i ponieważ nie możemy nic uczynić, co nie miało by odbicia na środowisko, z tem większą racją, modlitwa, poruszająca najsilniejsze nasze ośrodki, wzbudzi przez reakcję wszystkie ośrodki środowiska, z którem jesteśmy związani.

— To jeszcze nie wszystko? zapytałem.

— Jeżeli, w zbiorowiku społecznym, komórka, powołana do wyrażenia funkcji modlitwy, kapłan, prosi o coś, według form, wskazanych mu przez tradycję, t. j., przez łańcuch kapłanów-przodków aż do założyciela rzeczonyj religii, prośba taka znajduje naprzód odbicie w innych członkach rzeczonyj zbiorowości; tak samo, gdy serce twoje modli się, reszta twego ciała odczuwa coś; reszta zbiorowości, tak widzialnej, jak i niewidzialnej, słyszy tę modlitwę, i z racji imienia Boga, które tu jest wzywane, części tej zbiorowości, które nie są w zgodzie z prawem, dochodzą dobrowolnie lub zmuszone, by się doń zastosować.

— Tak jest, odrzekłem, chciałbym wie-

rzyć panu, ale nie rozumiem jeszcze dokładnie.

— To pewnie, że nie rozumiesz, ozwał się Andreas łagodnie z uśmiechem; nie mówię ci tego, byś zaraz rozumiał; przyda ci się to znacznie później; zapomnisz już o tem oddawna; ale wiesz, są w nas czasami trzęsienia ziemi; nieraz pokłady głębokie ducha naszego wznoszą się do słońca sumienia, podczas gdy to, co było w górze, grzebie się w podziemiu ciemnem. Musi to być napisane w Ewangelii.

— Może to — gdy mowa: „poniżył mocarzy, i t. d.“.

— Niewątpliwie, odparł Andreas. Otóż więc! gdy proboszcz wiejski, z nauczycielem, z dziećmi, z kilku chłopami i kilkoma pocztwami niewiastami obnosił Najświętszy Sakrament wśród zbóż, śpiewając psalmy głosem zużytych, asystenci niewidzialni towarzyszyli prostej tej ceremonii; i słuchali słów łacińskich; a raczej wiara, która dynamizowała te słowa, jawiła się im, jako rysy świetlane, jako zawory ogniowe i ostrza; i małe istoty, które robią grad i deszcz, albo wiatr, słuchały się lepiej, niż teraz tych mozdierzy strzelniczych, wznoszących się tu i owdzie w winnicach.

— Jest li to tak proste, jak pan mówisz?

— Ależ tak! Przyroda polna jest bardzo czuła na siły psychiczne; ztąd to czarownicy

i znachorzy mają większe powodzenie na wsi, niż w mieście; religia jest czemś tak naturalnem, serce jest takim odbiorcą życia, że jedna i drugie mają swe wylanie najnormalniejsze poza tworam i sztucznymi geniuszu ludzkiego.

— Czyż można tu znaleźć jaką rację niepowodzenia sposobów chemicznych w winnicach tegorocznych?

— Tak jest, można; ziemia, naprzód, która jest żywa, przyzwyczajają się powoli do wszystkiego, jak zwykły Mitrydates; produkt, następnie, chemiczny jest martwy najczęściej; nie może on tedy dać tego, czego nie posiada; jest tedy dla gruntu tylko środkiem podniecającym, jak alkohol i kawa dla naszego ciała. Prócz tego, zarówno jak nasze ciało, ziemia ma zdolność tylko ograniczoną wchłaniania; gdy jest nasycona, dochodzi do kresu swej wydajności i nie może go przekroczyć. Trzeba tedy, by rolnik szukał czegoś innego. Wreszcie, i takim jest przypadek w tym roku i dla tego kraju, Sprawiedliwość immanentna wydaje nieraz postanowienia, które są wykonywane wbrew wszystkim sztukom pomysłowości ludzkiej. Gdy ludzie okazują się długo i uporczywie skąpy i złorzeczącymi, np., pomimo przychylności klimatu i dobroci gruntu, wtedy, niektóre istoty — wymierzające sprawiedliwość — otwierają pewną bramę z innej strony.

Wtedy skąpstwo i złorzeczenie ludzkie wchodzi w miejsce, gdzie otrzymują życie, pewną zdolność wytwarzania się organicznego; i wtedy na powierzchni gruntu tworzą się, w pleśniach, wszędy potrosze, drobnoustroje najpierw jednokomórkowe, które rozwijają się dosyć szybko i stają się żyjątkami: fyloksera niema innego pochodzenia; i to, co ci mówię, jest tak słusznem, że w kraju, przez który przejeżdżamy, jest zaledwie jedna winnica prawie zdrowa, i jest nią winnica człowieka, który się modlił.

— Miały by być tedy ciągle stosunki pomiędzy tem, co okultyści nazywają światem astralnym, i tym światem fizycznym?

— Ależ tak. Wszystkie części wszechświata są bezustannie w stosunku: pławią się one jedne w drugich; z wyjątkiem — jeżeli zbudowany zostanie mur dla izolacji miejscowej i czasowej. Z racji to właśnie przenikania się tego powszechnego, religie zalecają odnosić do Boga wszelki akt i wszelką myśl.

— Lecz co do tych biednych ludzi, czyż Niebo nie chce już nic zrobić dla nich raz jeszcze, by zbawić ich od klęski? Może, będąc jej tak bliscy, poprawią się?

— Wiele już lat Niebo było cierpliwem względem nich, rzekł Andreas. Nic to nie podziślało. Niemniej, Pan Bóg ma dość czasu.

Gdyby był ktoś jeden pośród nich, ktoby rozumiał, o co prosi, uniknęliby wielu nieszczęść. Ale cóż!

— Dlaczego więc nie uprzedzić tego człowieka, o którym pan wspomniałeś przed chwilą?

— Otóż, będzie on uprzedzony, odrzekł Andrens, tonem, którym się uwalnia od pytań niepotrzebnych dziecka. Gdyby ludzie domyślali się tylko, jak nieustannych trosk są przedmiotem! Ze wszystkich stron możemy być ranieni, począwszy od ciała naszego, skończywszy na najsubtelniejszym szczycie naszego umysłu. Ocieramy się o Śmierć — o śmierci — wiele razy na dzień. Nie, człowiek nie uprawia dostatecznie wdzięczności. Tak oto my, podróżujemy bez zawady od rana, i zdaje się nam to całkiem zwykłym! Ach, jesteśmy niewdzięcznikami!

I zaraz potem, Andreas zagłębił się, z oczyma przymkniętymi, w długie i milczące rozmyślanie.

XXI

Pewnego wieczoru przybywszy do Andreasa, zastałem go, jak pomagał swej żonie w przygotowaniach do drogi; przyjaciółka serdeczna, zachorowawszy, wzywała ją; musiała

tedy pojechać natychmiast Południowym pociągiem pospiesznym (Sud-Express). Odprowadziłem ją na stację Austerlitz. Zwróciłem uwagę, jak Andreas wysilał się, by zapewnić jej wygodę, jaką można sobie pomyśleć, a także na grzeczność wytworną jego manier: taki wdzięk spotkałem chyba w życiu u dwóch, trzech wielkich panów starych. Zauważyłem również, że Andreas znał wiele osób z personelu kolejowego, począwszy od specjalnego komisarza aż do służby pociągowej.

Gdy pociąg pospieszny ruszył, zaproponował mi przechadzkę nocną na wieś. Przyjąłem to z zachwytem: noc na rozmowie z takim towarzyszem drogi była gratką szczęśliwą; zaproponowałem pojechać koleją podmiejską, by zyskać prędzej ciszę i świeże powietrze wiejskie; i oto tym sposobem, koło pierwszej w nocy, mieszkańcy Villaine, którzy nie spali jeszcze, mogli spostrzedz, dzięki pełni księżyca, dwa cienie, przecinające pola ku wzgórkom zadrzewionym, które panują nad doliną Bièvre'u.

— Co chciałbym poznać, rzekłem, to całą tę rozległą Tartaryę, i Indye, i Chiny!

— Tak, ale iluż to podróżników zapłaciło życiem za to; są kraje, o których zdanie ustalone, i tam się można obwarować od następstw: takimi są Indye, Himalaje. Ale klimat Turkiestanu, Mongolii nie

mniej jest zabójczy: pomnę, że wiele tam cierpiał.

— Jakże to było? spytałem.

— Było to za pierwszej mej podróży do Lhasy; przechodziłem wtedy silny atak moralny, w rodzaju tych, o jakim pan mi mówiłeś, a jako że zło nie chodzi nigdy w pojedynkę, i inne jeszcze troski zajmowały mój umysł; znalazłem się w sytuacji następującej:

W całej Azji, wiesz pan to zapewne, ciągnął Andreas, wspinając się na pagórek, polityka i nauki tajemne są ściśle związane i używają sobie wzajemnej pomocy. Brahmy zachowują się prawie spokojnie w swej etnogenii; Muzułmanie są już czynniejsi i sprawiają sporo kłopotu zarówno cesarzowej Indyi, jak i Carowi. Co do Chin, wiedzą dziś wszyscy o głuchych i powolnych knowaniach stowarzyszeń tajemnych przeciw dynastyi mandżurskiej. Anamici marzą ciągle o odzyskaniu samorządu. Zaś Tybetańczycy z wyżyn swych śnieżnych obserwatoryów mają oko na te ruchy ludów, burzących się na olbrzymim lądzie.

Wędrowki koczowników buddystów z Tartaryi, mahometan irańskich, afgańskich i hinduskich, taoistów, członków Triady i Nenufara białego, są im wiernie raportowane przez pospiesznych wysłańców, i za pomocą specjalnego telegrafu bez drutu, jaki znają od wieków.

Lamowie interesują się bardzo posuwaniem się Rosyan ku południowi i Anglików ku północy: wszystkie ich, zresztą, sympatye składają się ku pierwszemu.

Nie będę panu opisywał nudnej historii polityki tybetańskiej, ani powiadamiał o kolejach tego ośrodkowego stanu kapłańskiego. Wystarczy wiedzieć, że Dalaj-Lama i wielcy Lamowie Tartaryi są zgodniejsi, niż o tem mniemają masy ich wiernych. Rada ich najwyższa, która obejmuje, prócz tych Buddów żyjących, kierowników wszystkich wtajemniczeń Indyi, Chin, Japonii, Annamu i Wysp malajskich, rzuciła projekt podjęcia zbliżenia z naczelnikiem wielkiego imperyum europejskiego, sporo już, zresztą, lat temu. Potrzeba im było wysłańca, oznajmionego ze sprawami zachodu, i wzrok ich padł na mnie.

Ale gońcy, karawany, ceremoniał nie pozwalały utrzymać tych układów całkowicie w tajemnicy: moc ludu, nowicyusze, lamowie i nawet khamposi czyli kardynałowie, byłaby zbyt szybko powiadamiąna wskutek przejazdów nieuniknionych tam i z powrotem, jakie są spowodowane zabiegami dyplomatycznymi. Należało im tedy znaleźć jakiś pretekst, który by usprawiedliwiał w oczach tej ludności ważność, nadaną mej osobie.

Tu Andreas zatrzymał się, zapalił fajkę

i wzierając w doliny, uśpione pod księżycem, rzekł:

— Przyroda tu miłościwa.

Potem, zboczywszy kilka kroków, pozostał nieruchomy w kontemplacji milczącej. Wschód słońca wyświetlał się już powoli; na drodze, wystawiały się na niebezpieczeństwo króliki; jaskółki poczynają świegotać dokoła folwarku, w dolinie; nagle powstało słońce przed nami nad lasami Hay'skimi, i w tej samej chwili skowronek wytrysnął z bruzdy, jak kula, wznosząc swą modlitwę poranną.

Andreas powrócił do mnie, i ciągnął opowiadanie:

— Kolej Transkaspjska nie była jeszcze ukończona. Orszak mój i ja odbywaliśmy tedy drogę konno, poprzez równiny Turkiestanu; oglądałem zwaliska starożytnej Amarkandy, Merwu, środowisk zanikłych świetnej cywilizacji arabskiej. Tam chciałbym widzieć ciebie: za dnia pieczony-ś na słońcu, wieczorem oślepy od kurzu, nocą marznący, o każdej porze cierpiący z pragnienia, i nie mogący ukoić go z obawy przed chorobami kiszkowemi, na pastwie choroby piaskowej, która czyni zgryźliwymi i najcierpliwszych. Ale opowiem ci to innym razem.

Z wypełnieniem mej misji, zawróciliśmy ku Tybetowi; podróż odbywała się spokojnie,

aż do wysokich płaszczyzn Hindu-Kuszu; rzeczy straszne oczekiwały mnie na tym wierzchołku świata.

Poraz to już trzeci los prowadził mnie do samotni śnieżnych Himalajów; lecz, jako chłód, trud i braki nie odstraszały mnie zgoła, i pokój czułem zawsze w głębi pustyni, tak i teraz wspinania się uciążliwe, zejścia niebezpieczne, burze, przestraszające złudzenia optyczne, niczem były dla mnie wobec rokoszy górskiego wędrownika: rokoszy wypełniania płuc powietrzem mroźnym szczytów, upajania się wieczorem widokiem firmamentu wspaniałego, smakowania czarodziejstw słońca wschodzącego i orkiestracyi tragicznej barw o zachodzie słońca, zatapiania się w błogosciach kojących nocy, gdy księżyc oświeca milczący przestwór straszny, przeszywany tylko od czasu do czasu krzykiem zwierza, na łowach w głębi dolin. W pokoju tym niezmiernym, nieruchomym a pełnym życia, majestat przyrody widomej wznosi serce człowieka aż do Świata Niewidzialnego; układa się bliżej łona Wielkiej Macierzy; sztuczność i nieużyteczność, o które człek się troszczy zazwyczaj, opadają, jak zeschnięta lupina; sam ogrom kształtów materialnych ziemskich, przyniatając go zewsząd, wykrzesuje z głębi jego serca skargę drobną, tak słabą, że ona jedna

tylko może wzbić się do Nieba i spowodować zstąpienie Miłości.

Nie jest to bez racji, że najbardziej znaczące zdarzenia religijne dzieją się na szczytach; Meru, Nebo, Horeb, Tabor, Kalwarya — to pomosty tajemne, z kąd wznosi się, wysiłkiem nadprzyrodzonym, modlitwa Wtajemniczonych, — to porty Łaski, dokąd przybija, od brzegów wieczystych, nawa, niosąca ofiarującemu się pomoce, niezbędne do spełnienia Wielkiej Ofiary.

Zaburzenia prądów elektro-telurycznych spadają w głąb dolin; powietrze górskie jest czystsze; ziemia bogatsza; pod śniegiem, skały przygotowują w milczeniu pokład gliniek dziewiczych; woda źródłana sączy się tam, wzmacniająca, nasycona smakami ziemi macierzystej; zapach lasów rozszerza płuca; rozległe horyzonty zaostwiają wzrok; wdrapywanie się po urwiskach stromych wykuwa mięśnie, jak ze stali; obrywanie się niespodziane lodozwałów, zdradzieckość szczelin górskich, poddają nerwy kontroli woli skorej; quasi samotność unosi duszę i uspasabia — że żadna jest i ona również wchłaniać tchnienia nieskalane szczytów mistycznych. W zażyłości z przyrodą, kultura człowieka cywilizowanego schnie i umiera; zmysł wewnętrzny zajmuje swe miejsce normalne; instynkt prawdy, wyzwolony z prze-

sądów i umów społecznych, może rozwijać swobodnie swe listowie zielone, w wiosnie wieczystej duszy, która odzyskała niewinność. Ach! gdyby ludzie nie chcieli uważać siebie za mądrzejszych od Przyrody, jak szybko postrzegliby, że ich systematy są płonne i dają tylko niesmaczne owoce; o, jak pozwoliliby, bez troski o jutro, siłom żywym swego wnętrza igrać tu i tam, powierzać się promieniom słońca prawdziwego, rozprzestrzeniać radość, dokoła siebie i w sobie, jak koło dzieci, tańczących przed drzwiami lepianki!... Ale ludzie nie chcą rozumieć, że proste jest prawdziwe.

Pewnej nocy zaobozowaliśmy u skłonu południowego góry, by zabezpieczyć się od wiatru ostrego, od którego cierpieliśmy srode przez cały dzień; niebo było jasne, nic nie zapowiadało burzy; a jednak, ujrzałem kilka małych jastrzębi z głowami białymi, ciągnących ku północy przeciw wiatrowi, poniżej nas w dolinie. Powiadomiłem o mych obawach towarzyszków, i kazałem rozbić sobie namiot, w którym, jako kandydat do Nomekhanatu, miałem spać jeden, między dwiema skałami, z głową zwróconą ku północy. Zostałem zbudzony tej nocy szumem głuchym upadku na dach mój wojłokowy; jako że byliśmy otoczeni szczelinami i przepaściami, zamierzyłem przeczekać do rana, i spędziłem

kilka godzin na słuchaniu, jak przewidziana burza śnieżna tłukła się o boki wolne mej jurty tatarskiej.

Gdy szum ustał, postanowiłem wyjść; musiałem utorować sobie ścieżkę w śniegu; pod słońcem promiennem błyszczała niepokalana płaszczyzna i cyple dyamentowe; ale towarzysze moi, ich namioty, wielbłądy i konie, wszystko to znikło; pomiędzy skałami, które były oparciem mej jurty, utworzył się lodowiec, czyniąc chatę o ścianach śniegowych; szukając, dostrzegłem strzęp wołoku o kilkaset stóp poniżej siebie; cała karawana została zmieciona, jak listek, przez lodozwał, i byłem sam, z workiem herbaty, bez wody, bez ognia, na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów, przy 35 stopniach mrozu.

Niepokój mój atoli był tylko połowiczny; jeżeli służący mi ludzie stali się istotnie ofiarami wypadku, mogłem drogą zastosowania tego, co wy nazywacie telepatją, zażądać pomocy z najbliższego klasztoru, i czekać kilka dni, pogrążywszy się w jeden ze stanów letargicznych Hatha-Yogi. Lecz, jeżeli pozostawienie mnie było zamierzonym, mogłem liczyć tylko na siebie; żaden Lama nie odpowie na me wzywania. Najroztropniej tedy było zabezpieczyć się od głodu.

Słyszałeś zapewne o adeptach, którzy

potrafią zmateryalizować, dajmy na to, worek ryżu, jeżeli mają tylko jedno ziarno, by im służyło, jako podstawa, jako punkt oparcia; co do mnie, miałem tylko herbatę, która nie jest pożywną; śnieg pokrył wszystkie miejsca, gdzie mogłem być znaleźć szczątek roślinny, zapomniany przez żołądek wielbłąda; nie mogłem więc użytkować tego zabiegu. Łatwem mi było jednak stosunkowo, przy odrobinie cierpliwości, ściągnąć i spożyć pewne cząsteczki odżywcze, pochodzące z rozkładu skał, wystawionych na deszcz. Mineral, który wasi lekarze badali bardzo od wieku, zawiera to wszystko, czego potrzeba człowiekowi; materii pierwotnej nie brakło mi tedy.

Zebrałem już garstkę proszku czerwonego, urządziłem już tok w jurcie, napisałem formuły i nastawiłem operację, gdy nagle, bez powodu, te słowa, niegdyś czytane i zapomniane, przeszły pamięć moję. „Rzecz tym kamieniom, by stały się chlebami“. Powstałem, głęboko poruszony; jakim prawem mam naruszać plan Przyrody? co stanie się z temi wszystkimi żywotami mikroskopijnymi, które wola moja rzuci w kraj duchowy, który nie jest ich krajem, niszcząc krzywą ich rozwoju; tyranizując je, by zmusić do spełnienia zadania, do którego podjęcia nie są przygotowane? Życie jednak moje jest dla mnie droższe, niż

wszystkie te pyły, być może, ale, ciągnąc dalej tę operację, ziszcze prawo silniejszego; i jeżeli popełnię dziś niesprawiedliwość, jakichż nadużyć swej władzy nie dopuszczę się jutro?

Czas posuwał się; wkrótce już będę musiał odłożyć do jutra transmutację projektowaną; myśli brzęczały w mej głowie; jeżeli się oprę tym sugestyom, czeka mnie śmierć; nie mam obawy śmierci, ale nie chcę umierać; duma zraniona we mnie bardziej, niż żądza życia; poczynam nanowo wszystkie przygotowania do operacji; wszystko gotowe, przystępuję do wygłoszenia słów obrzędowych... i usta moje niemieją; coś zstąpiło we mnie, jak likwor gorzki i ścinający; poczułem się naraz tak małym, zarówno małym inteligencyą, jak i ciałem; i oto byłem tam, jak owad, uczeplony do skalnej ściany, oczekujący niewiadomego, i szczęśliwy, iż czekam, wśród nocy, gdzie iskrzą się gwiazdy.

O świcie, wyszedłem z tego niebezpiecznego otrętwienia; skrupuły mistyczne pierzchły; zapomniałem o godnościach, o misteryach, o polityce światowej i kościele lamajskim; byłem jedynie góralem, zgłodniałym, lecz jeszcze rzeźkim i skorym, by zмагаć się na ostre ze śniegiem, chłodem i przepaściami.

Zwinałem wołók namiotu, tworząc rodzaj sanek, do których przywiązałem się, jak można

było najlepiej; potem ujawszy w każdą dłoń kolek ostry, jako rudel, i, powierzając się mej gwieździe szczęśliwej i mej znajomości pól śniegowych, puściłem się w dół po pochyłości prawie gładkiej, spodziewając się, że na jej krańcu znajdę może, po kilku godzinach jazdy, istotę żyjącą.

Nie brakowało tam stłuczeń, ani ryzyka skręcenia karku; ale koło południa, zjechawszy w ten sposób prawie dwa tysiące metrów, dostrzegłem pas darni, a nieco niżej drzewa byłem ocalony.

Zebrałem siły, by wysłać, z okrainy lasu, kilka ostrych pohuków, których echo mogło by dojść do uszu pasterza; i usłyszałem z radością, drgającą dźwiękiem w powietrzu daleką odpowiedź; zaś w pół godziny potem kmieć pędem wdzierał się na spadzistość, rad wielce, że może usłużyć świętemu Lamajskiemu, który siedział pod świerkami, z wielką miną godności i oderwania od świata.

XXII

W kilka dni potem, ciągnął dalej Andreas, zaprowadzony przez pasterzy, byłem już w mej celi klasztornej; oczekiwałem tam z największym możliwie spokojem wypadków, które według mych przewidywań miały być stanowczemi.

Wkrótce przybył wysłannik dostojny Wielkiego Lamy Urgajskiego, pod pretekstem obchodzenia rocznicy; i na drugi dzień przyszli do mnie z wielką procesją, pośród hałasu dzwoneczków, petard i okrzyków ludu: Rada dwunastu Nomekhanów była już zgromadzona; umieszczono mnie w środku; milcząco podano mi wielki pargamin; i tam przeczytałem, ku wielkiemu memu zdziwieniu, iż byłbym wybrany na stanowisko wysokie w tej Radzie, na miejsce jednego z członków, który musiał snąć zniknąć, gdyby nie to, że złożył podczas mej misji europejskiej dowody oczywiste nieudolności; spojrzałem na zgromadzenie okiem bezbarwnem, wiedziałem to bowiem dobrze, że wszyscy zajęci są śledzeniem mnie z całą siłą uwagi; każdy inny na mojem miejscu byłby się bronił, a śmierć była zwykłym uświęceniem takich sądów tajemnych; ale znajomość moja poprzednia chytryści wschodnich posłużyła mi; jeżeli postanowili zgładzić mnie, nic prócz cudu nie mogło mnie ocalić; nie mogłem ujść ich rąk własnymi siłami. Należało wiedzieć naprzód, czego oczekiwali odemnie. Wiedziałem, że przewyższam ich w niektórych obrzędach, jakich świątynie brahmańskie nie udzielały nigdy buddystom; zmusić mnie do wyjawienia im tych misteryów było prawdopodobnie celem ich sposobów uczonych; otóż,

nie chciałem zgoła łamać słowa; czekałem więc pod ogniem dwunastu tych sztychów woli, żądnych wyrwania odemnie tajemnicy, w ciszy tej sali, pośród klasztoru brzęczącego i miasta świętującego; żadna pustynia nie zdała mi się tak straszną.

Moja obojętność na wszystko musiała zdziwić mych sędziów; odprowadzono mnie do celi, włożywszy uprzednio na mój wielki palec, na dowód czci, wspaniałe teko, które jest pierścieniem z jaspisu rżniętego i karbowanego.

Nomekhanowie tedy zostawili w spokoju fizyczną moją osobę; lecz należało się obawiać tortur innego rodzaju, których używają snadnie, a którym, jak wiedziałem, nie oparł się żaden z kilku nieszczęsnych, skazanych przez polityków rad tajemnych. Uczni nie mówią o tej sztuce; lecz osoby z ludu wierzą, iż niektórzy Lamowie potrafią rozpętać nad tobą hordę demonów; zrozumiesz, że nie powiem nic o tem.

Tak się też stało w istocie. Myśl ucieczki kielkowała w mym mózgu; ale jak ją urzeczywistnić? Nie mogłem nigdy sam wychodzić; nie miałem innego ubrania, prócz szaty zakonnej wełnianej i wielkiego kapelusza; nie miałem pieniędzy. Byłem w rozpacz. Potem chciałem użyć sugestji hypnotycznej, by zapewnić sobie jednego z mych służących; ale

zamiar mój uprzedzono; wszyscy byli, by tak rzec, zaczarowani przez Wielką Radę; było to najwyższym trudem dla mnie zachować w tajemnicy moje zamiary. Zostałem schwytany, jak mucha w sieć pajęczą. Miotłem się tak cały tydzień, spełniając obrządki publiczne, z różańcem z buczyny w ręku, ze słowem nauki na ustach, zachowano mi bowiem *decorum* i urząd dostojnika: co stanowiło tyleż więzów zresztą. Potem zdenerwowanie moje ukoilo się, i wyczerpanie poczęło podważać mą energię. Tego właśnie oczekiwali moi kusiciele. Gdy już widzieli, że osłabł, że łatwo wrażliwy i zrozpaczony, przysłali po mnie, zaproponowali mi urząd przełożonego jednego z klasztorów Lhassy, i kazali mi go oglądać, oprowadzając od piwnic aż do szczytu. Umysł ludzki nie zdoła wyobrazić sobie bogactw, jakie tam zgromadzono; komnaty pełne samorodnych drogich kamieni; inne napełnione klejnotami; inne monetami, orężem, przedmiotami sztuki, manuskryptami, rysunkami, meblami; zbiory roślin, minerałów, zwierząt zaginionych, instrumentów magicznych, ubiorów; byłem olśniony, ręce me mimowolnie wyciągały się ku tym skarbowi; lecz zanim gorączka posiadania zawładnęła mną całkowicie, miałem moc wyrzec tym, którzy mi towarzyszyli: „Po co to? Złoto rozsypuje się, nauka jest

próżną, piękność nie bytuje zgoła na tej ziemi“. Wtedy zmienili taktykę, pozdrowili mnie, jak Tego, którego oczekiwali dla spełnienia swych zamiarów. Odsłonili mi te zamiary: chodziło o rzucenie połowy Starego Kontynentu na drugą połowę, by podbić ziemię całą ich władzy. Ujrzałem siebie bohaterem, pół-bogiem, czczonym przez miliony ludzi; wszystka piękność, moc wszystka, wszystkie bogactwa należałyby do mnie; wszystek rozum również i wszystka miłość, jaką serce ludzkie może zawierać. Płomień zapalił się w wyczerpanym moim organizmie; ukryłem ręce w rękawach habitu, by nie ujrzano ich, jak drżą; u stóp mych były skarby ludzi; pod oczyma wspinały horyzont, wierzchołki, eter, lasy, w niewinności ich blasku wiośnianego; na tarasach niższych braciszczowie i mnisi, gnący się we dwoje na mój widok, poili mnie winem ambicyi.

„Ustanowisz chwałę Pana naszego Buddy na całej tej ziemi, mówili mi kardynałowie lamajscy; odmienisz, być może, przeznaczenia naszego świata, satellite jego zbuntowanego; zdołasz, być może, wspomagany zapalem tłumów, doprowadzić go do uległości; żyć będziesz zawsze, obecny na tych górach, obecny także wszędzie, gdzie zechcesz; nieznany, gdy zechcesz, jedyny przedmiot spojrzeń ludzkich, gdy tego zapragniesz“. I w ciągu

godzin całych, samotnicy ci, niemi planowo, wyłuszczeni przed mem uchem różaniec sprytnych pożądań.

Królestwo niewidzialne Buddy rozwarło się przed mym duchem; aureola jego otoczyła mnie przez chwilę. Ale wśród kół fluidycznych o szprychach dyamentowych, skroś ognie złote, iskrzące się w mózgu moim, w głębi law rubinowych, toczących się w mej piersi, u stropu baldachimu z szafirów, zwieszonego nad moją głową, ukazało się drobne światełko, świeże, jak kropla rosy, słodkie, jak powiew wiatru w sadach kwiatowych. I wtedy-m mógł odpowiedzieć: „Pan Budda rzekł: Wszystko jest złudzeniem: Nie możecie tedy zniszczyć złudzeń, tworząc inne złudzenia; pozwólcie, o, najmądrzejsi, bym sam, w pustyni, jak w mieście, zniszczył naprzód w sobie do głębi ułudę zasadniczą; wtedy jedynie prawda zechce być może zstąpić; i wtedy będę mógł wam odpowiedzieć; wtedy będziemy służyli razem wszystkim buddom, i ich ojcu, Niepojętemu“. Na te słowa, Nomekhanowie oddalili się, pokonani.

Cierpienia moje skończyły się. W kilka dni potem, przybył człowiek pewien z karawaną kupców chińskich. Zda mi się, zresztą, żeś spotkał pan tę osobę, dodał Andreas nawiasowo. Znalezione, że zdrowie me wymaga

klimatu łagodniejszego, i zaproponowano, bym pojechał z nim niżej ku Indyom. Zgodziłem się. Jakimż czarem była ta podróż przez głuche doliny, w cieniu lasów sosnowych, dębowych i brzozowych; od czasu do czasu spotykałeś małego niedźwiedzia brunatnego, daniela, małpy; orzeł szary towarzyszył nam na wyżynie powietrznej; kwiaty górskie Europy, jaskry, bzy włoskie, klematyty, anemony mnożyły się w miarę, jak posuwaliśmy się ku wzgórzom żyznym wysokiego Nepalu; w Saranie dopiero wsiedliśmy do pociągu, by dążyć przez Behar, Bardwan i Madhupar ku Gangesowi aż do Kalkuty. A przez te trzy miesiące ileż nauk żywotnych zostało mi udzielonych przez tego tajemniczego towarzysza, którego nie spodziewałem się już spotkać na ziemi...“

Słońce już grzało, gdy Andreas umilkł. Wybrał w cieniu pochyłość rowu, i zaproponował mi przespać się, jak on, parę godzin.

Zeszliśmy następnie do fermy jego przyjaciela, którą widać było już dawno ze wzgórza, na którym byliśmy. Gospodarz nasz był dużym starym włościaninem, z bakobrodami i pierścionkami złotymi w uszach. Pokazał nam swe stajnie, swe obory, i po śniadaniu wielkie pola uprawne ogrodowizny. Rozmawiał sam z Andreasem, prawie pół godziny, potem pożegnaliśmy się.

1841
July 1st
At the house of Mr. J. H. Smith

Received of Mr. J. H. Smith
the sum of \$100.00

for the purchase of
land

in the town of
New York

for the use of
the school

of the town of
New York

1841
July 1st
At the house of Mr. J. H. Smith

Received of Mr. J. H. Smith
the sum of \$100.00

for the purchase of
land

in the town of
New York

for the use of
the school

of the town of
New York

ku niemu, jest drogą, na której się wszystko złączyło, by oddalić idącego. Zły bruk, kurz, pochyłości, wyboje, brak cienia, rozdroża, gdzie narażony na zmiżdżenie, przejścia ciemne, gdzie zbójcy zastawiają zasadzki nocą... (głos jego zadrgał nagle, jak struna wiolonczeli). I, gdy ma się nogi okrwawione, oblane potem lub zmrożone wichurą, gdy kolana okaleczone, żołądek pusty, trzeba iść naprzód mimo wszystko! wołał cicho ze skupieniem niezwykłym energii w całej swej potężnej postawie.

Człowiek ten, chwilami, poruszał serce, jak lew, który potrzasa zdobycz, zanim ją uniesie; byłem pełen podziwu dla wszystkiego niewiadomego, którego on, zdaniem mojem, był stróżem; i, jak można się było spodziewać, uczyniłem, tuż zaraz, najbardziej dziecinne oświadczenia odwagi, wytrwania, wszystkiego, co mi przyszło do głowy.

XXIII

Dla zrozumienia opowieści, winienem przytoczyć w tem miejscu, co podał mi Andreas wiele miesięcy później o jednej ze swych podróży do Siamu. Powtarzam to dokładnie, jak na to pamięć pozwala.

„Wiesz już, mówił mi pewnego wieczoru, że w okresie już dawnym włóczyłem się na

przełaj międzyrzecza północnego Saluenu. Legendy, jakie obiegają o tych krajach jeszcze nieznanych, zdecydowały o moim wyborze. Góry, lasy bez końca, źródła wód nie wyszłakowane, flora i fauna bujna, polowanie na tygrysy: tyloma ponętami nęciły nieodparcie.

„Skorom tylko się uwolnił od szkół i od rad familijnych, zaraz porwałem się zwiedzać Indye. Potem, z oczyma olśnionemi tysiącem świetnych obrazów, udałem się na odpoczynek do Rangun, by tam przygotować się do podróży mniej pośpiesznej do Laosu i Szanu. Pragnąc przeniknąć duszę tych ludów, obmyśliłem wybieg, który mój sceptycyzm ówczesny ukazał mi, jako całkiem prawny.

„Zauważyłem nadzwyczajną uprzejmość ludzi Wschodu dla Europejczyków; ale wydała mi się ona uprzejmością z nakazu, podyktowaną przez inne uczucia, niż zwykła życzliwość, lub trwoga; poczytałem ją za wpojona pocuciem pewnej wyższości nad nami. Ale na czem polegała ta wyższość? Ludy te, z drugiej strony, są głęboko religijne; nawet dla obserwującego pobieżnie jasnem jest, że Indye i krainy sąsiednie są terenami właściwemi wszelkiego rodzaju kapłanów; laicy mogą drwić sobie przygodnie z tego lub owego kapłaństwa, ale w gruncie, cześć, jaką im oddają, i trwoga są nieskazitelne. Umyśliłem tedy, że będzie

1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

„Nie zapominałem jednakże o celu mej podróży; okoliczność nadarzyła mi jego spieszenie. Był to okres, gdy Francya poczyniała podbój Tonkinu; szczegół to mały znany naszym dyplomatom, że kroki te wojenne poruszyły wszystkie góry, gdzie powstaje rzeka Jasna i rzeka Czerwona; co do racji tych niepokojów niezwykłych u plemion tak odległych, nie mogłem się nigdy dowiedzieć o nich.

„Było to na porządku, że buddyści birmańscy utrzymywali stałe stosunki z klasztorami i pustelniami, przepadłemi aż w sąsiedztwie Lolosu. Były tam budowle do wzniesienia, prace czynne, do których poczytano mnie za bardzo odpowiedniego z racji mej siły fizycznej. Na odchodnem, mój kierownik zwrócił się do mnie z przemową krótką, w której wyraził w słowach dyskretnych, wśród pochwał i rad, iż nie jest bardzo pewny szczerości przekonania moich religijnych. I gdy, zdziwiony jego przenikliwością, zapewniałem o mojej gorliwości:

„Dobrze, mój synu, odrzekł mi z uśmiechem i z oczyma spuszczonemi, — ale tedy, pocóż szukasz jadu?”

„Oslupiałem, gdyż powiedział prawdę. Sporządziłem potajemnie rurkę długą, zaopatrywałem się w długie kolce, i poszukiwałem, by zdobywać jad, strasznych zmijek

szarych, których ukąszenie zabija w ciągu chwili. Dla przyszłych bowiem mych zwiedzań, musiałem mieć broń przeciw dzikim bestyom. Nie napomknąłem nikomu ani słówkiem o tych przygotowaniach; przypuściłem, że byłem szpiegowany; zaprzeczyłem z całą zimną krwią. Lecz mój wielbny odrzekł: „Mój synu, kłamstwo jest samobójstwem; zaś temu, kto pokonał gniew, tygrys nie może uczynić już krzywdy. Musisz jeszcze żyć w złudzeniu, zanim zobaczysz Wiecznietrwającego; idź tedy w góry, gdzie los twój cię wzywa; nauczysz się tam wysoko, jak ten, który zwalnia od więz dwunastu, przenika myśli bliźniego”.

„Wyruszyliśmy w drogę w pięciu, czy sześciu.

„Wszystkie opowiadania podróżników są podobne do siebie; zwolnię cię więc od mego; wyobrażasz sobie czary tych długich dni milczących; przeszły one me oczekiwanie; lecz noce były uciążliwe z powodu komarów i zwierząt jadowitych. Wszelako, trafem szczególnym, przez dwa miesiące drogi pieszej, poprzez dżungle, lasy, skały i bagna, żaden wśród nas nie został ukąszony.

„Pomijam długie tygodnie, użyte na budowanie Wihary; niecierpliwiłem się; obmyślałem bez przerwy nowe plany, z których każdy był coraz śmielszy i mało praktyczny. Byliśmy

grzmienie dalekie dobiegło do mego ucha; w moment wzrosło, podczas gdy ma tratwa tańczyła na leju; zrozumiałem, że spadek bliżki; serce me ścisnęło się; do manewrowania musiałbym posiadać zręczność dzikusa; uczułem, że zgubiony, jeżeli wodospad wysoki, albo jeżeli są tam skały. Nie było rady. Rzeka raptownie zwęziła się pomiędzy prostopadłemi ścianami; szum stawał się ogłuszający; uczułem, że porwany, jak listek, na wiry spienione. Wrażenie upadku, stłuczenie, zanurzenie; instynkt kazał mi się wynurzyć na powierzchnię, i wyczerpany, potłuczony zostałem rzucony na wązki skrawek piasku, gdzie straciłem przytomność.

„Ból przenikliwy ocknął mnie; rozdzierano mi plecy, ciężar olbrzymi tłoczył mnie; woń zgnilizny dusiła mnie; padłem na twarz; nie mogłem się poruszyć; zrozumiałem, że tygrys leżał na mnie. Nie spieszył się, by mnie unieść; szorstki język jego lizał krew, która płynęła z mego ramienia; odzyskawszy teraz całkowitą przytomność, ujrzałem z jasnością rozpaczę środek, by wydostać strzałę, ukrytą na piersi,— był to cud, że nie ukłuła mnie,— lecz zwierzę zgładzi mnie w skurczu śmiertelnym? Mniejsza o to; należy próbować szczęścia. Z powolnością niesłychaną zdołałem odgiąć ramię, ująć strzałę; spróbowałem obrócić się nieco, by nakiero-

wać cios, lecz zwierzę wydało pomruk straszny, i nagle cały swym ciężarem, zapuściło głębiej pazury straszne w me ciało. Myślałem, że umrę z bólu. Ruchy me konwulsyjne zwróciły mnie ku nadbrzeżu rzeki; miałem nad głową paszczę straszną bestyi; nie zajmowała się mną; patrzała na coś; szukałem oczyma, i ujrzałem człowieka słusznego wzrostu, idącego ku nam statecznie; nadmiar cierpienia wrócił mi przytomność umysłu; nie czułem już nawet, jak mocne szpony zwierzęcia wyszły z czerwonych futerałów, jakie wyłobiły sobie w mych mięśniach, i zapuszczały się z powrotem. Patrzałem na zbliżającego się; odziany był w tkaninę czerwono-żółtą; nogi i prawy bok torsu, obnażone, ukazywały przedziwną muskulaturę i doskonałość linii. Pierś jego wzdęta, szerokie i pełne ramiona, pion władczy głowy, wspaniałość rysów wyrażały siłę niezwykłą, zarówno fizyczną, jak i moralną. Był pewnie Europejczykiem, lub jednym z tych brahmanów czystej kasty, których skóra jest tak jasna, jak skóra Prowansalczyka. Pomimo odurzenia, patrzałem z przyjemnością na ruchy harmonijne tego człowieka; dziwiłem się, że nosił brodę; chciałem rozejrzeć jego rysy; lecz wyczerpanie prawdopodobnie pozwalało mi widzieć jedynie, gdym wzrok ustalał, mgłę fioletową, skroś którą ukazywał się punkt

1847
1848
1849
1850
1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

1847
1848
1849
1850
1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

i prosty, ku Światłu światła. W tym pochodzie, są chwile, kiedy żaden człowiek — rozumiesz pan, żaden — i głos jego grzmiał — nie miałby nawet tyle siły, by unieść powiekę, gdyby anioł nie został mu posłany... Ach, doktorze, to właśnie uczę modlitwy.

Ostatnie słowa stropiły mnie. Uważałem zawsze Misterya starożytne, jako szczyt chwały ludzkiej, których zdobycie wymagało woli wszechmocnej. A oto książki moje snąć były próżnym wabikiem! było coś innego!

— Lec, spytałem, o jakim wtajemniczeniu mówisz pan? o jakiej modlitwie?

Zatrzymał się, i szybko ogarnawszy mnie wzrokiem od stóp do głów, odrzekł:

— Zapomniałem o wszystkich wtajemniczeniach, upewniam cię. Ale, rozumiem, co chcesz rzec: po co, mniemasz, się modlić, gdy Pierwsza Przyczyna działa ze sprawiedliwością, z dobrocią, z doskonałością? Modlitwa tedy byłaby dzieciństwem, świadczyłaby o zaślepieniu naszego serca, o egoizmie zaciekłym; byłaby ona, twem zdaniem, dzieckiem upartem, beczącym o swą zabawkę, pychą, która poczytuje siebie za dosyć ważną, by wszechświat się paczył według jej upodobania, lub istotą, która nie pojmuje, że jej pragnienie może nie być uskutecznione?

„O, uczony — i mocna ręka jego zaciężyła

przyjaźnie na mem ramieniu — czyś nigdy nie widział niemowlęcia u piersi swej matki, żony w objęciach męża? Kamień zagrzebany czyż nie szuka przestworu, roślina nie przebija li muru, żeby znaleźć światło? zwierzęta zatrzymują się przed słońcem przynajmniej raz na dzień; Ocean wznosi się regularnie na spotkanie wypływów księżycowych, które go ożywiają; narody szukają szczęścia; planety także, pochylając się na swych biegunach; i inteligencya twoja dlatego tylko tak rozległa, że wiele prosiła. Czy z tego wynika, że każda z tych istot prosi, jak należy? Nie, stworzenie całutkie jest niedoskonałe; lecz ma ono uczucie tej niemocy i przeczucie stanowiska wyższego.

„Gdyby doskonałość i ideał nie istniały, Opatrzność miałażby okrutną odwagę zasiewać uczucia ich w głębiach naszych? Droga człowieka jest tej samej natury, co droga wszystkich innych istot; niech idzie z całą prostotą za zmysłem samorzutnym życia, tętniącym w nim samym, a niemożliwym będzie, by się zbłąkał“.

Pozostałem dłuższą chwilę na drodze ciemnej, powtarzając te słowa i ryjąc je w pamięci. Zdały mi się one cennymi i decydującymi: nie słyszałem nigdy podobnych; wzruszenie me nie pozwalało mi rozumować; wszystko, co mogłem uczynić, to — słuchać i pamiętać.

XXV

Andreas począł:

„Człowiek, o którym chcesz mi mówić, doktorze, jest właśnie ten, którego zauważyłeś niegdyś, na pogrzebie Dezyderyusza. W Europie, zwie się on Teofanem. Spotkałem go po raz trzeci w Lhassie, gdzie zatrzymałem się, wracając z Siamu, ale po wielkiej podróży okólnej przez Chiny, Mongolię i Kiachtę.

„Będę zawsze wspominał z przyjemnością te podróże, te pociągi snujące się poprzez dżungle albo step; sylwetki dzikich zwierząt, zbudzonych w trawach wysokich; od czasu do czasu kopuła czarna samotnika o czerwonych oczach; potem, rzadcy towarzysze podróży; Anglicy lub Amerykanie, ubrani w khaki, dżentelmen tubylczy w turbanie i białym kostymie, gromady ludzi świętych wszystkich sekt i znaków; ścisk wielkich przedmieść, domów zajezdnych i portów; urok słodki wybrzeży morskich; majestat wysokich śniegów wieczystych, które zdają się zwieszać nad głową; melancholia ogromna pustyń piaszczystych czy trawiastych: tam to nauczyłem się znajdować piękno, mieszkające we wszystkim i wszędzie. Dom robotniczy sześciopiętrowy użycz mi poezji, zarówno jak niebotyczne Himalaje.

„Opuściłem Brahmanów Dekkańskich, gdyż zmęczony studyami jałowemi fizyki tajemnej miałem nadzieję wejść głębiej w duszę hinduską, wtajemniczając się w ich formy obrzędowe. Przybyłem do Benaresu, opatrzony wszystkimi listami polecającemi, koniecznemi, by wzgarda, jaką wzbudzamy w ludziach Wschodu, stała się już tylko lekką nieufnością. Bowiem grzeczność tych ludzi względem Mlekczasów jest ironią wysmienitą dla tego, kto zna ich prawdziwe uczucia względem Zjadaczy Krów, jak oni nas mianują. To nie w ciągu kilku miesięcy następuje, by urzędnicy nasi lub nasi uczeni mogli zdobyć zaufanie człowieka ze Wschodu; ale żaden z filologów czy filozofów, z których drwią oni, nie przyzna się do tego, bowiem każda z dwu ras poczytuje siebie, z ręką na sercu, za wyższą.

„Zabrałem się naprzód do studyów nad naukami przyrodniczemi, ale nie doszedłem do otrzymania z mych doświadczeń wyników zadawalających. Uważałem, że winienem przypisywać winę tylko sobie, mniemając zarazem, że me władze postrzegania i refleksyi nie są jeszcze dostatecznie rozwinięte, by wyciągnąć z mych prac nauki, jakie, według Brahmanów, są w nich zawarte. Było to poprostu dla tego, że nie miał dosyć materyałów; udałem

się tedy na Jawę, a potem na równiny, by znów wrócić w góry.

„Pod koniec tego wtórego pobytu w Himalajach doznałem właśnie tych prób, o których mówiliśmy niedawno, a których zakończenie dał mi Teofan, podczas swej czwartej wizyty. Otrzymałem święcenia lamajskie; ponieważ znałem pismo Wu-Wang, i umiałem coś niecoś nakreślić po tybetańsku, otrzymałem tedy dobre stanowisko w hierarchii, do usług naczelnego Astrologa wielkiej świątyni lamajskiej, „Perun-Mabru“. Pałac ten, a raczej miasto całe jest zaludnione prawie piętnastu tysiącami osób; strzeże on obecności Dalaj-Lamy, chociaż ów pozostaje prawie zawsze niewidzialny. Obowiązkiem moim urzędowym było obliczanie każdodziennie godziny ceremonii dla małej świątyni specjalnej, bowiem tu wszystko reguluje się za pomocą astrologii, i upewniam pana, że ten ceremoniał jest skomplikowany.

„W tym to czasie, pewnego ranka, ujrzałem znowu Teofana. Miał twarz tę samą, co przed dwudziestu laty, lecz wyraz rysów jej się zmienił, aczkolwiek wszystkie linie ciała jego i wszystkie ruchy były wycechowane tą samą mocą nadludzką. Na drodze, gdzie byłem, spotkałem się z karawaną, eskortującą phapa annamickiego do miasta.

Teofan spostrzegł mnie i zbliżył się do mnie z uśmiechem; zaledwem ujął dłoń, którą mi podał, gdy uczucie niewysłowne zawładnęło mną, uczułem się, jakgdybym był zanurzony w kąpieli słonecznej o słodczy nieskończonej i mocy nieskończonej. Od serca aż do kończyn palców wszystkie komórki mego ciała drżały temże wrażeniem wyzwolenia, jakgdybym z głębi więzienia wydostał się na czyste powietrze, muskające szczyty o wschodzie słońca.

— Jak się masz, rzekł mi, co się dzieje ze Stellą?

Na te wspomnienia, Andreas przerwał, by uśmiechać się, bez żalu, pogodnie; potem znów ciągnął:

— Chciałem mówić o pracach mego wieku dojrzałego, lecz on rzekł mi: „Będziesz miał wkrótce wieści odemnie“, i pożegnał mnie tem wspaniałem spojrzeniem, jakie poznasz pan może. Eskorta jego, która się była zatrzymała na boku, ruszyła. Stałem tak, patrząc na jego sylwetę atletyczną, wstępującą na pochyłość, aż dopóki zakręt ścieży nie zabrał go z przed mego wzroku; wtedy ocknąłem się z rodzaju ekstazy, w jaką jego zjawienie pogrążyło mnie.

Taką była jego trzecia wizyta.

— Jednakże, rzekłem, widziałeś pan wiele

wielkich rzeczy, a i strasznych również, u tych kapłanów wschodnich?

Nie słyszałem odpowiedzi; byłem bowiem sam bardzo pochłonięty; zdało się, że skroś ciemności głębokie, w których tak długo błądziłem, dostrzegam również światło przenikające. Nic nie mogło stać się dla mnie, na co nie możnaby zaradzić. Jeżeli się zapuścił na ulice bez wyjścia, to zawrócę się; jeżeli zawód mnie czeka, będzie on mniej ciężkim, bowiem go przewidziałem; a może to będzie końcem mych wysiłków! Takie były moje rozmyślenia, gdy trąbka tramwajowa obwieściła nam bliskość rogatki; rozstaliśmy się, by powrócić do siebie.

XXVI

Pewnego wieczoru rozmawiano, u Andreasa, o postępach niezwykłych, jakich wtedy dokonała nauka lotnictwa, i wszyscy głosili hymny, podziwiając odwagę, pomysłowość, zręczność lotników. Gospodarz nasz nie podzielał, zdało się, naszego zachwytu, i ktoś na to uczynił mu uwagę.

— Ależ tak, oświadczył, uważam, że wszystko to bardzo piękne, a potem, podczas tego, opinia publiczna jest oderwana; ludzie mniej się troszczą o rzeczy niezbędne, lecz nudne.

Jeden z nas mówił o rozwoju cywilizacji, o obronie narodowej, o kulturze, o energii, o duchu przedsiębiorczym, niezbędnym dla narodu, by się utrzymał w swym rządzie.

— No, tak! odrzekł Andreas; są to poglądy bardzo słuszne; lecz czy urzeczywistnią się one? Czy wszystkie wynalazki skierują się ku szczęściu ludzkości? Wiecie o tem, że tak samo dla narodów, jak i dla pojedynczych ludzi, jedno jest tylko koniecznem: pomagać bliźniemu; a potem, lotnicy ci są, bez wątpienia, odważni, lecz gdyby nie otrzymali pomocy, pomimo całej ich wytrwałości, ich nauki, ich bezinteresowności, ich odwagi, nie osiągnęli by tego, co osiągnęli. Człowiek nie wyobraża sobie, ile we wszystkim, co przedsięwzię, otrzymuje pomocy.

— Jeżeli tedy Niebo poparło lotnictwo, nie może to nie być odkryciem pod każdym względem wybornem?

— Niebo? rzekł Andreas, potrząsając głową; tak, i nie. Nic się nie dzieje, oczywiście, bez zezwolenia Nieba. Ale pozwala ono na czynienie wielu rzeczy, które, w ostatniej analizie, są jedynie kaprysami, ciekawościami, chciwościami. Niebo nie sprzeciwia się tym, którzy zanadto omaszczają swą zupę, ale ono im tego nie poleciło, bowiem poleca postępować przeciwnie.

— Lecz wtedy, odparł młody dependent sądowy, jeżeli naród nie przoduje, inni go wyprzedzają, uciskają i ostatecznie podbijają?

— Tak jest, odrzekł Andreas z uśmiechem; to słuszne, ale ja nie powiadam, by naród miał drzemać w gnuśności biernej: Przyroda nie pozwala, zresztą, na to; obacz pan, co się stało z Boerami...

— Tedy Anglicy mieliż rację? przerwał żywo stary urzędnik.

— Ach, nie, nie mówię tego: Boerzy nie-słusznie robili, że nie otrząsali się z bezwładu patryarchalnego swego żywota, ale Europa nie miała najzupełniej słuszności, że nic nie zrobiła dla ich obrony.

— Cóż tedy ma czynić naród? zapytał dependent.

— To, co i pojedynczy człowiek. Ma pracować, ma brać udział we wszystkim, ma się trzymać swego stopnia, lub na nim się utrzymywać, i ma się nie obawiać trudów i kosztów pieniężnych na wspomnienie, przy sposobności, innych narodów opóźnionych.

— Czyż Francja nie robiła tego?

— Tak jest, często. Nie bez racyi tedy, dodał Andreas z pewną powagą, jest Francja najstarszą z narodów, i nie jestem szowinistą, mówiąc to.

— O! rzekł dependent, który nieco po-

dróżował, myśmy najmniej szowiniści. Trzeba słyszeć, co myślą o swych krajach Amerykanie, Anglicy, albo Niemcy, by dostrzedz, żeśmy skromni...

Andreas uczynił gest wymijający, który zatrzymał młodego prawnika, lecz zamilkł. Wtedy ja go zapytałem z kolei:

— No, a lotnictwo?

— Co chcesz wiedzieć o niem? zapytał nasz mistrz.

— Powiedz nam pan coś o niem.

Andreas uczynił jakgdyby parę wysiłków pamięci, podczas gdy wzrok jego przybierał wyraz oderwany; potem, siadłszy, tak mówił do nas:

— Wszystko przychodzi do człowieka za pośrednictwem klisz; czy to — gdy ich droga prowadzi tutaj nisko, czy — gdy pragnienie ludzkie przyciąga je; lecz bardzo niewielu z nas ma dostateczną siłę, by zwrócić kliszę z drogi. Klisze stanowią cały świat powszechny; są one zespołem zamiarów Bożych, prac, które On przygotował dla nas i dla wszystkich tworów. Są klisze kosmiczne: stworzenie jest największą z klisz; klisze planetarne, lądowe, rasowe, narodowe, indywidualne; są klisze meteorologiczne, astronomiczne, religijne, naukowe, polityczne. Choroba, małżeństwo, katastrofa, książka, wydarzenie nieszczęsne, narodziny,

śmierć, są to klisze. Bitwa, zabójstwo, wybuch wulkaniczny, los wielki na loteryi, algebra, piękny odczyt, zebranie to tutaj dziś wieczorem, są to klisze. Przedmioty nawet, armata, okręt, katedra, instytucye polityczne, trybunał, prawo, miasto, góra, przyrząd, samochód, są to klisze. Aeroplan jest także materjalizacją kliszy.

— Jest to illuminizm neo-platoński, rzekł doktor filozofii.

— Sądzisz li pan, że Plotyn, Porfiryusz i inni również wymyślili cośkolwiek sami z siebie, że nie odtwarzali oni jedynie jestestw umysłowych? I, nie czekając na odpowiedź, Andreas ciągnął dalej, poruszając ręką z żywością:

— Nie, wiedźcie, panowie, człowiek jest jedynie naśladowcą, mniej lub więcej zręcznym i pomysłowym: mózg jest tylko aparatem fotograficznym, mniej lub więcej czułym.

— Cóż pan wtedy zrobisz z wolą? zapytał wychowaniec uniwersytecki.

— Otwiera ona lub zamyka zasuwkę, odparł Andreas; ale, dodał z rodzajem ukłonu, są wyjątki; ludzie bardzo mocni, bardzo inteligentni, mogą wiele uczynić wolą: ale my, ludzie zwykli, jesteśmy prowadzeni nieco, jak stado; mówię wciąż o wypadku zwykłym. Tak więc, czy to będzie, że człowiek, żądnym znale-

zienia czegoś nowego, czy zyskania pieniędzy, czy dla urzãdzenia sobie życia wygodnego, czy z innej jakiej pobudki, czy to będzie że dąży do tego własnym ruchem, czy też że wola Boża lub bieg naturalny okoliczności umieszcza go na drodze kliszy, te same od-
tworzą się zjawiska. Jeżeli odrzuca kliszę, oddala się ona, potem powraca; jeżeli człowiek odrzuca po raz drugi, klisza wraca po raz trzeci; i gdy człowiek jeszcze odrzuca, odchodzi ostatecznie. Wszelako, jeżeli człowiek przyjmuje ją za drugim następczeniem się, będzie miał więcej trudu w swej pracy, niż gdyby był przyjął odrazu kliszę; a jeżeli ją przyjmuje dopiero za trzecim razem, osiągnięcie będzie go kosztowało wiele trudów; to, co nazywam tu człowiekiem, jest czemś innem, niż jestestwo, którem zajmuje się psychologia; mam tu na myśli ducha ludzkiego, ja jego prawdziwe, to, co jest wyższe od świadomości.

Jeżeli ja zainteresuje się kliszą, zatrzymuje się ona; dwie te istoty pozostają wobec siebie dłuższy lub krótszy czas; przenikają się wzajemnie; duch ludzki magnetyzuje, by tak rzec, kliszę i buduje z niej obraz użyciowiony z większą lub mniejszą siłą; gdy praca ta asymilacyi duchowej, trawienia, skończy się, klisza odmieniona odchodzi i dalej odbywa

drogę. Wtedy, obraz wstępuje aż powyżej mózgu, chce rzec, umysłowości; i gdy ta ostatnia postrzega go, rodzi się naraz w głowie człowieka idea. Nie wie on, z kąd ona; lub mniema, że jest ona wynikiem jego inteligencji, jego dociekań; ale to nie szkodzi; Przyroda nie ma zmysłu własności ani miłości własnej autora. Skoro tylko pierwsza intuicya zostaje postrzeżona przez świadomość, wtedy to, co zwiemy zwyczajnie wola, może złączyć się z tem światelkiem lub je zaniechać. W tym ostatnim razie, obraz buja jakiś czas dookoła człowieka, i gdy on nie zajmuje się stanowczo nim, odchodzi, a może być, że mózg gościnniejszy, otwartszy i ciekawszy przygarnie go. Jeżeli wola przyjmuje intuicyę, poczynają się niepokoje, prace, gorycze wynalazcy, ale ostateczne powodzenie każe mu o wszystkim zapomnieć.

— Chciałbym bardzo wierzyć panu, rzekł filozof po chwili milczenia, chociaż to wszystko bardzo podobne do legend mitologicznych; ale jak ten obraz tajemniczy z nieświadomego przechodzi do świadomego?

— Wytłomaczę to panu, odpowiedział Andreas, skoro tylko naprzód okażesz mi pan słowami lub pismem, jak zero staje się jednością, jak wrażenie fizyczne wytwarza pojęcie, ideę. Jesteśmy, widzi pan, zamknięci

w ogrodzeniu, i gorzej jeszcze, pomiędzy czterema murami. Uczyć się geometryi o *n* wymiarach, to — fortel, nie zaś rozwiązanie. Instynkt, intuicya, postrzegają nie-ja przez pewnego rodzaju zetknięcie, uobecnienie; ale to nie wystarcza dla inteligencji; chce ona zdać sobie sprawę, wtedy rozcina, kraje, notuje, destyluje abstrakcyę; gdy zdrowa, dochodzi do idei słusznej; ale nie jest nią często; wtedy systemat naukowy nie odpowiada rzeczywistości.

— A więc mam rację, że się nie uczę, oznajmił młodzieniec silny o rysach energicznych, który milczał dotychczas.

— Ależ nie, nie masz racyi, odrzekł Andreas; przeciwnie, trzeba się uczyć i uruchamiać rozum: po cóż go dał nam Pan Bóg? Lecz trzeba pamiętać zarazem, że się nic nie wie. Rozważać, wyprowadzać wnioski, zestawiać rachunki, robić kreślenia, równania, wszystko to akty użyteczne. Tylko trzeba je pozostawiać na właściwem miejscu. Ten, kto chce, na przykład, pobudować samolot, ideę podstawową otrzymuje od nawiedzenia kliszy, zaś pragnienie swe usiłuje urzeczywistnić z pomocą znajomości praw świata fizycznego. Pobudowanie bicyklu wymaga znajomości arytmetyki, geometryi i mechaniki; ale jeździć na bicyklu — tylko instynktu; ci, którzy mają zmysł

równowagi, uczą się znacznie prędzej; nie czynią jednak obliczeń co do przemieszczania ośrodka ciężkości; rozumują bardzo mało; posługują się próbą, dochodzeniem po omacku. Tak samo w stosunku do samochodu, do pływania, do zwykłego chodzenia. Nie kazano nam czynić kreśleń, gdy chciano nas nauczyć utrzymywać się prosto na nogach, kiedyśmy byli mali. Zgódźcie się tedy, że praca intelektu jest zawsze podporządkowaną pojęciu instynktownemu albo intuicyjnemu.

— Lecz to pojęcie, ze swej strony, od czego zależy? Od kliszy? A co kieruje kliszą? sypał pytaniami młodzian.

— Klisza jest istotą żyjącą, odrzekł Andreas; tak żniwiarze są kliszą śmierci dla kłósów, które żną. Mają one istnienie własne, przeznaczenie osobowe. Ale nie odbiegajmy od przedmiotu, dotyczącego odkryć. Otóż, wszystkie przyrządy, jakie człowiek wymyślił, są podobieństwami z metalu i drzewa do tych lub innych organów czy grup organów życia zwierzęcego. Serce jest pompą ssącą i tłoczącą; system nerwowy — telegrafem, i tak dalej. Dzieje się nawet od potopu do potopu, na ziemi, że natężenia psychiczne stają się, w trzydzieści do sześćdziesięciu wieków później, przyrządem, i że jeszcze później, przyrząd ten obiektywny staje się znowu z kolei

organem fizyologicznym. Tak, na przykład, w ciągu ostatniego roku platonicznego, Atlantowie zajmowali się bardzo przenoszeniem myśli. Wysiłki ich w końcu wywołały w atmosferze fluidycznej ziemskiej siły, które pozwoliły nam na telegraf bez drutu; i, być może, po jednym czy dwu potopach, będziemy mieli ludzi, obdarzonych w sposób naturalny zmysłem telepatycznym.

— Co za wyobraźnia! zawołał filozof półgłosem.

— Nie prawda-ż, panie? rzekł mu Andreas z uśmiechem wesołym. Wola masy ludzi, natężona przez długi okres czasu, ściąga, co się jej podoba; żyje, wywołuje życie. To, co przenosi myśl, by pozostać przy tym samym przykładzie, to nie fluidy, to, w gruncie rzeczy, istoty. Trochę więcej, niż sto pięćdziesiąt lat temu, zbliżyła się do nas planeta, na której mieszkają zwierzęta o wielu łapach, z oczyma wypukłemi i skorupą, jak olbrzymie koleoptery: one to stanowią kliszę automobilu. — Od pięćdziesięciu lat jest w kraju niezbadanym kuli ziemskiej kilka par istot skrzydlatych; one to, bezwolnie, przez samą tylko obecność, pomogły do rozwiązania problemu „rzeczy cięższej od powietrza“.

— Jeżeli tak jest, zapytał mechanik, z oczyma roziskrzonymi ciekawością, czyż nie mo-

żna przywołać tych tworów bliżej do nas, powiększyć ich liczbę, zrobić coś, by je zużytkować?

— Co to, to nie! rzekł Andreas; można, ale nie trzeba tego robić. Gdy mówię, że można, to znaczy, że człowiek bardzo silny i bardzo śmiały mógłby to zrobić; ale ja nie znam nikogo, ktoby był zdolny przeprowadzić z powodzeniem takie przedsięwzięcie. Winniście byli pojąć, jeżeli bym był dosyć jasny, że świat klisz jest kluczem życia powszechnego. Ojciec powierza go tylko tym, którzy są dosyć mądrzy, by nie posługiwać się nim niewłaściwie, zaś trzeba, wierzyć mi, strasznie cierpieć, by nauczyć się tej mądrości. Trzeba się ofiarowywać, przebaczać, trudzić się przez wiek i wieki. Otrzymamy wszyscy dnia pewnego ten klucz, przyrzekam wam to; lecz zabierzmy się zaraz do dzieła. Nie jest że to i waszem zdaniem? dodał, zwracając się do wszystkich.

Potem, zwracając się do doktora filozofii:

— Widzisz pan, że w rezultacie wszystkie te rojenia sprowadzają się do prostej i zwykłej moralności.

— Tak jest, zawnioskował stary urzędnik, do pracy! Zdaje mi się jednak, że ze zetknięcia się kliszy z duchem ludzkim, klisza musi odchodzić inna, niż kiedy przyszła?

— Słusznie, odrzekł Andreas; mamy wpływ na klisze, wpływ nieświadomy, ale rzeczywisty. Pomagajcie tylko bliźniemu, a spełnicie swoją powinność we wszystkich wypadkach, jakie tylko można wyobrazić.

XXVII

Następnego tygodnia, przybyłem znów do Ménilmontant. Zastałem Andreasa przy pracy; do warsztatu jego była przytwierdzona żelazna kula grawerska, on zaś wykonywał rylcem ozdoby na małym gongu, w którego wolutach biegły dokoła litery hieratyczne.

— Jest to stare pismo chińskie, rzekł mi z uśmiechem; panowie, którzy drukują swe dzieła u Leroux, mieliby sporo kłopotu, gdyby im dano to do odcyfrowania.

Ukazała się Stella, odprowadzająca gościa, wysokiego i grubego pana, pięknie ubranego, z wykwintnemi manierami; musiałem go widzieć w kołach urzędowych, ale nie przedstawiono mi go.

Powiadomiwszy się, czy Andreas rozporządza czasem, poprosiłem go o dalszy ciąg historyi, którą mi był przyrzekł niejako. Zachował się z wielką łaskawością; przybrał ton ojcowski; nigdy byś nie rzekł, żeś jest w obecności tego samego człowieka, który, zdało się,

czytał w sercach ludzkich, rozkazywał chorobom i dźwigał energie osłabłe.

— Pojmiesz pan, rzekł mi, po tem, co wiesz pan o polityce wschodniej, że wiele powodów nie pozwala mi wymienić krajów i osób, jakiem odwiedził podczas mej ostatniej podróży dyplomatycznej. Nie iżbym nie miał do pana zaufania, dodał, lecz iż to wszystko poszyte tajemnicami, które nie są memi, i których przeto nie mogę odsłaniać.

— Rozumiem pana całkowicie, odrzekłem; zaś okazałeś mi pan tak wiele dobroci, winieniem już panu nazbyt wiele, bym mógł się urażać powściągliwością, jakiej zachowanie uważasz pan za właściwe w stosunku do mnie.

— Ach, ciągnął dalej, przestając rytować, i zwracając się do żony; smutnemi wielce były dla mnie te dni, spędzane w świetnościach kolejnych starożytnego Wschodu i współczesnego Zachodu; miałem tam ciebie bliźniutko, kochanie, i ty wiedziałaś, że sąsiadujemy; i ani razu nie mogłem przełamać tych więzów ceremoniału, których wszelako zazdrościło mi tysiące biedaków, przybiegłych ze wszystkich stron, by zobaczyć tajemniczego ambasadora gór tajemniczych. Ja sam, pośród dyplomatów i Sztabu ugalonowanego, spotkałem nie jedną postać widzianą dawniej; na twarzy jednak żadnego zpośród nich nie do-

strzegłem nic więcej prócz ciekawości. Musiałem się bardzo zmienić. Ty sama, Stello, — bez jasnowidzenia, jakie daje miłość, — czybyś się domysliła, że ten tęgi mężczyzna, którego twarz pomarszczyły śniegi, wichry i żary słoneczne, którego wzrok stwardniał, to ten sam, którego niegdyś nazywano — i tu się uśmiechnął łagodnie — pięknym Andreasem.

Żona ukłękła u jego kolan i ucałowała jego chude ręce muskularne; uniósł ją bez wysiłku, i ciągnął dalej opowiadanie, mając ją przy sobie. Wylewy te uczucia, które okryły by śmiesznością każde stadło w tym wieku, szlachetnością zachowania, powagą twarzy, i — nie wiem — czemś niewyraźnalem, budziły jedynie w piersi wzruszenia czyste widowiska nadziemskiego.

Andreas mówił dalej głosem spokojnym:

— Gdym tedy uczestniczył, pewnego wieczoru, w uczcie, bierny, jak należało, i gdy myśl moja rwała się ku tobie, ku drogiej twej obecności, którą oddalało odemnie jedynie pięćdziesiąt godzin jazdy kolejną; gdym szukał naprzód fortelu, który mógłby, chociażby na kilka dni, omylić straż czujną mych podwładnych, spostrzegłem obok monarchy, który mnie podejmował, dostojne oblicze Teofana; członki moje zadrżały; zachowałem właśnie tyle tylko potrzebnej zimnej krwi, by móżd-

się uklonić i odpowiedzieć na powitanie: krewny królewski przedstawił mi pod przybranem nazwiskiem tego tajemniczego człowieka, w którym złożyłem stopniowo całą moję ufność; uchodził on bowiem wtedy, w oczach wszystkich, za mniej szanownego od tego bardzo wysokiego dostojnika tybetańskiego, za jakiego mnie uważano.

— Zamieniliśmy jedynie kilka zdań urzędowych po angielsku; rzekł mi, iż podróżował po Wschodzie i interesował się wielce mądrością rzekomych mych współrodaków; podziękowałem mu w imieniu tych, którzy mi dali mandat, i zasiedliśmy do stołu królewskiego. Falszywa moja godność Wielkiego Lamy otrzymała miejsce po lewej stronie Władcy, podczas gdy naprzeciw mnie siedział Teofan przy boku Królowej. Utrzymując się w roli, w roli dosyć dziwnej, z trudności, które pokonywałem, zapominając jedynie, ile można, o nich, uzyskałem pewność, większą niż kiedykolwiek, istnienia Zasady boskiej, prowadzącej krok za krokiem człowieka ku sobie samej, zpieczęcią i czułością tak wielką, jakgdyby postępowanie nasze mogło w czemś wpłynąć na jej istotną niezmiennność. Teofan jednak patrzył na mnie, i z oczu jego płynęła moc, atmosfera fluidyczna, która rozjaśniała wszystkie me intuicje niejasne, koordynowała energie rozproszone,

i pozwalala mi odkrywać ze szczytu ducha nowy i wspanialszy horyzont.

„Nie bierz, doktorze, tego rodzaju ekstazy wewnętrznej za fascynację magnetyczną; moje ćwiczenia wyzwoliły mnie ze wszelkiej pod tym względem bierności; żadne oko, żadne światło nie zdołało i nie zdoła jeszcze spowodować spuszczenia moich oczu. Jest w Teofanie coś, co wymyka się z pod zmysłów, z pod rozumowania, z pod dociekań; coś—nie wiem... nie mogę tego wytłumaczyć, dodał, rzuciwszy na mnie szybkie spojrzenie badawcze; mnie—mam, żem przebył wszystkie piekła i wszystkie raje, jakie starożytni mędrcomie Wschodu mogli odkryć od dwóch czy trzech potopów; wygląd żadnej istoty, otoczenie żadnej mocy nie podobne są do wyglądu, do promieniowania tego, który miał, raz jeszcze, jakem to już panu opowiedział, zbawić mnie od śmierci niechybnej.

„Nie widziałem nigdy, by Teofan posługiwał się temi wybiegami, jakich rycerze polityki międzynarodowej używają z taką sztuką; ale zachowanie jego, postawa, brzmienie głosu, spojrzenie, gest, miały ruchliwość najwyższą; w jednej chwili, to głowa natchniona trybuna, to znów wygląd ojcowski pocziwego ojca rodziny, słuchającego żalów swych małych dzieci, potem uśmiech, któremu się nie

oprzesz, boga, to znów spojrzenie ostre, którego nie wytrzymasz; z przyjaciółmi, słowo jego mocne, proste, kute w bronzie dźwięcznym, w chwilę potem, w potykaniu się z półuczonym, wahania się i przyzwolenia grzeczne; na przydrożu, pociesza ze współczuciem biedaczkę, której mąż zasiedział się w szynku; w pałacu, przepowiada zimno księciu nieszczęścia, jakie nań spadną; opiera się trudom miazdzącym, bezsenności, mokołom problemów nie do rozwiązania, i skarży się na migrenę; wskrzesza umarłych, rozkazuje morzu, ziemi, siłom niewidzialnym, i powtarza, że nic nie wie i nic nie może; mówi, że nigdy nie zajrzał do książki, a wie, w jakiej pagodzie znajduje się ten lub ów rękopis, w jakiej góry zakątku puszcza pędy rzadka roślina; poucza-jący rolnika, żołnierza, dyplomatę, księdza, marynarza, sklepikarza, artystę, uczonego; dający każdemu sposobność dostrzeżenia luki technicznej, słabości jego zmysłów, braku jego gustu, bładości jego woli; bez dumy, a jednak nie widziałem nigdy, by był z nim kto poufały; bez dworowania, ale oddający każdemu względy, jakich wymaga etykieta; ale wielu możliwych świata tego uważa sobie za zaszczyt zbliżenie się do niego; słowem, zagadka, której domyślać się częściowo mogą li bardzo rzadcy edypowie.

— Wie pan, zapytałem, podczas gdy Stela krzątała się koło śniadania, co legenda głosi o Rózo-Krzyżowcach. Jeżeli dobrze pojął, to punkt końcowy ewolucji człowieka jest ten sam; czy doskonały będzie zwał się prawdziwym Rózo-Krzyżowcem, czy adeptem, czy przyjacielem Boga, czy świętym, czy nawiązanym, to rzecz małej wagi, nieprawdaż?

— Istotnie, odrzekł Andreas; uczeni — miał na myśli wyznawców okultyzmu — używają terminów identycznych do oznaczenia stanów bardzo różnych, i również terminów różnych do oznaczenia tego samego stanu. Rózo-Krzyżostwo — to jedno, a świętość — to drugie; przyjaciel Boży doszedł do rozwoju, który można dobrze scharakteryzować, adept — tak samo, i tak dalej. Ale u granicy wszystko się jednoczy, by zróżnicować się znowu, według woli Ojca, w Niebie. Tylko że to, co ja nazywam granicą, jest tak daleko, że nawet sam Gautama nie przebył setnej części przestrzeni, która nas od niej oddala.

— W takim razie, co należy, co mam robić ja, jeżeli pragnę dojść do stanu, w jakim pan jesteś, w jakim jest Teofan?

— Ależ, doktorze, zaprotestował Andreas z żywością, nie mniemaj pan, bym miał w sobie coś więcej, niż inni, ja nic nie mogę.

— Pozwoli pan jednak powiedzieć sobie, że jest pan nielogiczny; bije to w oczy, że pan możesz nieskończenie wiele tam, gdzie ja nie mogę sięgnąć.

— Powtarzam panu, doktorze, że nie jestem niczem więcej, niż wszyscy. Jestem nawet mniejszy, niż wielu innych. Ale pytanie pańskie jest nieco, by tak rzec, ciasne; bowiem, jak pan możesz wiedzieć z góry, że posiadasz to, czego potrzeba do osiągnięcia takiego, nie zaś innego stanu?

— To słusznie, zgodziłem się. Ale o cóż mam prosić?

Tu Andreas wymignął się memu natęctwu.

— Wybacz mi, doktorze, ale muszę zejść, by utoczyć wino, odrzekł tym samym tonem, jaki byłby przybrał, mówiąc o najważniejszych tajemnicach. Tej właśnie mieszaninie ciągłej powszedniości życia materialnego i wzniosłości życia duchowego, następujących po sobie bez urażania się i tworzących prostotę tak naturalną, przypisuję rodzaj czaru, jaki jego wspomnienie wywiera dziś jeszcze na mnie; uważam prostotę tę, jako znak najbardziej dowodny prawdziwej wielkości.

Kiedy powrócił, z rękoma obładowanemi butelkami, zatrzymał się przedemną, by oznajmić niemal gwałtownie:

— Wiem jedno tylko, doktorze: należy prosić, by czynić wolę Bożą, czynić, co można, więcej niż to, co można, i resztą się nie zajmować.

XXVIII

I udał się do kuchni, by złożyć tam swój ładunek; potem napompował wody, owinął butelki płótnem zmoczonem, by wino się oświeżyło, i powrócił prosić mnie do stołu.

Stella знаła się wybornie na kuchni; wyznawała zasadę, że trzeba się odżywiać według trybu kraju, w którym się mieszka; a ponieważ tego dnia było bardzo gorąco, przyprawiała jedzenie mocnemi korzeniami, zwłaszcza imbirem; nie dała mi pić nic innego prócz wody, podczas śniadania, i odrobiny lekkiej wódki wonnej, którą przygotowała sama; i dogadzali mi oboje na wyścigi, jak rekonwalescentowi; dałem się powodować, bowiem kuchnia była wyborna. Moi gospodarstwo jedli, zresztą, bardzo niewiele.

Gdy komplementowałem Stellę: — To Andreas, odrzekła z uśmiechem, nauczył mnie tych przepisów; przez pewien czas, to on gotował, a ja musiałam pochłaniać potrawy nadzwyczajne; ale, wierzaj mi pan, najlepiej jedzą w Indjach północnych; miałeś pan dziś próbkę tego.

Nie traćm jednak z uwagi tego, co mnie prawdziwie obchodziło, i od czasu do czasu rzucałem pytanie rozsądne.

— Co pan nazywasz granicą? Czy to Tao Lao-Tsa? Czy Parabrahm, En-Sof, Nirwana?

— Wszystko to, odrzekł, są słowa. Zgorszysz się pan, gdy mu oznajmię me zdanie.

— Będę się starał zrozumieć pana, odrzekłem.

— Otóż! Uważam, że mózg najrozleglejszy na ziemi może odbić obraz jedynie nie-skończenie małego ułamku Kosmosu. Uważam, że inteligencya posiada życie, lecz że nie jest ona Życiem; że jeżeli uprawia się ją wyłączenie, pracuje się nad odbiciem, podczas gdy my mamy w sobie Rzeczywistość; jest nią serce.

— Oho, pomyślałem; mistycyzm, bhakti...

— To, co nazywam sercem, ciągnął dalej, rzuciwszy mi przenikliwe spojrzenie, to nie uczuciowość kontemplacyjna mniszki zza kraty klasztornej; owszem, i to też, lecz zarazem i wszystkie uczucia, wszystkie miłości, wszystkie nienawiści, wszystkie radości, wszystkie bólesci, śmiechy, łzy, melancholie, natężenie mięskulów dla wysiłku, wzruszenia młodości, ambicye wieku dojrzalego; to całe całkowite życie wreszcie, którem trzeba żyć; oczyszczając nasze ciało astralne, to brać zimne natryski,

by zdobyć władze magiczne; to akt, który należy oczyścić, podnieść, jednym uczynić. Takim jest prawdziwe Naśladowanie Słowa.

— Ach, zawołałem, rozumiem, dla czego Julian de Campis poucza, że ten, kto praktykuje pierwszą księgę Naśladowania Jezusa Chrystusa, jest już więcej, niż w polowie Różo-Krzyżowcem. Dotychczas widziałem tam tylko zwykłą religijność bez głębi.

— Człowiek ten miał ogromną rację, rzekł Andreas.

— Tak tedy, słowa Ewangelii mają być brane literalnie i absolutnie? Jeżeli się żyje dobrze, to „reszta“, którą Niebo obiecuje nam, jako „przydane“, obejmuje wszystko: nauki, władze, zdolności transcendentne!

— Tak jest właśnie, odrzekł Andreas, podsuwając ku mnie pudełko z tytoniem; czytaj pan Ewangelię z największą prostotą, z całą niewinnością; powoli, to, co się zdaje panu bez smaku, stanie się smakowitem; prawo jest proste... rób, dziecię, co każą... Służyć — to pańska dewiza... ten, kto służy ludziom, będzie kiedyś obsługiwany przez aniołów, mówił, okrywając się obłokiem dymu.

Frazesy puste, pomyśli ktoś; być może. Słowa te są, istotnie, zimne i puste na papierze; lecz gdy się obły o uszy moje, jakże były żywe, drgające, budzące uśpione echa

dalekie! Jakże mi żal tych jasnych chwil poobiednich, w małym tym domku malowniczym, pokoju tej prawie pustki, przerywanej jedynie krzykami dzieci, turkotem rzadkich pojazdów, zjawianiem się tej mocnej jego sylwety, o rysach pełnych poczciwości serdecznej; widoku tej twarzy, prostaczej a królewskiej; a Stella uwijająca się, żywa i wesoła, z oczyma pełnemi zorzy!... Melancholijne lato moje dostrajało się tak snadnie do ich wspaniałej jesieni! Teraz przyszła już zima dla mnie, pozostaje mi wspomnienie, które mi daje siłę, jak ich obecność niegdyś dawała mi światło, daje mi je i dziś jeszcze, odnawiając się wśród ciszy nocnej.

— Tak tedy, Mistrzu, podjąłem po chwili milczenia, mogę porzucić spekulacye, podjąć walkę z żądzą wiedzy, z zapalem czynienia według tego ideału ezoterycznego, jak mówią księgi, który Mag sprawuje, podług woli jasnej, którą osiągnął.

— Książki! ozwał się Andreas, podczas gdy Stella uśmiechała się z pewną pobłażliwością; spytaj ją pan o zdanie; przeczytała ona wszystkie, dotyczące tradycyi zachodniej, i niemieckie, angielskie, łacińskie, francuskie; ja też przewertowałem niemało innych. Kto chce trwać przy nich, niechaj trwa; lecz kto chce spełnić prawdziwe swe przeznaczenie,

nawet z ujmą dla tych pragnień pozornie najszlachetniejszych, niech się trzyma Księgi jedynej, Życia, które wre bujnie dokoła niego, i w którego płataninę danem mu będzie, w swym czasie, wprowadzić nieco ładu.

— A zaiste, trudniej jest żyć całkiem rzetelnie, niż, w oderwaniu się dniami i nocami od wszelkiego istnienia, ślęczyć nad tekstami jałowemi, zdala od wszystkich próżności świata, od wszystkich przyjemności fałszywych, za którymi upędza się tłum?

— Przekonasz się, doktorze, gdy spróbujesz, odrzekł Andreas. Czyny najnieznaczniejsze mogą mieć wielki wpływ na pańską przyszłość i tych, co pana otaczają. Filozofowie wasi rozprawiali o ziarnku piasku Cromwella, ale nie domyślili się, że wiele rządów stworzeń niematerialnych związanych jest z człowiekiem; dowiedziałeś się pan prawdopodobnie czegoś o tem z *De revolutionibus animarum* Loriah'a.

— Tak jest, odrzekłem, czytałem tę księgę w Rozenrocie.

— A więc! wszystko ma swe znaczenie. Małżeństwo, na przykład, które siłą się zniszczyć dzisiaj wszelkimi sposobami, ma odbicie bardzo dalekie na przyszłość małżonków, i wykreślone jest przez przyczyny nie mniej głębokie. Ale należy pojąć, że dociekanie tej

przeszłości i tej przyszłości jest próżnem dla nas; teraźniejszość — oto nasza dziedzina; dociekać ponadto i pozatem byłoby dzieciństwem. Nie powiadam, żeby ci, co dociekają, nie mieli słuszności; wszelkie dociekanie jest użytecznem. Ale pan, doktorze, który chcesz woli Nieba; ale ja, który jestem nieukiem, my winniśmy zadowolić się nauką, we wszystkich okolicznościach — zrozum pan to dobrze — zapominania o sobie zawsze i wszędy dla dobra ianych. Miłość tedy pomiędzy mężczyzną i kobietą jest tylko szkołą wstępną miłości dusz dla dusz; gdy ta ostatnia rozplonie, kochankowie mogą być rozłączeni całą przestrzenią Zodyaku: czują zarówno swą obecność wzajemną, i chór modlitw ich jednym polotem wstępuje ku Ojcu, Synowi i Duchowi.

Ponieważ wstał, wygłaszając to ostatnie zdanie, więc i ja powstałem, ażeby się pożegnać.

XXIX

Chodziliśmy oglądać, Andreas i ja, zbiór papyrusów, świeżo zgromadzony w Luwrze; i wracaliśmy obaj ku Monmartre'owi. Padał deszcz. Plac Opery, a zwłaszcza plac Hawrski, były podobne ze swemi rozkopaliskami, ze swemi kałużami, ogrodzeniami, do szanca zbombardo-

wanego. Omnibusy, autobusy, tramwaje i drożki, łącząc swe trąbki, syreny i dzwonki, tworzyły hałas najbardziej ogłuszający. Pośród kałuż lampy elektryczne ślepiły wzrok; tłum gromadami zwartemi biegł od ciemności do światła, wsiadając do pociągów podmiejskich. Dyabli widocznie wściekający się gnali tych ludzi, wyrzucając ich poza magazyny, biura, pracownie, by wrzucić znowu do innych łaźni. Większość tych ludzi, pieszo chodzących, była milcząca; inni paplali z pośpiechem, wygłaszając, zdaniem krótkimi i ucinanemi, rzeczy bezużyteczne lub gburne, jakgdyby, dla wszystkich, mogła nie była tuż bliska.

— A jednak, począł Andreas, który jakgdyby czytał w mych uczuciach, dobrem jest dla nich, że tutaj są i że się tak miotają; tak jest, to stanowi o ich posuwaniu się naprzód...

— Myślałem również, odrzekłem, o innym zamęcie, bliższym trosk moich. Ze wszech stron podejmują próby pogodzenia różnych spirytualizmów; szukają punktów wspólnych dla Yogi, Kabały, Gnozy, Buddyzmu, Taoizmu, Pytagoreizmu, Katolicyzmu, Hermetyzmu, dla wszystkich panteizmów i wszystkich humanizmów, analizują, zbliżają...

— I, przerwał Andreas z uśmiechem, pragnąc pobudować pomnik, skończą na pobieleniu starych rzeczy.

— W obawie właśnie tego, szukam wskazówek, albo kierownictwa.

— A więc mów tedy.

— W ostatnim oto półmiesiącu, ciągnąłem dalej, czytałem książki Tołstoja, Filaleta, przewodników różnych szkół neo-spirytualistycznych, spirytystów, psychistów, neo-katolików, protestantów wolnomysłnych, katolików mających się za prawowiernych, poszukiwaczy, którzy mniemają o sobie, że doszli do wtajemniczeń; wierzę oczywiście, że wszyscy ci uczeni są szczerzy i przeświadczeni; zdala jestem od podejrzeń, by byli oni dobrowolnie agentami tajemnej dyplomacyi; ale, co bądź by rzekli, widzę, że większość z nich jest anty-chrześcijańska, powiedziałbym: anty-chrystusowa, gdyby wyraz ten nie trącił nieco średnio-wieczem.

— Nie całkiem jesteś w błędzie, odrzekł Andreas.

— Oto pani Bławatska posługuje się zgodnościami astronomicznymi, jakę się postrzega w żywotach założycieli religii. To, że Jan Chrzciciel urodził się podczas przesilenia letniego, i Chrystus podczas przesilenia zimowego, że zmartwychwstał na porównaniu wiosennem, głosili już Dupuis, Ragon, Vaillant i wielu innych, i zebrali cechy analogiczne dla Lao-Tsa, Kriszny, Buddy, Pytagorasa, Platona

i wielu innych; dzieworództwo, kuszenia, cierpienia, utożsamianie się z Absolutem, męka: wszystko tu jest.

— Czegoż to dowodzi? przerwał Andreas; czy nie widzisz, że jest to argumentacya materialisty chcieć wyprowadzić podobieństwo duchowe z podobieństwa materialnego?

— Wszelako, nauki wróżebne?..

— Nauki wróżebne idą od fizyczności do umysłowości, lecz nie do duchowości. Ztąd, że krew, limfa i refleksy są te same u psa i u człowieka, czyż wyprowadzisz, że dwa te twory mają tę samą inteligencyę i tę samą duszę?

— Wiem o tem, że Chrystus jest jedyny, że jest różny od swych poprzedników i od swych następców w historii mesyanizmu powszechnego; wiem, że w Nim ciało fluidyczne, astral, gdy kto chce, ciało myślowe, były organizmami czystymi i świętymi, mądrymi i potężnymi, jak organizmy najwyższych adeptów; ale wiem zarazem, że *ja* Jego, Jego indywidualność była aktem specjalnym, wolą szczególną Absolutu. W człowieku zwykłym, *ja* jest ogniskiem mieszaniny, nie jest zasadą prostą; jest to ośrodek złożony, w którego łonie drzemie światło boskie duszy. W Chrystusie, to właśnie światło boskie, zbudzone, doskonałe, jaśniejące, jest Jego *ja*, Jego

wolą. Jest On rzeczywiście Synem Boga. Inni zbawcy byli tylko ludźmi, ale wierzę, że niektórzy z nich byli natchnieni od Boga, co pewien czas, i wierzę zwłaszcza, że mogli, że mogą pomagać swym wiernym, pod tym prostym, ale niezbędnym warunkiem, iż ci poczną sprawować nakaz podstawowy: miłosierdzie.

— Tak jest; widzę teraz, rzekł Andreas, co napisali ci uczeni, o których mi mówiłeś przed chwilą; nie mogą oni postępować inaczej; ale to lepiej, — lub mniej źle dla nich, — aby doszli aż do kresu swej linii myśli obecnej.

Nie nie odpowiedziałem, bowiem nie pierwszy to raz widziałem, że Andreas nie spieszy się z nawracaniem ludzi na swe zdanie. Tak ciągnął dalej:

— Nie, Przyjaciel nasz nie rzekł: „Mój Ojciec niebieski i ja (moje *ego* wcielone) jesteśmy tem samem“. Gdyby istota Jego widzialna była Ojcem, ani ludzie, ani planeta nie mogliby! znieść Jego blasku olśniewającego. Rzekł On prościej i dokładniej: „Ja i mój Ojciec, jesteśmy Jedno“: też esencja i nie ta sama substancja.

Nie rzekł On tem bardziej: „Mój Ojciec, ja, wy, moi uczniowie, wtajemniczeni w moją naukę, jesteśmy jednym i pochłonięci w Jedność“, ale rzekł: „niech będą jednym, jak my jesteśmy jednym; jak ty jesteś we mnie, i ja

jestem w tobie, niech oni będą jednym w nas. Bowiem ci uczniowie znają naukę wewnętrzną i pewną, wiedzą, żem wyszedł od Ciebie“.

Zapytałem:

— Chrystus rzekł: „Mój Ojciec większy odemnie“ i indziej: „Mój Ojciec i ja jesteśmy jedno“.

— Nie masz sprzeczności, jeżeli się trzymasz stanu myślowego prostego; to właśnie w tobie jest sprzeczność, jaką mniemasz, że postrzegasz w tym tekście; czasami mówi to Bóg i czasami człowiek; w Ewangelii nie może być powiedzianem wszystko; zresztą, nie zrozumianoby; lub, gdy wolisz, wszystko tam powiedziane, lecz człowiek nie rozumie; i nie możebna wytłomaczyć mu tego, o czym nie posiada w sobie intuicji ukrytej; potrzeba czasu.

— Prawda to, ciągnąłem dalej, iż jest ekonomia Objawienia; i prawda, że inteligencja ludzka urasta; ale pomiędzy modernizmem i dogmatem prawowiernym zali tylko różnica wtajemniczenia? Boskość Jezusa jest rzeczą nie do pojęcia, jest ona ponad inteligencją, jest zjawem, stanem bytu, który miał miejsce poza stworzonym, poza względnym; podczas gdy intelekt nasz może funkcjonować jedynie wewnątrz tych sfer ostatnich. Było, w kościele pierwotnym, zastrzeżenie co do pewnych dogmatów, wtajemniczenia, gdy kto chce tak na-

zywać; ale to nie słowo kapłańskie dawało to Światło neoficie. Bóg tylko jeden ma własność i moc, by dać się poznać temu, kogo uważa za godnego.

— Tak jest, jest słusznem, co mówisz, mój doktorze; ale, nikt, rozumiesz to, nikt nigdy nie widział Boga duchem: jakżeż można rozprawiać o nim naukowo?

Oczywistem jest, że braterstwo, obowiązek cnoty, istnienie Boskości, nieśmiertelność ludzka są przez wszystkich przyjęte.

Ale gdy jakaś szkoła odrzuca modlitwę, bądź dla tego, iż nie masz dla niej Boga, bądź iż to według niej jest niegodnem człowieka, bądź iż Absolut nie zmieni się dla naszej przyjemności, nie ma ona tedy słuszności. Bóg jest; człowiek jest nadto nisko, by nie miał mieć wstydu za swe małoduszności; było by lepiej oczywiście, by nie prosił dla siebie nigdy o nic materialnego, ale gdzie jest ten, kto ma wiarę? Będziesz go szukał na próżno. A wreszcie Absolut, chociaż tak razi naszą logikę ludzką, zmienia swe plany i swe założenia, gdy to sprawia przyjemność któremu z jego grzecznych dzieci; to nie nowy projekt kłopotuje go, ani to, by coś nowego wyszło z jego skarbcza; wiesz to, iż ma on zasoby nieskończone. Modlitwa była zawsze tylko antypodem ćwiczeń Radży-Yogi: jest wiele

rodzajów ekstaz, znacznie więcej, niż wiedzą o nich „adepci“.

— Wobec tego, rzekłem, gdy, jak to powtarza jeden z wybitnych spirytystów, Paweł z Samosaty przeczy formalnie boskości Chrystusa, gdy Aryusz w 325 r., gdy sobór Medyolański w 355 r., gdy sobór Smyrnański w 357, gdy wtóry Sobór Ancyński w 358, uczą tej samej tezy, gdy, w 349, Sobór Antyochyjski wygłasza tę boskość, a, w 380, sobór w Saragocie utrzymuje, że natura ludzka Jezusa jest tylko złudzeniem, gdy sobór Efezki przypuszcza dwie natury, wszystko to dowodzi poprostu, że Światło umysłowe opuszcza ludzi, którzy nie pielęgnują już w sobie Światła moralnego. Można tu powtórzyć za filozofem katolickim współczesnym zdanie Św. Augustyna do manichejczyków: „Niechaj się obchodzą surowo z wami ci, którzy nie wiedzą, jak trudno znaleźć prawdę i uniknąć błędu“.

— Tak jest, są to piękne słowa, odrzekł Andreas, wstrząsając głową; zanadto się spieszysz, mój doktorze; masz dosyć czasu przed sobą.

— Nie należy jednak tracić tego czasu?

— No, tak, ale to nie w ten sposób, rzekł z uśmiechem serdecznym. Dochodzić, czy Bóg jest osobowy, czy nieosobowy? My nie rozumiemy nawet, jakim sposobem kamień może

mieć lub nie mieć wolnej woli; jeżeli szkoła wschodnia powiada, że Bóg nie jest antropomorficzny, zgoda na to; ale gdy powiada, że absolut jest istnością oderwaną, pustą i bezkształtną, — nie! bowiem wtedy oznacza ona Nicość; nie wiedząc nawet, co to jest względność, cóż możemy mówić o stosunkach jej z absolutem? co możemy powiedzieć o tym absolutnie samym? Nie wynosimy się w górę; uniżmy się, uznajmy, że jesteśmy bardzo czemś biednym i małym; wtedy przyjdą światła tego niepoznawalnego Ducha czystego.

— Wszak prawda, zapytałem, że Trójca chrześcijańska to nie Trimurti Kriszny, ani Sat-Czit-Ananda Upaniszad? Ich Atma — to nie Logos platońskie?

— Nie, ale to tak mało ważne; kiedyś był mały, czy matce twej chodziło o twe wyobrażenia astronomiczne, czy o twe posłuszeństwo?

I przerzucając się z myśli na myśl, jak na to pozwalała mu cudowna rącość jego inteligencji, Andreas ciągnął dalej.

— Partenogeneza takich ludzi niezwykłych, zwłaszcza Chrystusa, nie jest symbolem; jest ona rzeczywistością; jest nawet koniecznością fizyologiczną, którą motywuje niezwykle natężenie prac, jakie mają oni do wykonania... Gnostycy mylili się, przedsta-

wiając Ducha Świętego pod obrazem niewiasty; Duch Święty jest tą z trzech osób, która pozostanie najgłębiej niepoznana... Nie, Bóg nie wciela się we wszystkich religiach; starzy Brahmanowie wiedzieli o tem snadnie; dosyć jest przeczytać ich teorię Awatarów. Mówię ci to wszystko, gdyż może to kiedy przyda ci się na coś, ale są to rzeczy, wymagające całych wieków studyów, by coś tam skutecznie wydobyć.

Wielu hierofantom społecznym, acz bogatym w intuicję cenne, brak zmysłu praktycznego; wskrzeszanie kultów zanikłych, ożywianie dogmatów skamieniałych, przystrajanie w sposób hebrajski, grecki, sanskrycki lub chiński teoryj samoubóstwiania się, są to ułudy szanowne synów zbożnych, prawości wzruszające erudyty, zbłąkanych w marzeniu; ale tworzą one również, trzeba to głośno powiedzieć, ciemne podmurowania podziemne przyszłej religii, spajane łzami, potem i krwią. Pionierzy ci, nie przyjmujący ani nauki pozytywnej, ni wiary kościelnej, starzeją się nad hieroglifami metafizycznymi, nad widmami, newrozami; szczęśliwi, gdy, po dwudziestu czy czterdziestu latach studyów, postrzegą się, że symbole, arkana i obrzędy odgrzebane są zasłonami aksyonatów zdrowego zmysłu, zdrowego rozumu; zaś prości czują to instynkto-

wnie, bowiem serce człowieka jest arką, gdzie płonie to Światło wieczyste, którego cieniem skażonym zbyt często są wielkie Arkana okultyzmu.

Człowiek współczesny jest źle zrównoważony; Przyroda tak rzadko zdradza arcydzieła. Płoną w nas ognie strawiające, i bogowie pieniądza, sławy, nauki czy sztuki szarpią swych biednych wyznawców i wytrącają ich z toru. Oto dlaczego lekarz, na przykład, znajduje tyle psychopatji u spirytualistów, u mistyków, w tłumie wierzących i w pseudo-przewodnikach tego tłumu.

Badacz hyperfizycznego może pozostać zimnym, ale uczuciowicie, ten, który całem swem sercem, niespokojnem i zboliałem, rzuca się ku Tajemnicy, pragnąc dotknąć to, co niedotykalne i przemawiać do mieszkańców piekieł i rajów, ten, jednym słowem, który uważa, jako rzeczy obiektywne, wszystkie zjawiska tajemne, ten ma tysiąc sposobności do zatonięcia w jakiejś historii, w manii, w pomieszanii zmysłów częściowem, w pysze, również naiwnej, jak nadmiernej. Tem nie mniej, wszyscy są oni torującymi drogę; nie należy gardzić nimi, ani się z nich naśmiewać. Wszelako, mój doktorze, nie podnoś zbyt swych obaw. Gdy powiesz pewnemu panu, wielkiemu założycielowi towarzystw, iż jest on zwykłym

pyszałkiem: czy uczynisz coś ponadto, jeżeli to jest słusznem, że go dotkniesz? Czy zmienisz jego serce? Spójrz w siebie, obaczysz, że nie. A więc pozostaw wtajemniczonych, ezoterystów, miłośników ekstaz i filozofujących o kwintesencyach. Nie wyzywaj ich. Słuchaj ich, gdy chcą ci wykladać swe teorye; zatrzymuj ich jedynie, gdy widocznie zmierzają ku złemu; staraj się otrzymać od nich poprawę praktyczną, w czynach i myślach. Będzie to już nader pięknym czynem.

W ten oto sposób me porywy ideologa otrzymały, pod deszczem przenikającym, jeszcze jedną kąpiel.

XXX

Na następnej mej wizycie zastałem Andreeasa przy malowaniu garnka w stylu norweskim, według ówczesnego gustu. Podczas gdy wyprowadzał misternie listki, poprosiłem go o niektóre wyjaśnienia co do modlitwy, aktu, do którego zdawał się przywiązywać wielką wagę.

— Widać, że na pańską głowę nie spadło jeszcze nigdy nic wielkiego, odrzekł mi z uśmiechem. Kabała pańska umieszcza na czele swych nauczai aksjomat, który pan czytałeś prawdopodobnie nie raz nie zwraca-

jąc na niego uwagi: „wszystko jest istotą żyjącą”, rzekł gdzieś tam Symeon-ben-Jochai.

Potwierdziłem ruchem głowy.

— Otóż, szczęście, czy kłopot, to, w pewnym świecie, istota, posiadająca formę, inteligencję, wolność. Gdy tedy *ja* pańskie fizyczne jest ograniczone, pańskie *ja* astralne, *ja* moralne i tak dalej są również ograniczone; jeżeli orangutang jest siedem razy mocniejszy od człowieka, dlaczegożby siły niewidzialne nie miały być silniejsze od sił wewnętrznych, które się obejmują mianem woli? Gdy jeden z tych kolosów chwyci pana za kark i potrząśnie, jak pan to czynisz z królikiem, cóż panu pozostaje innego, jak wołać o pomoc? Tem oto jest modlitwa. Gdy napadną na pana w lesie, i gdy zaskarbiłeś pan miłość swoich służebników, obronią oni pana. Tak samo trzeba skarbić miłość służebników Nieba, t. j. czynić wolę Ojca; wtedy modlitwa będzie wysłuchaną.

— Siła jednak moralna człowieka jest nieograniczona, rzekłem.

— Tak, jeżeli mu się ją pozostawia; ale jeżeli mu się ją zabiera? Mniemasz li, wypadkiem, doktorze, że najdrobniejszy z atomów pańskiej indywidualności jest twoim, należy do ciebie? Pozbądź się tego błędu; całe *ja* pańskie jest pożyczką, udzieloną pańskiej du-

szy. I wierzaj mi, dodał, gdy Stella wróciła, żeby się koło nas, jedna jest tylko rzecz, przez którą człowiek może zwyciężyć świat...

— Nie mów tego, zawołała Stella; pójdę i przyniosę mu list, o którym wiesz; i pobiegła na górę do pokoju, potem wróciła i podała mi papier chiński, starannie przechowywany w teczce skórzanej.

— Czytaj pan, rzekła poważnie.

Papier zawierał kilkanaście wierszy po francusku, skreślonych pismem pośpiesznym, podobnem do pisma Napoleona I-go, choć jeszcze energiczniejszym. Opanowało mnie wzruszenie bez powodu, gdym odcyfrowywał powoli te hieroglify; oto jest tekst ich:

„Dziecko moje, nie należy się zniechęcać, jak ty to czynisz; masz w sobie siłę wieczystą, przez którą istnieją armie kosmiczne. Jest nią miłość. Ona to jest ojcem tego, co nazywamy czasem, dobrem, złem, przyjemnością, boleścią. Własność jej wszechmocna przeobraża dusze. Jest ona Mistrzem najwyższym, od którego otrzymujemy wszystkie nauki; jest ona hasłem, usuwającym strażników wszystkich świątyń, jest ona mieczem, którego jeden widok przepędza wrogów. Nie zna ona przeszkód zła; widzi w niem tylko słabość; zapomina o przeszłości; przyszłość nie niepokoi jej; zna tylko teraźniejszość; wylewa bez rachunku

wszystko swe bogactwo na każdą chwilę tej teraźniejszości; jest ona feniksem, ofiarowującym się bez przerwy i otrzymującym po każdej ofierze skarb niezliczony nadziei i światła. Idź tedy dalej swą drogą, Stello, i nie miej lęku. Jeżeli pięćdziesiąt razy zrobiła tę samą ofiarę, bądź gotową zrobić ją jeszcze pięćdziesiąt razy, gdy tego zażądają od ciebie“.

Podpis był rodzajem wykretasów pióra nieczytelnych, ale byłem pewien, że papier ten pochodzi od Teofana.

— List ten, rzekła mi Stella po długim milczeniu, otrzymałam za pośrednictwem ambasady chińskiej. Przybył on wraz z innem pismem pod adresem pełnomocnika, z poleceniem doręczenia mi tego papieru, opatrzonego pieczęcią cesarską, smokiem o pięciu pazurach. Na szczęście, jeden z attachés ambasady, który był mym sąsiadem w Neuilly, gdzie wtedy mieszkalam,—o, to już dawno, dodała, jakgdyby tłumacząc się z tego — znał mnie i przyniósł mi z wielu ukłonami kopertę, którą Syn Nieba trzymał napewno w ręku.

Z jakiego tytułu Teofan miał dostęp do tego cesarza, którego chroni ceremoniał najbardziej nieprzełomny, nie mogłem nigdy przeniknąć.

Oglądaliśmy w milczeniu złotego smoka z pięciu pazurami.

— Czy nie uważasz pan, poczęła Stella, że słowa tego... człowieka mają w sobie, po tylu latach, jakąś — nie wiem — własność, która, jak powiew, nasycony woniami leśnemi, powraca nową nadzieję i przecucie Raju nieznanego?

— Kim jest Teofan, kto on, czem on?

— Ależ, doktorze, czy sądzisz, że, wiedząc to, powiedziałbym ci? Sądzisz li, że, gdy on zechce, nie powie ci tego? Czyś myślał kiedy poważnie o dyscyplinie prawdziwej rzeczywistych tajemnic?

— Wreszcie Chrystus rzekł przecie: „Oto jestem z Wami codziennie aż do końca?“

— Tak jest, rzekł to apostołom.

— Wszystko jest możebnem dla Boga! Pewne sekty oznajmiły powrót Chrystusa; wiem, że ich Chrystus fałszywy; ale idea słuszna.

— O, tak, mój doktorze, idea jest słuszna; przed dwoma tysiącami lat żył człowiek w pewnym domu; załatwiał on swe sprawy, jak ludzie dzisiejsi, zaś wieczorem rozmawiał z innymi na placu, jak my dziś w kawiarni. Gdyby żył on obecnie, nosiłby garnitur zamiast tuniki, i tak dalej. Trzeba, byś przywykł do tych idei, by stała ci się jaśniejszą obecność możliwa Przyjaciela.

— Lecz gdybyś wiedział pan, że na tej a tej

ulicy, pod tym a tym numerem, mieszka osobistość, która jest... nie, nie śmiem dokończyć.

— Widzisz, widzisz to przecie, że trzeba czasami milczeć. Powiedzieć to byłoby straszkiem. A jednak rozważaj nad naturą ludzką i naturą boską, nad wiedzą przyrodzoną, nad wiedzą doświadczalną; rozbieraj Tomasza z Akwinu, odczytaj Jezuitów teologów Serca Jezusowego; dojdziez tam zawsze do tego: Nie niemasz niemożliwego dla Boga!

— Tak jest, rozumiem, że należy milczeć. Zresztą, zdaje mi się, że zwykłe obcowanie poufne duszy z Bogiem jest tak poważnem, tak świętem, że, gdyby ta łaska przypadła mi w udziale, nie śmiałbym nigdy mówić o niej.

— Wreszcie, pamiętaj sobie jeszcze i to, żeśmy zostali ostrzeżeni: „Jeżeli wam rzekną że Chrystus jest tu albo tam, nie chodźcie”. — Oto jest wszystko, rzekł po kilku chwilach milczenia, o czem, mniemam, możemy pana powiadomić w sprawie Teofana. Reszta zależy od pana. Gdy złożysz pan dowód swej dobrej woli, gdy nie będziesz lękał się pójść drogą jego kraju, spotkasz go. Ujrzysz go, być może, na ulicy, albo u siebie w domu, albo u możliwych ludzi, albo w nędznej izbie, albo w innej przestrzeni; ale przyjdzie on do pana na pewno, jeżeli wykazesz się pokorą i miłosier-

dziem, które są cechą dzieci Światła... Nie znasz pan go, lecz on zna pana; nie wiesz pan, kim jest on, ale on wie, zkąd pan przyszedłeś i dokąd idziesz. Pomnij pan zresztą, że lekarz jest tam, gdzie chorzy, nie zaś tam, gdzie zdrowi.

— I pan go widziałeś tylko pięć razy przez całe życie, zapytałem, tracąc nieco z otuchy; bowiem jeżeli człowiek nauki, energii i dobroci Andreasa otrzymał tak rzadkie tylko wynagrodzenia, to czegoż ja się mogłem spodziewać ze swą wolą chwiejną i z brakiem odwagi?

— Raz go widzieliśmy oboje razem, odrzekł Andreas, i prawdopodobnie odwiedzi nas po raz ostatni, zanim opuścimy tę ziemię.

— Sądzisz pan tedy, że musisz umrzeć? zapytałem bardzo zdumiony; czytania bowiem moje pouczyły mnie, że człowiek, który doszedł do stopnia wiedzy i mocy, na którym stał, według mego zdania, Andreas, winien móżdż przedłużyć swe istnienie ziemskie, o ile mu się podoba.

— Legendy o eliksirze długiego życia mają część prawdy, rzekł mi Andreas; byli ludzie, i są jeszcze niektórzy, żyjący na tej ziemi od wieków; znasz ich pan nawet, ale ja nie powiem panu ich nazwisk, byś pan nie miał pokusy do sądzenia ich.

— Czynią źle tedy?

To nie powinno mieć miejsca, odrzekł. Gdy człowiek tu się rodzi, los jego jest ustalony; jeżeli pogwałca normę, jakkolwiek czyste byłyby jego intencje, przekracza swe prawa; i nie może tego czynić bez raptu bezprawnego pewnych sił, bez pogwałcenia pewnych istot, bez zamętu i cierpienia wszystkiego dookoła siebie.

— Lepiej jest tedy poddać się ze wszystkim i dla wszystkiego?

— Tak jest, doktorze; trzeba nauczyć się być posłusznym, zanim chcieć rozkazywać.

Godzina posuwała się; pożegnałem moich gospodarstwa, acz wielce tego żałując; zapas mój idei nowych był wszelako dosyć obszerny, i miałem podczas miesięcy, które nastąpiły, wiele sposobności do czerpania z niego.

XXXI

Była kometa w tym czasie, której ukazanie się było zapowiedziane; wszyscy chcieli oglądać ją; i ja skorzystałem z tego pretekstu, by wyciągnąć Andreasa na jedną z tych przechadzek nocnych, które zresztą zdawał się lubić tak samo, jak ja. Kolej elektryczna Inwalidów wysadziła nas pewnej nocy w Val Fleury. Ztamtąd, ścieżki leśne wyprowadziły nas na równinę Villacoublay, gdzie firmament był

prawie cały widzialny; mogliśmy obserwować do woli gwiazdę z warkoczem.

Piękność nocy skusiła nas; zesłiśmy ku lasowi ciemnemu i szumiącemu, gawędząc o tem i o owem.

Jakiż pokój po wyjściu z miasta gorączkowego; jaka świeżość w powietrzu pachnącem; piękność przyrody pozostawała pogodną w swej rozmaitości, czy kiedyśmy szli wzdłuż małych stawów czystych, czy kiedyśmy usuwali gałęzie gąszczów, gdzie szmery zwierzątek nocnych odbijały się w ciszy, — lub czy też, kiedy, po wydostaniu się na równinę Villacoublay, księżyc ukazał nam wysokie dachy i wieżyczki starej, pięciowiekowej fermy.

Od czasu do czasu poszczekiwały psy, zdala, w leśniczówkach; na skraju dróg zatrzymaliśmy się chwilę, patrząc na narady królików, podczas gdy Andreas robił, głosem głuchym, uwagi swe co do zwyczajów zwierząt i roślin. Opisał mi szlachetną bylicę w kępach, która się odżywia kamykami i odpadkami, i pokorny pobiał, który znaczy zmiany hygrometryczne, i dumne ziele świętojańskie, przygotowujące na now kłos swego kwiatu wonnego, pomocnego na choroby piersiowe, i tyle innych dziesiątkami, ludek spokojny, tłum pstry, a jednak harmonijny, miły i swojski, jak przeczeczna łagodna nieba Ile-de-France, którą Corot

tak pięknie odtworzył. Andreas zwracał również całą uwagę na szmery pól, strumyka, i ostępów leśnych, na skowyt niespokojny lisa, który musiał się bać bardzo, że mu tak psuto jego polowanie, na tarcie się pochewek skrzydłowych owadów, na uderzenia skrzydeł.

Pozostawiwszy po lewej stronie Chêne-Sanglant i obwód En-Haut, wydostaliśmy się na wzgórek piaszczysty, gdzie żłobiły się nory borsucze pomiędzy krzakami, osikami i młodemi pędami. Pejzaż o magicznej pogodności roztaczał się u naszych stóp. Wzgórze zstępowało stromą pochyłością aż do sadzawki Sarcelles, która słała nam swoją świeżość; niziny Velisy ciągnęły się, usiane domkami, aż do dwóch linii kolei żelaznej; a tam dalej, wznosiły się wręby leśne Viroflay i Ville d'Avray, i lasy Fausses-Reposes. W ciszy wielkiej księżycowej kąpały się profile stylizowane blizkich pagórków, i gwiazdy miryadami ożywiały niebiosą nieruchome.

Zasiedliśmy do palenia, jak Sachemowie, ku wielkiej rozpaczy bez wątpienia borsuków i kun, których powrót mąciliśmy napewno. Zaś Andreas mówił głosem tym bez dźwięku i brzmienia, jaki umiał przybierać, gdy nie chciał, by ktoś trzeci go słyszał. Na me pytanie, co skłania go do takiej przezorności, odrzekł mi raz:

— Pole ma oczy, i las ma uszy.

— Wszystkie te gwiazdy, rzekłem, po co? Jak?

— Po co, odrzekł Andreas; jest tajemnicą Ojca, i prawdopodobnie powie nam ją kiedyś, gdy będziemy gotowi, by wejść do Jego domu. Jak? Wszystkie części Stworzenia podobne są do siebie i odtwarzają się jedne w drugich; my tylko nie postrzegamy, patrząc na nie, całej ciągłości; widzimy tylko odłamki nie uszykowane; szczerby te mają rację, i odpowiadają innym szczerbom w naszej zdolności poznawczej. Tak więc na tej ziemi postrzegamy ludzi pod postacią indywiduów, i minerały pod postacią masy; wzniesmy ku niebu wewnętrznemu oczy naszego ducha, ujrzymy ludzi, jak zespół zwarty; wzniesmy ku firmamentowi oczy naszego ciała, i niezmienna armia gwiazd ukaże nam, w powiększeniu bez miary, toż widowisko, jakie zachodzi w molekule. Batalia rytmiczna elektronów, jonów, magnetonów nie jest niczem innym, jak astronomią nieskończenie małą.

— Tym sposobem, rzekłem, chcesz mi pan ułatwić ujęcie nowego punktu widzenia greckiego aksjomatu hermetycznego: Wszystko jest we wszystkim. Jeśli to dobrze pojmuję, ontologia istotna wyliczałaby modły istnienia: modłę arytmologiczną, modłę mechaniczną,

modłę fluidyczną, modłę energetyczną, modłę astronomiczną, modłę bytu zbiorowego i modłę wolności? I każda forma żyjąca, każdy twór, postaciowy czy bezpostaciowy, określony czy nieokreślony, świadomy czy nieświadomy, zawierałby wszystkie te modły razem, lecz byłby uorganizowany w ten sposób, że postrzegałby tylko jedną z nich u innych twórow, wśród których żyje?

— Tak jest; to, co mówisz, jest rodzajem sprowadzenia biologii do tabliczki Pytagorasa; postępowanie to daje, oczywiście, pewne światła; jednakże jest ono tylko sposobem; odsłoni ci ono tylko jedną postać prawdy, dosyć słuszną i rozległą wszelako; mądrość ludzka nie znalazła zresztą w naukach tajemnych, jak dalece w nie sięgam, nic lepszego. Ale człowiek, który stanie się czystym, odrzuca te narzędzia intelektualne i zwraca się bez pośrednictwa do istot, które ma potrzebę pojąć.

— Jest li kres dla tego pyłu gwiazdnego?

— Tak jest, odrzekł mi, jest to pole, dla którego Ojciec ustalił granice; i gwiazda polarna jest jednym z tych kresów.

— Jakto? odparłem; jeżeli jest ona granicą, musi być tedy najdalszą; zaś wszyscy astronomowie powiadają, że Alfa Centaura ma najsilniejszą paralaksę, podczas kiedy ta gwiazda polarna ma jedną z najsłabszych?

— Ziemia tedy jest li pośrodku świata? rzekł Andreas; i Kosmos ma li formę kuli? I słońce, jest li nieruchomem?

— Tego oto nikt nie wie.

— Można tedy sądzić o odległościach, o wielkościach i jasnościach astronomicznych jedynie w stosunku do nas. Co więcej, zali pytano się, czy, przebiegając ośrodki międzygwiazdne, promienie świetlne nie podlegają załamaniom, lub przemianom, i jeżeli one istnieją, czy je można było obliczyć?

— O ile wiem, nie, odrzekłem.

— Widzisz tedy, iż nauka astronomiczna, choć zdaje się być dokładną na pierwszy rzut oka, nie jest pewną. Użyteczność jej tedy, ostatecznie, jest czysto moralna, daje nam ona bowiem ideę naszej małości, wielkości dzieła Ojca, a przez niepowodzenia kolejne swych teoryj i zależność swych odkryć upokarza ona naszą próżność.

— Wykazują to potrosze wszystkie nauki. Ale tedy, czemuż jest cały ten wszechświat?

— Wszechświat ten? U nas, jego mieszkańców, zawiera on to wszystko, co istnieje; poza nim, jest tylko Nicość; a jednak, gdybyśmy mogli widzieć rzeczy z punktu widzenia Królestwa Bożego, dostrzeglibyśmy, że Nicość żyje także. Metafizykom będzie zawsze przeszkadzało w zgodzeniu się ich wzajemnem

i w zgodzeniu się ich samych ze sobą to, że dwa te punkty widzenia istnieją razem w duszy, że dusza ta jest podwójną, zarazem stworzoną i przedwieczną; i że postrzeżenia *ja* przyrodzonego i *ja* nadprzyrodzonego mieszają się u nas zawsze.

— Bezużytecznem tedy jest starać się wiedzieć.

— Przepraszam, doktorze; trzeba się starać wszystkimi siłami, nie dla naszego zadowolenia osobistego, lecz dla miłosierdzia, by tak rzec, by dać żyć mocom rozumowym i intelektualnym, które Ojciec powierzył nam, jako depozyt, przez posłuszeństwo i miłość dla Niego.

— Ale, zrobiłem zarzut, odjąć człowiekowi przynętę korzyści osobistej, to obciąć mu ręce i nogi.

— Tak jest, jeżeli człowiek nie wierzy w Boga; ale jeżeli wierzy, jakież jest większe szczęście nad to, by być posłusznym temu, kogo się kocha? Jaka pobudka może dać więcej energii, wytrwania i zapału? Jeżeli jest człowiekiem, jeżeli niesiesz pochodnię nieskończoności, nie czyni, jako ten lis mały, który przemknął się tam w dole, za tą oto kępą; mniema on, że jedyna racja bytu polega na połknięciu jaknajwięcej jaj i na pożarciu największej możebnie ilości kurcząt, i na nauczaniu swych dzieci, by tak samo czyniły. My mamy inne zadanie.

— A teraz, gdy chcesz, zdrzemniemy się trochę na tym piasku, gdzie nie będziemy czuli rosy, oczekując pory, w której dostaniemy coś na śniadanie w stronie Bruyères.

Przespawszy się czas jakiś, ruszyliśmy znów na przechadzkę, wśród ranka roskosznego, gdy las cały błyszczał pod światłem czystym, jak dziewica, wychodząca ze źródła i wstrząsająca włosami zwilżonemi. Sikory, strzyżyki, piegże, kosy i drozdy śpiewają o tej porze najgłośniej: powietrze napełnione nowymi woniami, liście są jaśniej zielone, niebo łagodniej błękitne, obłoki więcej lotne, przeszłość szara zdaje się być bardzo daleko, przyszłość — miła; i życzliwość spokojna czyni nas radośniejszymi.

Spróbowałem powrócić do dawnej rozmowy.

— Purany powiadają także, począłem, że jaje świata pływa po oceanie niezgłębionym; ale gdzie są podstawy i brzegi tego oceanu? Pojęcia takie, prócz tego, że nic ich nie dowodzi, czyż nie są nieco za ogólnikowe?

— Byłoby tak istotnie, odrzekł Andreas, gdyby substancja świata była wszędy identyczną z substancją ziemską. Ale tak nie jest zgoła. Otóż, całkiem blisko od nas, wędruje planeta niewidzialna, w innej niż nasza przestrzeni, której gęstość jednakże jest prawie

dwa razy większa, niż gęstość ziemi; tak samo rzut fluidyczny nieważki woli może działać na masę ważką, i ileż zjawisk analogicznych mógłbym przytoczyć; świadomość nasza funkcjonuje jedynie pod pewnymi warunkami, które ograniczają dla nas to, co podpada pod zmysły; nie możemy utworzyć sobie pojęcia o warunkach odmiennych; wszelako one istnieją; tembardziej nie możemy sobie wyobrazić Nicości, jak nie możemy sobie wyobrazić, jakim sposobem widzimy gwiazdy i wszystko inne.

— Należy tedy zadać sobie pytanie, czy rzeczy istnieją, czy jest coś innego, niż pozory?

— Ależ tak, rzeczy istnieją; człowiek ma życie w sobie; nie może on stworzyć uludy absolutnej; całą jego słabością jest to, że widzi formy zmienne miast czystych esencji. I w każdym świecie, i w każdym planie każdego świata, pozór jest średnią proporcjonalną pomiędzy istotą przedmiotu, jego figurą obecną, istotą czystą podmiotu postrzegającego; i jego władzami postrzegania, mniej lub więcej zdrowymi.

Na tem się opiera nauka sygnatur. Pień tej brzozy jawi się nam tak srebrzystym i liście jego tak ruchomemi, tylko jako wyraz ziemski siły powszechnej. Gwiazdy czerwone, zielone i żółte, które tylko cośmy oglądali, są również znakami.

— A zatem lud ma rację widzieć w kometach sprawców nieszczęść?

— Tak i nie, odrzekł Andreas. Kiedy ma padać deszcz, wyłażą ślimaki; ale nie dla tego pada deszcz, że one wychodzą. Kiedy kometa staje się widzialną, nie powoduje ona wojny czy epidemii, ale jest ona skutkiem astronomicznym aktu demiurga, kliszy, której wojna jest tylko skutkiem społecznym ziemskim.

Miałem wiele pytań do zadania w materii komet; ale stało się tego ranka tak samo, jak w wielu innych okolicznościach podobnych. Bardzo często rozmowa zbaczała, jakgdyby według woli Andreasa; a jednak nie mówił on nigdy pierwszy i zawsze odpowiadał tylko na moje zapytania; zapominałem pytań przygotowanych, albo nieokreślona nieśmiałość nie pozwalała mi ich zadawać. Pocieszałem się zresztą myślą, że mistrz mój wiedział lepiej ode mnie, czego mi potrzeba i jakie wiadomości były dla mnie korzystne lub jakie bezużyteczne.

Poprosiłem atoli ranka tego, o ile pamiętam, o kilka wyjaśnień co do roli i użyteczności komet.

— Kiedy człowiek jest chory, odrzekł mi Andreas, i gdy lekarstwa nie pomagają, szukają innej metody wprowadzenia czynników leczniczych, niż droga żołądkowa, skóra, płuca,

system krwionośny; surowica, na przykład, którą zastrzykują, obiera w organizmie inną drogę, niż zwykle. Kometa jest takim odnowcą systemu słonecznego; jest ona dla niego również środkiem wzmacniającym. Wprowadza ona do naszego zodyaku coś nieznanego, a przeto coś o olbrzymim dynamizmie, co pochodzi z innego zodyaku; odnawia jakąś funkcję zaburzoną.

Dla niej samej, wędrówki te są badaniami; daje ona coś światom, przez które przebiega, i również coś od nich otrzymuje. I po swojej podróży światowej, gdy szybkość jej się zmniejsza, i gdy podlega w ten sposób reakcyom innych ciał niebieskich, droga jej zmienia się powoli, zwalnia się i staje się znowu z kolei ośrodkiem systemu. Proces podobny masz w embryologii, w pierwszych godzinach, jakie następują po zapłodnieniu jajka.

— Czytałem coś podobnego, zdaje się, w *Djatace hinduskiej*.

— Niewątpliwie; są to rzeczy bardzo proste. Kometa ma atoli i trzecią funkcję, już nie w układzie kinetycznym, lecz rodzaju indywidualnego.

— Jakże to? Kometa nie jest osobą, jak pan lub ja?

— Nie, jest ona okryciem osoby, jak nasze ciało jest okryciem naszej indywidualności. Wszystkie ciała niebieskie są okryciami: i istoty,

jakie one okrywają, których nie znamy, albo które możemy postrzedz jedynie po bardzo uciążliwych trudach zbliżania się, spełniają każda swą funkcję. Komety są ich prorokami, w złem i w dobrem, są ich artystami, rozdają im radość, nadzieję, zapał i wiadomości.

— Gdybyś pan to powiedział ogółowi, mianoby pana za antropomorfistę.

— To też ja milczę. Zresztą, to człowiek właśnie jest ukształcony i działa na obraz Przyrody, nie zaś Przyroda na obraz człowieka; ale my jesteśmy tak przekonani o naszej ważności, że uważamy siebie za nieodzownych dla biegu światów. Ileż to rzeczy wiedzielibyśmy, gdybyśmy byli pokorni!

Przechadzka nasza doprowadziła nas do Fonceaux; tam zatrzymaliśmy się, by spożyć z apetytem śniadanie wiejskie, i rozmowa zesła na inne tory.

XXXII

Było to w okresie wielkiego wylewu, który spowodował takie zniszczenie na przybrzeżach Sekwany. Było dla mnie całkiem niemożliwością, podczas więcej niż dwóch tygodni, odwiedzić Andreasa. Musiałem porzucić laboratorium moje szpitalne, by pomagać przy poradach lekarskich; wszystkie łóżka zajęte,

nosze we wszystkich zakątkach, nawet po przedsionkach; służba szpitalna przeciążona, zarząd zdeorganizowany: nasz stary budynek nie widział tyle ruchu od czasu onego roku z influenżą. Wstawiłem wreszcie łóżko obozowe do pokoju asystenta szpitalnego, gdyż chorzy przychodzili o każdej porze; lecz, pierwszego zaraz ranka, kiedym był wolny, jakkolwiek miałem sporo do odespania, wymknąłem się pospiesznie aż do małego domku w Ménilmontant.

Andreas tego ranka był zafrasowany. On, zwykle tak czynny, leżał wyciągnięty w długim fotelu łożowym i palił powolnie z długiej fajki glinianej, lśniącej i opalanej, jak owe bambusy do opium, gdy dobiegną pięćdziesięciu lat użycia.

— Ładna fajka! rzekłem.

— Wczoraj wieczorem była całkiem biała, odrzekł roztargniony.

— Paliłeś pan tedy całą noc?

— No, tak! i nie mam już tytoniu.

Dałem mu swój. W kilka chwil potem weszła Stella, niosąc kawę z mlekiem, i poczęła mówić o klęsce, jaka od dwóch tygodni trapiła Paryż i pustoszyła okolice podmiejskie.

— Zkąd bierze się wszystka ta woda, zapytała męża; nie jest ona chyba jedynie z deszczu, ani z topnienia śniegów?

— Ani z powodu wycinania lasów, dodałem.

— Nie wiem, odrzekł Andreas, czy jest koniecznem doszukiwać się przyczyny tych wylewów: w czymże to nas posunie naprzód?

— Będziemy mogli uprzedzić na przyszłość...

— A jeżeli to zagłębia podziemne wody stojącej zmieniły poziom? Czy nasi inżynierowie będą wiercili studnie na dwa, trzy i więcej kilometrów?

— Czyliż jest woda tak głęboko ukryta pod ziemią? Paryżanie wszyscy znają mały staw, który był poniżej Opery, i ten, który jest poniżej wzgórka Moulins... To prawda, dodałem, że Sabaudczycy mówią o jeziorze podziemnem, gdzie gubiłby się Rodan, zaś mieszkańcy kantonu Vaud powiadają, że jest również takie jezioro podziemne na skraju jeziora Joux.

— Są jeszcze i inne w tym rodzaju, doktorze; wiem, w samej Francyi, o czterech zagłębiach wody, znajdujących się na głębokościach od dwóch do czterech tysięcy metrów, a wiele z nich ciągnie się pod jednym lub pod dwoma departamentami.

— Tak że, powiedziałem, jeżeli łączą się one z jaką ze szczelin, jak te, na przykład, co są w Côte d'Or, gdzie włościanie rzucają tru-

py bydła, i jeżeli będą zachodziły wielkie ich wzniesienia, to rzeki mogą wezbrać bez miary?

— Tak jest, doktorze, ale to się staje tylko w razie zerwania równowagi w masie mineralnej. Zmiany te pochodzą tylko z ruchu wstecznego punktów równonocnych, albo z wybuchu podziemnego, albo jeszcze z powstania nowego ogniska magnetycznego, jakie może spowodować sąsiedztwo komety. Otóż, zjawisk takich nie należy przypisywać przypadkowi: są one zarządzane przez inteligencye niematerialne, lub wywołane, jako reakcja przeciw chorobom społecznym, lub, jeżeli pan wolisz, etnicznym. Mądrość tedy, a priori, polega na tem, żeby dać się im spełnić.

— A jeżeli w tem jest, wyjątkowo, działanie siły złej?

— Nie masz istoty absolutnie złej. To, co uważamy, jako złe, jest niem tylko czasowo, względnie, i, w żadnym razie, nie działa bez pozwolenia milczącego czy wyraźnego Ojca. Tak czy owak, żeby mogła nastąpić zmiana w biegu zjawisk tego rzędu, trzeba, by operator mógł rozmawiać twarz w twarz z księciem, panem i duchem ziemi; trzeba, by znał dokładnie stan systemu słonecznego całego, by mógł być świadom planu klisz kosmicznych.

— A czyż jest gdzie na ziemi taki człowiek?

— Zdajesz się domyslać tego trochę, mój doktorze, rzekł mi Andreas, uśmiechając się z tą łagodnością przedziwną, która naraz przeobrażała twarz jego nieruchomą i ostrą.

— Ale my, ludzie zwykli, czy możemy co przeciw takim kataklizmom?

— Trochę już zapóźno; potrzeba było na to kilku ludzi dzielnych pięćdziesiąt czy sto lat temu; jeżeli jakaś istota niewinna, ukryta gdzieś, nie zechce się poświęcić, nie pozostaje nic innego, jak poddać się.

— Kogo nazywasz pan niewinnym?

— A no — kogoś, którego duch nie zna jeszcze zła...

— Jakżeżby on zapobiegł katastrofom?

— Bogowie z duchem jego zawarliby przymierze; my, ludzie zwykli, nie wiedzielibyśmy nic o tem; i, prawdopodobnie, inteligencya tego człowieka nie byłaby również świadomą tego: my widzielibyśmy tylko jego nieszczęścia, nieprzyjaźni względem niego, zdrady, klęski, cierpienia moralne.

— Jeszcze jedno, ciągnąłem dalej. Jak się to dzieje, że astrologowie i jasnowidze nic prawie nie obwieścili o tem nieszczęściu ogółu?

— Niebo nie lubi wróżbitów; rzekło już ono dawno przez Swych druhów wszystko, co może być użytecznem człowiekowi dla je-

go poprawy; reszta jest jedynie ciekawością, pomieszaniem, zamętem, przebłyskami przypadkowemi intelektu, światłami zwodnemi mocy ciemnych. Co do mnie, gdybym nawet znał przyszłość, nie miałbym prawa odsłaniać jej. Człowiek wyobraża sobie zawsze, że los jego obchodzi Wszechświat; wiesz pan dobrze, że jesteśmy tylko drobnem, biednem niczem.

Zrobiłem ruch zniechęcenia i pozostałem milczący, myśląc o tych tysiącach biedaków, kobiet anemicznych, dzieci źle odżywianych, bez dachu, bez ognia, bez chleba. Stella wyszła z pokoju; Andreas milczał, pogrążony w marzeniu głębokiem; na dworze deszcz tłukł o szyby; sennaś mnie ogarnęła, na dłuższą chwilę; zdało mi się, że człowiek jakiś wszedł do pokoju: był on wysokiego wzrostu; nie mogłem odróżnić ani jego twarzy, ani ubrania; widziałem jednak, że promieniował światłem. Potem, wszystko się zaciemniło. Otworzyłem oczy: Andreas stał przedemną; miał głowę wzniesioną i pierś podaną naprzód, jakgdyby miał się unieść z ziemi; patrzył mi w oczy; szła od niego jakgdyby aura fluidyczna, świeża i mocna; tajemnica mieściła się między nami i czułem, żeśmy byli obaj złączeni „w imię Kogoś“.

Rzekł mi głosem bezbarwnym:

— Pójdiesz do tej a tej osoby—tu podał

mi nazwisko stolarza i wielkiej damy, którą Paryż znał jedynie z elegancyi i przepychu domowego—zażadasz od nich w moim imieniu zobowiązania się do trzech rzeczy: nie obmawiać nikogo, nie bronić się, ktokolwiekby na nie napadał; modlić się o wszystko, co będą uważali za użyteczne, aż dopóki prośby ich nie zostaną wysłuchane, chociażby mieli spędzać całe noce na modlitwie; zaś ty, zobowiążesz się z jednym i z drugą. Jeżeli wszyscy troje wytrwacie od dziś do Świętego Jana, od kilku nieszczęść będzie zachowana wasza ojczyzna.—Przyrzeka to Niebo.

I pożegnał mnie ze swym przedziwnym uśmiechem.

XXXIII

Powódź nie zatrzymała się, ale Andreas nie mówił o niej. Od kilku dni oczekiwał on wizyty starca chińczyka, którego nazwisko nie było mi nieznanem.

Nie wiedziałem, jakim sposobem ten bardzo wysoki urzędnik, słynny, bogaty i możny, zeszedł się z Andreasem. Przybył po obiedzie, w dorożce bardzo demokratycznej, w towarzystwie małego, milczącego mandaryna i żołnierza z marynarki, rekonwalescenta na urlopie. Postarałem się nie opuścić tych zebrań

wysmienitych, na których Chińczyk, pan, po osobie cesarza, czterystu milionów ludzi, dostatecznie mocny, by zaszachować całą dyplomacyę europejską, gawędził dobroduszenie ze zwykłym wojakiem, lekarzem nieznany i miłośnikiem starożytności.

By uczcić gościa, żona Andreasa urządziła jeden z pokoi po chińsku: wielkie łoże hebanowe, maty, parawany haftowane, etażerka, wypełniona jaspisami i bronzami, wspinała kadzielnica, ustawiona na podłodze, przeobraziły zupełnie mały ten pokój.

— Toś się pan wysadził! rzekłem do Andreasa.

— A no, tak, mój doktorze; ludzie Wschodu lubią formy; nie trzeba urażać nikogo; niegdyś, gdym bywał u tego księcia, cały jego yamen był uruchomiany. Nie znasz pewnie dobrze ich przepisów grzeczności? Otóż, uważaj na mnie, rób wszystko, jak ja robię; trzeba szanować zwyczaje starców, a przytem człowiek ten bardzo nas przewyższa, pod względem społecznym; bądźmy na naszym właściwym stanowisku; jego rzeczą będzie nam wskazać, w jakim tonie chce on, by do niego mówiono. A ty również, Mariuszu, rzekł do żołnierza, wyobraź sobie, żeś jest ordynansem wodza naczelnego.

Gdyśmy usłyszeli dorożkę, wyszliśmy

wszyscy trzej na spotkanie księcia, i, po powitaniach wzajemnych, wszedł on, zgiąwszy swą postać wysoką i wstrząsając długiemi rękawami na znak radości, według obrządku konfucyuszowego. Mówił bardzo poprawnie po francusku, głosem ciężkim i mruczącym: twarz jego, tłusta i nieruchoma, poorana mnóstwem zmarszczek, odbijała na sobie, mimo pocziwości starczej i chęci zachowania uprzejmości, ogromną dumę człowieka, który poczuwał się do czterdziestu pięciu wieków genealogii bez szczyrby. I pomimo całej wymowy kwiecistej jego oświadczeń, za wiele rzeczy dzieliło nas, by nie onieśmiewało mnie niekiedy spojrzenie przenikliwe jego bezbarwnych źrenic, w szczelinach wąskich powiek nabrzmiałych.

Usiadł na łóżku; i, przez grzeczność, palił naprzód z fajki, jaką Anoreas mu podał; potem, Mariusz przygotował opium, i po dziesięciu fajkach, wypalonych w milczeniu, Tsun-Hing począł pytać o różne rzeczy; odpowiadał również na moje pytania; miał pamięć zdumiewającą; i, według zwyczaju uczonych chińskich, przytaczał bez przerwy poetów swego kraju, wskazując intonacją rozmyślną inne znaczenia tajemne, ukryte pod formą literacką. Andreas, ze swej strony, czerpał w klasykach, romantykach i współczesnych poetach, i umiał

również dobrze, jak jego znakomity współbiesiadnik, poddawać śpiewnością wysłowienia się symbolizmy nieoczekiwane, dla mnie przynajmniej.

Tego wieczoru, Tsun-Hing mówił o powodziach.

— Co powiadają, bracie, pytał on Andreasa, mandarynowie twego kraju, kiedy smoki wasze poczynają się wściekać.

— O, czcigodny, uczeni tutejsi nie wiedzą, co to smok; jest on dla nich, jakgdyby nie istniał wcale, zawsze drzemiącym na dnie morza.

— Czyż to możebne? dziwił się książę, chociaż nie drgnęła żadna zmarszczka na jego twarzy.

Cóż tedy, jeżeli pozwolisz mi wszelako na to głupie pytanie, coż tedy czynią wasi mandarynowie, kiedy klęska przyjdzie i kiedy odejdzie, chociaż — zali to do wiary — utrzymujesz, iż nie mogą oni przewidzieć jej przyszłości?

— Czynią oni to samo, co oficerzy mandżurscy w twych wsiach niezliczonych; dają rozkazy sporządzania grobel i starają się o pieniądze na odbudowę domów. Ludy sąsiednie przysłali pomoc, i, pod tym względem, o ile mała moja inteligencja może sądzić, klęska ta jest dobroczynną, pozwoliła ona bowiem narodom rasy białej na gest braterstwa.

— Potrzeba im tego, rzekł starzec. Ale któż może zgłębić wolę Tego, który nie ma woli?

— Lewa strona moja, odrzekł Andreas, gdzie jest moje serce, jest prawą stroną mego brata, i jego lewa strona jest po mojej prawej stronie, zaś mamy, ja i on, jedno tylko serce.

— Wielką jest twoja mądrość, odparł Tsun-Hing, z uśmiechem zadowolenia. Opuścił fajkę zagasłą, oczy jego wąskie zalsniły, lecz zamilkł.

— Racz pomnieć, ciągnął dalej Andreas, że ja nie jestem mandarynem. Ten oto — i wskazał na mnie — jest nim w sztuce leczenia; lecz, w krajach tych, ludzie mądrzy mądrością bez słów nie są prawie nigdy wysokimi dostojnikami, jak to powinno być. Tak tedy iści się prawo Tao: zasługa żyje u nas w cieniu i zdala od zaszczytów i urzędów publicznych...

— Wiem o tem, widząc, jak ty żyjesz przerwał książę z gestem uznania.

— Ci tedy, co domyślają się istnienia smoków, nie mają zgoła żadnych oznak, nie są obdarzeni żadną władzą, i rozkazują tylko w swem ognisku. Z nich jedni czuli jedynie powiew skrzydeł, gdy one się roztaczają; drudzy, bardzo rzadcy, myślą, że zwierzęta te

boskie żyją jedynie ponad obłokami. Ale, niestety, nie znam, u wszystkich tych ludów o twarzy kolorowej, męża, który mógłby podążyć za sześcioma ruchami smoka o pięciu pazurach.

— Nie znasz takiego męża, o, prawdomówny? zamruczał Tsun-Hing, stając odrazu na nogi.

— Yu i Yang nigdy się nie rozłączają, odparł mój mistrz, powstawszy również, i dodał: znam męża.

Stary książę zgiął swą wysoką postać, Andreas zbliżył się; pozostali obaj, czoło naprzeciw czoła, z oczyma spuszczone, w milczeniu, podczas gdy ich palce wykonywały ruchy szybkie, zamieniając tym sposobem znaki rozpoznania najtajniejszego z bractw azjatyckich.

Potem każdy zajął swe miejsce; fajki zostały zapalone na nowo; wypito rzadkie likiery, i Andreas począł, zwracając się do mnie:

— Sto cykliów temu, jeżeli będziemy liczyli, jak astronomowie Państwa Niebieskiego, ludy europejskie wiedzieli, że istnieją bogowie, boginie, duchy opiekuńcze i fluidy; człek wszędy podobny: przodkowie nasi czcili te duchy, i znieważali Prawo Kierownika Najwyższego, jak to dziś jeszcze czyni ludność w państwie naszego czcigodnego druha. Tak idzie świat,

do skrajnej lewicy, potem do skrajnej prawicy; nazywa on to nagrodami i karami, i jeżeli rozumieją niektórzy, na wzór Kong-Tsa, zmienność w pośrodku, szukają tego pośrodku w chaosie pięciu żywiołów zamiast go znajdować w duchowej równowadze Drogi.

— Ludy twoje, rzekł Tsun-Hing, szaleją w pięciu żywiołach i dwudziestu czterech asteryzmach.

— Tak jest, widzisz to słusznie, starcze o przenikającej inteligencji, odparł Andreas, utkwivszy wzrok w swego spółbiednika, który zdawał się spać. Ale przypomnij sobie te czasy, gdy otrzymywałem, nie będąc tego godnym, twą zacną gościnność; w tych latach, wstępowałem do świątyni bez wrót... i wyszedłem z niej.

— Pamiętam to, bracie starszy.

— Lamowie Dachy tego Świata czyż nie powiadają, że Tcong-Kapa przyszedł z Zachodu?

— Tak jest, rzekł książę, patrząc na mnie uważnie, spostrzegł był bowiem, że ciekawość moja została wielce wzniecona; mówisz, jak bardzo stary mąż, i staram się odpowiadać ci z tą samą mądrością... nie mogąc tego osiągnąć. Ale dla niemowlęcia mleko, dla starca kuchni wymyślne, dla męża dojrzałego ryż zdrowy i ryba. Może nasz brat młodszy powie, co myśli o tych smokach, które powodują wylew rzek i obrywanie się chmur?

— Ja umiem tylko czytać w książkach drukowanych; tam zobaczyłem, że wszystkie narody wierzą w podobne rzeczy; obywatele Państwa Niebieskiego znają również jednorożców, lwów, ptaki dziwne i ryby baśniowe; ich bracia aryowie mają swego jastrzębia Garudę, swego łabędzia Hamse, i swoich węzów wielogłowych, i Gandharwasów, i ileż pokoleń istot, które nawiedzają kontemplacyjne ascetów nagich w lasach; i obywatele z płaszczyn lodowych Tybetu, i obywatele Półksiężycy, w skwarnych swych pustyniach, widzą, jak przechodzą nocami wszystkie rodzaje tworów... Cóż mógłbym powiedzieć, czegoby nie wiedziały wasze dwie mądrości, czcigodni ojcowie: jam czytał tylko bardzo stare książki. Wszystkie ludy w stanie przyrody wiedzą, że smoki istnieją, a także zwierzęta i istoty, których nasze oczy grube nie mogą postrzegać. Są one w oceanie, w zatoce, w cieśninie, w lagunie, w jeziorze i stawie; w łańcuchu górskim, na wierzchołku gór i w przepaści; w pustyni, w mieście i w lesie; w kamieniu, roślinie i drzewie; w obłoku i powietrzu, i pod ziemią; w piorunie, wietrze i deszczu; na łądzie, w narodzie i w ludzie; w słońcu, księżycu i gwiazdach; w zaćmieniu, w komecie i meteorze; w nocy, w dniu i w zmierzchu; w miesiącu wreszcie, w cyklu i w roku.

Prawdą li to jest, pytam was, o, ryczerze smoka?

— Tao-sse powiada, że są to formy błakające się.

— Jednak, zapytał Andreas, starzec Lao-Tse zali nie napisał, że wszelka istota ma imię, które nie jest Imieniem, chociaż zawarta w Imieniu?

I Tsun-Hing, przytwierdzając, przytoczył głosem mrużącym wiersz, do którego Andreas czynił aluzję.

— Zali mógłby powiedzieć ten mądry starzec, że rzeczy nieokreślone mają imię? Wszystko tedy jest indywiduum? Jak ci się zdaje, o, bardzo roztropny?

— Tyś wszedł do świątyni bez wrót, odrzekł Chińczyk.

— Patrz na tę skałę, na przykład; patrz na nią ze wszystkich swych mocy, poczał Andreas, zwracając się do mnie, to jest w taki sposób, by żadna z twoich sił nie była zajęta gdzieindziej. Uwolnij na to twe ciało nieruchome od drżenia aktu, jaki tylko co spełniło, i od wspomnienia nawet tego aktu; usuń z twoich fluidów wszystką polaryzację poprzedzającą, z serca twego wszelkie uczucie, z umysłu wszelką myśl, któraby nie była tą skałą. Patrz, z oczyma spuszczonemi; słuchaj, z uszema zamkniętymi; dotykaj, rękoma nierucho-

memi. Nie ujrysz naprzód ducha tej skały, lecz różnego gatunku istoty, które są powłokami, stróżami, podróznikami; po nich dopiero, kiedy je usuniesz, spostrzeżesz jej ducha opiekuńczego; i, jeżeli twa cnota dorównuje sile, będziesz mógł mówić z nim. Bowiem duch twój rozumie wszelkie narzecze.

— Medyum somnambuliczne? zapytałem, magia?

— Magia jest wzbroniona, wiesz to dobrze, odrzekł Andreas. Nie znajdziesz nigdy medyum, zdolnego przeniknąć tak daleko.

— Cóż tedy? rzekłem; lecz Andreas ciągnął dalej, zdając się nie odpowiadać mi na pytanie.

— Tak jest, wszystko istnieje: fauny, satyry, egypcy, sylwany, nimfy, dryady, hamadryady, i pół-bogowie, Herkules i inni, i boginie, Afrodyta i jej siostry, i Muzy, Parki i Furye, i Zeus, i wszyscy jego rówieśni; i dżinnowie, i huryski, i koboldy, trolle, gnomy, niksye, ferye, fee, lutyny, farfadeci, koryganci, nie są całkiem halucynacjami wieśniaków zabobonnych; i Teutad, i Tor, i Walhalla; i bogowie hinduscy, o czterech i dziesięciu ramionach i ich sakti; i bogowie egipscy o kształtach zwierzęcych; i katoblepas, i bazyliżek i ptak-olbrzym, cały ten zwierzyńiec średniowieczny — wszystko to, i wiele innych

jeszcze istot, wszystko to istnieje, wszystko to żyło niegdyś na tej ziemi stałej, na równinach, w lasach i miastach — albo przyjdzie tu żyć.

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że były to, albo że są to twory rzeczywiste, indywidualne, jak pies albo koń? Że nie są to symbole meteorologii, czy astronomii, czy filozofii, czy sił przyrodzonych? Byłyby to zwierzęta lub zwierzolidzie? Tedy demonologowie Piotr Abanus, Agrypa, legendy różo-krzyżowców, Sinistrari, Guaita?

— Przyroda tworzy istoty; to człowiek tworzy symbole, odrzekł mi Andreas z uśmiechem. Mniemasz li, że byk o głowie ludzkiej Assuru, i Sfinks tebański to tylko obrazy, uczenie zestawione? Gdy riszi śpiewa: „Dusza Yogina dosiada boskiego ptaka Hamse, który go unosi lotem szybkim, jak błyskawica, aż do pobytu najwyższego Brahmy“, mniemasz-li, że nie opowiada on całkiem naiwnie, co widział? Mniemasz li, że bawi się on w przenośnie retoryczne? Ty jednak nie jesteś ani profesorem filozofii, ani człowiekiem żadnego braterstwa tajemniczego, rzekomo różo-krzyżowcowego, ani buddyjskiego, ani templaryszów? Ale, dodał, przestawszy się uśmiechać, i pochylając się ku staremu księciu, gdyby gość mój wielce szanowny raczył, moglibyśmy

z jego ust wymownych nauczyć się wielu rzeczy, jakie znają jego ludy i jakie zachowują w tajemnicy przed czerwonicami?

— Jam nieuczony, rzekł Tsun-Hing to-nem skromnym i poważnym. Jeżeli mówię, to tylko by być posłusznym memu starszemu bratu, i iż trzeba niekiedy, by rzecz taka została wypowiedzianą, nawet przez usta niegodne. Zapomniałem wielu znaków, które niegdyś podziwiałem, i odtwarzałem pędzelkiem szanownym, chociaż niezręcznie. Ach! jakżeż mędrcomie dawnych czasów byli cnotliwi! I jak słusznem jest, że to się ich wynagradzało, kiedy w długiej mej karyerze, dzięki ich obecności niewidzialnej i ich pomocy stałej, udało mi się zrobić coś użytecznego dla narodu i zgodnego z Wolą Najwyższą. Ale przebacz starcowi wątemu, całemu drżącemu, że idzie nagi do przodków ukochanych...

— I cóż powiem, ciągnął dalej, po krótkim milczeniu, czegoby nasz brat młodszy nie czytał w starych waszych książkach? Dziesięć tysięcy istot, zwierząt powietrznych, zwierząt ziemi, fal, lasów i ognia, zjawia się i na polu ryżowem, rośnie, potem się zmniejsza i znika... Tak więc okrucieństwo ludzi wywołuje demonów w świecie Odwrotności; i demoni ci uwodzą swych wywoływaczy; po-

tem, kiedy już wiele popełniono zbrodni, demoni ci biorą krew rozlaną i ciała pomordowane, i książęta ich tworzą sobie z tego ciała, i tygrys zjawia się, który zabija tych samych ludzi, których złość otworzyła mu bramę Ziemi. I kiedy „zjadacz ludzi“ zabije już tych wszystkich, którzy znamię jego nosili, wtedy siła jego zmniejsza się, ciało maleje, z biegiem cykli, i staje się on kotem, wytwornym, egoistycznym i lęklwym. Tak samo były niegdyś olbrzymie jaszczury i skorupiaki, wielkie, jak byki, i wiele innych tworów, które zniknęły w przewrotach tego świata widzialnego.

— Z warg twoich sączy się wiedza tajemna, o, bardzo stary, rzekł Andreas; mów nam jeszcze.

— Tym sposobem istnieje dziesięć tysięcy istot, ciągnął dalej książę; sto rodzin zjawia się na ziemi, ale one zjawiały się już na tysiącach ziem; żyją one naprzód w snach ludzi mądrych, potem tworzy te rodzą się z łuskami, piórami, albo szerszcią, bez kości, lub z kośćmi; potem zmniejszają się i znikają z widoku ludzi mądrych. Potem bogowie biorą je i prowadzą ku innym ziemiom. Tak tedy świat ten jest morzem o falach niezliczonych. Patrz tedy nań, bracie młodszy, sercem zbożnem i mocnem; nie trzeba się obawiać żadnej istoty, nie trzeba gardzić żadną; zaś ty sam,

wiedz, żeś jest niczem i że będziesz wszystkim; lecz jeżeli chcesz się stać wszystkim, będziesz sprowadzony do niczego, jak grudka ziemi, utłuczona w mozdzierzu.

— Mów jeszcze, mój bardzo mądry ojcie, poprosiłem starego mandaryna, bowiem rodzaj wzruszenia ożywiał jego mowę i czułem powstającą ku niemu sympatię i wdzięczność.

— Zamilknę, odrzekł, poruszając fajkę, podczas gdy żołnierz zaokrąglął, u ognia, perłkę oczekiwaną opium; tak jest, zamilknę, powtórzył, zwracając się do Andreasa; bowiem ty, któryś walczył ze smokiem, ty jeden możesz działać; ja umiem tylko mówić. Jesteś ojcem tego brata młodszego; weź serce jego w swe ręce potężne; otwórz mu jedną z bram białych; zatkaj tu jego ucho, by słyszał z innej strony; zamknij powiekę jego na tę ciemność tutaj, by widział pochodnie, dzierżone przez lwy krótkogrzywe; Wen-Wang przychodzi z wami. Potem, odwróciwszy się do ściany, pozostał milczący.

— Słyszysz, rzekł do mnie Andreas, chcesz, byśmy spróbowali?

— Spróbowali czego? zapytałem, i, zrozumiawszy zaraz, dodałem: tak, byleś tylko pan był tam, i by to nie trwało zbyt długo.

— Minuta lub dwie; zostaw fajkę; usadow się wygodnie.

Lecz zaledwie wyrzekł ostatnią sylabę, gdy pokój zniknął z mych oczu. Ujrzałem siebie w pozycyi stojącej, trzymanego za ramię przez Andreasa; Tsun-Hing, siedząc, patrzył na nas. Ukazała się przystań na Dalekim Wschodzie i zniknęła; potem, potem, szeroka rzeka, pokryta czołnami cuchnącemi, potem pola ryżowe, góra, krzewy, jaskinia; wszystko to bardzo szybko, jak filmy kinematografu, gdy się je zmienia; ale z nadzwyczajną wyrazistością. I znalazłem się nagle w nawie kościoła Notre Dame w Paryżu; potem w pierwszej krypcie, która jest znaną wszystkim; potem w drugiej, która była, miałem tego pewność nierozważaną, gruntem świątyni Jowisza. W trzeciem wreszcie podziemiu, ujrzałem wielkie głazy, dzidy gallickie, sierp zardzewiały, widmo białe druida. Usłyszałem uderzenie głuche, jak blachy wielkiej, która się zwala na plac ubity; potem oddech rżęący, zdławiony, zarazem niezmierny, i ujrzałem o dwa kroki ciało najpotworniejsze, rozciągnięte w ciemniu lepkiem. Wydawało się piętnaście metrów długie; łapy niskie, skręcone, uda cienkie i bezwłose, pokryte skórą niezdrową, nie mogły go unosić; było szare, lśniące, lepkie; grzbiet był pokryty łuską, i nad nim wznosiła się ośc uzębiona z ostrzów spiczastych; głowa jego dzika, pokrajana zmarszczkami głę-

bokiemi, kończyła się olbrzymim dziobem głowonoga, opatrzonym kilkoma rzędami zębów; macki włókniste i drżące wychodziły z tego dziobu pół otwartego, i starały się, wydłużając, dotknąć nas, Andreasa i mnie. Lecz mistrz mój poprzestawał na wzniesieniu ręki, jak to się czyni dla uśmierzenia psa kęsającego. Potwór ten łyskał mieniącemi się barwami, sinemi i jadowitemi; błonowe skrzydła jego zwisały na ziemię ze drżeniem. Oczy, wielkie, wylupiaсте, nagie, z powiekami zielonemi i niezdrowemi, rzucały nam spojrzenia ludzkie, spojrzenia nie do zniesienia: bestya była widocznie wściekła, i szal jej powiększał się od trwogi, bowiem Andreas trzymał ją na uwięzi wzrokiem.

— Widzisz, rzekł naraz do mnie Andreas, dosyć by powiedzieć jedno słowo temu zwierzęciu, by wpadło w gniew; burzyłoby ono tu i tam, i w trzy dni Sekwana zniknęłaby, tam w górze, nad naszymi głowami, a Paryż zapadłby się. Będziesz o tem pamiętał? Będziesz się starał zrozumieć? Nieprawdaż?

Zrobiłem znak potwierdzający. Wszystko zniknęło. Byłem znów w pokoju chińskim, z trzema obecnymi, w tych samych pozycjach.

— A więc, mój doktorze, rzekł do mnie Andreas, odpowiadając na moją prośbę tajemną, głosem powolnym, podczas gdy twarz

jego znieruchamiała się i ogień spojrzenia stawał się nie do wytrzymania, zachowując całkowicie swą dobroć braterską: pracuj, pracuj! czuwaj!

— Ach! i gruby głos chrypliwy Tsun-Hinga spadał bez echa w powietrze obciążone, my, synowie Nieba, pozostajemy nieruchomi, i przez swą istotę tajemną Droga przychodzi do nas. Ale wam, ludziom czerwonicym, wam serca palają: kto obrał drogę najkrótszą?

— Bracie wielce możny, wielce stary i wielce mądry, rzekł Andreas, cóż to jest Imię? to Słowo. — Cóż to jest Droga? to Ruch. — Cóż to jest Ruch? to Życie. — Co wynika z Drogi? Gromada niezliczona istot żywych, to znaczy Prawda.

Tsun-Hing uniósł rękę, by zażądać fajki; ale wybiła już północ; młody sekretarz wszedł do pokoju, i, gdym mu złożył ukłon, stary książę odwrócił powolnie twarz do ściany, podczas gdy Andreas palił dalej w atmosferze nieprzezroczystej.

XXXIV

Andreas i Stella powrócili niedawno z podróży do Polski; byli oni tam w gościnie u jednego magnata, który ich obwoził po wszystkich zakątkach swych ogromnych posiadłości.

Andreas przywiózł z tamtąd różne rzadkie rośliny, i pewien rodzaj jemioli, z której chciał wyciągnąć nieznane lekarstwa. Mówił mi długo o ich przyrządzaniu; potem rozmowa zesłała na lud polski, który mi bardzo wychwalał.

— Czyś pan zwrócił uwagę, doktorze, rzekł mi, jak ci ludzie kochają tam „Świętą Matkę Bożą?”

— W istocie, poczęła Stella, mają tam oni wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej, we wszystkich klasach społeczeństwa, prócz inteligencji, która ma zwyczaj jeździć na studia do Niemiec. To ciekawe, że kult ludowy, który tryska samorzutnie z serca mas, powstaje prawie zawsze na równinach i w lasach, gdzie jest wiele dębów.

— Tak jest, odrzekłem; mają oni tam swe słynne pielgrzymki do Częstochowy, jak tu, w lasach boserońskich, do starej Matki Boskiej czarnej w Chartres. W Bretanii, gdzie bardzo kochają Maryę Pannę, jest mnóstwo dębiny; w Meudon również, seminarzyści z Fleury, ufundowawszy posąg Matki Boskiej, umieścili go w dębie.

— Lecz, zwróciła uwagę Stella, Lourdes, Salette, Puy-en-Velay, to przecie góry?

— Tak, ale te ośrodki, odrzekł Andreas, stworzone są przez Opatrzność; nie pochodzą one od ludzi.

— Przytem, zapytałem, wszystkie Matki Boskie cudowne na równinach są czarne; i wielbią je często w kryptach; jaka jest racja tego?

— Ależ, doktorze, dąb, jemiola, groty, wszystko to idzie w parze; wiesz pan dobrze, że z substancyj najszkodliwszych wyciągają się leki najcudowniejsze. Jemiola jest pasytem, dąb jest drzewem męczonem; to tak, jak drzewo oliwne, które cierpi bardzo, by urastać, które dostarcza oliwę, i które jest symbolem pokoju.

— Jakto, drzewo oliwne cierpi?

— Ależ, oczywiście; nie widziałeś nigdy drzewa oliwnego? Światło elektryczne otrzymują z węgla; gdy starożytni chcieli ściągnąć który z ogniów niebieskich, operowali w kryptach. Musisz pan wiedzieć to wszystko równie dobrze, jak ja, ponieważ studiowałeś rzeczy tajemne. Musi pan nam oto powiedzieć swe poglądy na Matkę Bożą; znasz pan zapewne wiele teoryj o Niej?

— Znam, istotnie, kilka, ale żadna nie zaspakaja mnie, odrzekłem.

— Powiedz nam pan to, rzekła do mnie Stella, chcąc mnie ośmielić; on pana potem poinformuje.

— Dwa są oto rodzaje teoryj, poczęłem na znak zezwalający Andreasa; teorye, w któ-

rych Matka Boska jest pojęta, jako symbol, i teorye, w których się ją rozważa, jako siłę żyjącą, osobową lub bezosobową. Pierwsze są systematami filozoficznymi, które wyszły mniej lub więcej z panteizmu, i one nie interesują mnie; dla mnie idee nie są abstrakcjami; mają one formę, substancję, energię; będę się tedy trzymał drugiej grupy teoryj.

— Zwróciłeś pan zapewne uwagę, rzekła mi Stella, że wierzenia ludowe, w stosunku do Maryi Panny, jak i do sił przyrody, dają wszystkim formom Niewidzialnego osobowość; tak oto na całej ziemi istnieje legenda religijna o Pannie, zradzającej Zbawiciela.

— Tak jest, lud wierzył w to całkiem poprostu, ale uczeni oznajmili, że to był symbol; tylko, że każda klasa wtajemniczonych chciała wziąć symbol na swój użytek wyłączny...

— Ach, doktorze, przerwał Andreas, wtajemniczeni nie posiadają całej Prawdy, ale są jednak między nimi uczeni bezstronni i tolerancyjni. Trzeba oddać słuszość każdemu. Ale mów pan dalej, proszę, dodał, widząc, że nieco zbity z tropu.

— Dowiedziałem się, rzekłem, z książek alchemików, że uważali oni kamień, jako obraz Słowa w minerale, i że ich pierwszą materią istotną była, według nich, Marya Panna; wyjaśnia to Robert Fludd. Bramin z Dekkanu

pouczał mnie, że Ojciec, Syn, Duch i Dziewica istnieją w człowieku; Ojciec, według niego, to źródło woli; Syn, to punkt woli wyrzutowanej; Dziewica, to siła wyobraźniowa, karmiąca ten punkt uzewnętrzniony; Duch jest vibracją całego systemu.

— Znam tę teoryę, rzekł mi Andreas; jest to prawie ta sama, co Śri Śrimut Śankaraczaryi w jego Ananda Lahari, dotycząca stosunków Siwy i jego małżonki.

— U braminów prawowiernych jest Maja, ułuda powszechna. Marya, dodałem nieco po doktorsku, to Maja, która otrzymała literę R, znak istnienia własnego.

— Zdanie to, rzekł Andreas, mniemam, pochodzi od Fabre d'Olivet'a; ale jak on tłumaczy, że wyznawcy Brahmy chcą uniknąć Maji, zaś chrześcijanie, przeciwnie, rzucają się w objęcia Maryi?

— Nic nie czytałem o tem, odrzekłem.

— Ale ja sądzę, doktorze, że człowiek wschodni chce uniknąć zła, unikając życia, zmiany, stawiania się; szuka przytułku, lub stara się schronić w zerze. Chrześcianin, przeciwnie, stara się uniknąć zła, wznosząc się do innego trybu istnienia.

— Istotnie, zawołałem; rozumiem; jeżeli Mariah oznacza przestrzeń niebieską, miejsce życia absolutnego, jest ona Matką Słowa, po-

mimo że jest jego tworem, dostarcza ona bowiem, jeżeli można tak rzec, substancji dla jego rozwójów; w gramatyce Olivet'a, imię —to Ojciec; Słowo—to Syn; stosunek—to Duch, i znak—to Marya Panna.

— O, rzekła Stella, nie potrzeba wcale studyować sanskrytu, hebrajskiego, ani robić wyliczeń, by dojść do tego; to, co pan mówisz, jest napisane po francuzku we wszystkich książkach do nabożeństwa!

Lecz Andreas skarcił ją z uśmiechem.

— Jakaś ty wymagająca! czyś nie szukała długo tego, co miałaś przed sobą; a ja również, czym nie zrobił tysięcy wiorst, zamiast poprostu wyciągnąć rękę? Zostaw więc: wszystko ma swój pożytek.

I zwracając się ku mnie:

— Oto, co bym zrobił na pańskim miejscu; mógłbym panu opowiedzieć długie historie o wszystkich Majadewi, Kuan-In'ach, Szakti, Hiram'ach i Miryam'ach, jakie sobie tylko można wystawić. Jeżeli nie robię tego, to, wiesz pan dobrze, nie żebym się bawił we wtajemniczenia, i kazał panu płacić sobie drogo za to, lecz żebyś pan zyskał na czasie. Patrz pan tedy dokoła siebie, szukaj, co Przyroda, co tłum, posłuszne instynktowi życiowemu, wypracowały; nigdzie zresztą indziej, więcej niż w Europie, nie znajdziesz kultu Maryi Panny;

co czyni podstawę tego kultu: Zdrowaś Maryja, wyciąg z Ewangelii, litanie, i kilka innych drobiazgów specjalnych na różne święta liturgiczne.

— To prawda, wyznałem: Zdrowaś Maryja zawiera pozdrowienie anielskie i pozdrowienie Elżbiety, które już się znajduje w liturgii św. Jakóba mniejszego, i w Antyfonarzu św. Grzegorza Wielkiego. Baroniusz powiada, że trzecia część pochodzi od Soboru efeskiego z 431 r.; prócz słów: „teraz, i t. d.“, które przypisują Franciszkanom. Modlitwa ta pochodzi, zdaje się, z Aleksandryi; we Francyi została wprowadzoną przez Ludwika Grubego. Zdrowaś Maryja pochodzi tedy istotnie od chrześcijaństwa apostolskiego.

— Jaki z pana erudyta! uśmiechnęła się Stella.

— Erudycya patrologii; ale jaki jest powód istotny, spytałem Andreasa, usunięcia kultu Maryi Panny w protestantyzmie? Dlaczego Cromwell zabronił odmawiania Zdrowaś? Mniemam, że znaczenie jego jest życiowe, jeżeli król mistyków protestanckich, Boehme, znów go odnalazł, pod nazwą Sofii. Prawda, że pastrowie prześladowali go.

— Protestantyzm, odrzekł Andreas, według swego zwyczaju, nigdy nie krytykując, protestantyzm jest wyborny z racji ducha wol-

ności, jaki go ożywia; wysuwa się on naprzód; ale—jest w nim wielkie ale: założyciele jego, uprawiając wolność badania, uprawiali racjonalizm, zaś racjonalizm podkopuje powoli wiarę w boskość Chrystusa. W XVI wieku, wszyscy reformowani mieli to przeświadczenie; dzisiaj, większość z nich, wyćwiczona w egzegezie, zaprzecza tej boskości, widząc w Jezusie człowieka bardziej posuniętego, reformatora społecznego, adepta, ucznia Egipcjan czy Hindusów, a nawet myt. Zaślepienie to obecne zostało przygotowane od trzech wieków, skrycie, przez pewne istoty, drogą nieuznania prawdziwej godności Maryi Panny. To jest jak pańskiej kwestyi, ale dla czego, doktorze, jest nader trudnem do zrozumienia.

Zdziwiłem się, że człowiek tak uczony i tak mądry, jak Andreas, wyznawał zdanie ogólne i pospolite co do Chrystusa i Maryi Panny; ale, podczas gdy Stelia podawała nam herbatę, rzekł mi, odpowiadając na me myśli:

— Nie myśl, doktorze, bym pozwolił sobie utrzymywać tak zwykłe opinie; mówię panu te rzeczy, ponieważ je znam.

Chciałem rzec: Jak znasz pan to? gdzie jest pańskie kryterium? lecz on dodał:

— Wszystko jest żywem, nic nie umiera; zaś Prawda przychodzi do tego, kto szuka jej całą swą istotą.

Piliśmy w milczeniu; i, podawszy mi tytoń, zapytał mnie, czy mogę mu wskazać doktrynę prawowierną Kościoła rzymskiego, dotyczącą Maryi Panny.

— Oto, czego on poucza, odrzekłem. Marya Panna jest pierwszym z tworów, królową aniołów i ludzi, poczęta bez grzechu łaską Wszechmocnego, przez wzgląd na zasługi P. N. J. Ch., i jest zawsze panną. Jest Matką Boga. bowiem Syn Jej jest Bogiem, chociaż boskość swą nie od niej otrzymuje; została wziętą do Nieba i uwieńczoną przez Syna swego, tegoż dnia, na duszy i na ciele. Winna jej być od dawana cześć najświętsza; jest ona drogą, przez którą wszystkie łaski spływają, a przeto i wszystkie modły się wznoszą; Syn jej nie odmawia jej nigdy. Kościół grecki wyznaje tę samą doktrynę.

— Pomnę, rzekła Stella, że czytała o tem książki. Było to w tym czasie, kiedy znalazłam Elifasa Levi'ego, koło roku 1872: nie czyni mnie to młodą; biedny Elifas cierpiał już na puchlinę wodną, lubił wychodzić ze mną; mieszkał na końcu ulicy Sèvres; była to prawie wieś w tym okresie; całe Plaisance było w ogrodach warzywnych; na drodze do Meudon były oberże; chodziło się tam na śniadanie i wino białe; zamawiałam u niego jego Clavicules; kolorował je, ozdabiał literami i obrazkami;

gdy udało mi się dobrze zbyć mu jeden z takich manuskryptów, zapraszał mnie zaraz na rozpoczęcie rulonika ludwików, jak student cygan, gdyż był nim istotnie, choć brodę już miał bielutką. Były to piękne chwile wytchnienia dla mnie! I Stella uśmiechała się wraz z mężem do tych dawnych wspomnień. Potem rzekła: Oto jakżem już stara, że baję! Chciałam rzec panu, że Elifas Levi był diakonem, enfant terrible seminaryum. Ogłosił drukiem dwa tomy: pod nazwiskiem abbé Constant Symon de la Treiche, „Le Mystère de la Vierge“, i pod nazwiskiem abbé Constant, „La Mère de Dieu“; miał wtedy trzydzieści do trzydziestu czterech lat; i użyczył mi tych książek...

— Przepraszam, rzekłem, że przerywam; pani miała manuskrypty Elifasa Levi'ego? Może ma je pani jeszcze?

— Widziałam, że wykaligrafiował coś tużin tych Clavicules, ale nie wiem, co się z tem stało; trzeba panu wiedzieć, dodała, rzucając na Andreasa spojrzenie, pełne ufności i miłości, iż rzeczy te straciły już dawno wszelki pociąg dla mnie. Otóż, w książkach tych Elifas, diakon, streścił doktrynę teologiczną o Matce Boskiej; przytaczał tam św. Bonawenturę, Gałatinusa: stylem bardzo wymownym wykladał to wszystko, co pan nam tylko co powiedziałeś,

opisując Maryę Pannę w jej osobie historycznej, w jej istocie teogonicznej, komentując rozdział VIII Przypowieści, ukazując ją w jej tajemnicy pośredniczki — i, wraz z Maryą d'Agreda, jako Jerozolimę z Apokalipsy, jako małżonkę z Pieśni nad Pieśniami, jako wzór Kościoła.

— To św. Epifaniusz w IV wieku upodabnia pierwszy Maryę Pannę z Małżonką z Pieśni nad Pieśniami; święty Bernard rozwinął to. Marya d'Agreda naśladowała nieco św. Bonawenturę, który napisał o Matce Boskiej Komentarz do Salve Regina, Psalterzyk, Pochwały, Zwierciadło; ten ostatni traktat jest komentarzem do Zdrowaś Marya; Pochwały są wyjaśnieniem przenośni Starego Testamentu: Zdroju rajskiego, Drzewa Życia, Raju, Arki Przymierza, Tęczy, Gołębicy, Drabiny Jakóbowej, Krzaka gorejącego, Naczynia z manną, Tau węza miedzianego, Różdżki Aarona, Gwiazdy Balaama, Świątyni Judyty, Estery i t. d.

— Wszystko to są, istotnie, obrazy Panny Niebieskiej, rzekł Andreas; jeżeli pan ciekaw doktorze, możesz to studyować sobie, tak z punktu widzenia symbolu, jak po dług hieroglifu litery. Pomnij jednak, że nauka, zdobyta jedynie rozumem, obraca się wniwecz.

— Czytałam, przerwała Stella, Gród Mi-

styczny Maryi d'Agredy, ale po hiszpańsku; to bardzo piękna rzecz; podczas gdy przekłady francuskie ciągną się kropla po kropli, jak źródła topolówki. Dominikanka ta śpiewa hymny pochwalne na cześć Maryi Panny...

— Które ci się podobały tylko połowicznie, rzekł Andreas. Masz krew hugenocką w żyłach. To, co mówi Marya d'Agreda, jest słusznem, tylko należałoby wyznaczyć jej wizjom miejsce właściwe; ale mówcie dalej, co pamiętacie, ja wam powiem moje zdanie potem.

— Za to Gród mistyczny, rzekła Stela, jest bardzo użyteczny; okazuje on żywot idealny młodej panny, żony, matki, wskazując, jakby palcem, możność udziału Nieba w sprawach najpospolitszych...

— Znasz pan co jeszcze? zapytał Andreas.

— Nie, odrzekłem; wszyscy się poniekąd powtarzają: święty Ambroży, święty Epifaniusz są pierwsi, którzy wykładają Niepokalane Poczęcie z podwójnego punktu widzenia: grzechu pierwotnego i grzechu obecnego. Święty Bernard, Jakób Sanazar, M. Ollier kopiuja się potrosze wzajemnie.

— A mistycy nie katolicy?

— Znam tylko Boehmego i jego szkołę: Law'a, Gichtela, Pordage'a, Frankenberga. Mówią oni mało o Pannie Maryi. Podług nich, dostarczyła ona materii dla ciała Chrystusa

i jego natury ludzkiej; co do swej duszy, była ona emanacją dziewiczej Sofii, Przyrody-esencji, ale tylko po poczęciu Syna; przez się jest ona tylko kobietą świętą, nie biorącą udziału w przywilejach Bóstwa. — A teraz, dodałem po chwili milczenia, czy mogę pana prosić o powiedzenie nam czegoś?

— Słuchaj, doktorze, pozwól mi nie sądzić teoryj, jakie wyłożyłeś. Powiem wam, całkiem zprosta, moje własne zdanie. Waszą rzeczą porównać to, zważyć, rozstrzygnąć. Macie obowiązek uczynić to: są to rzeczy bardzo ważne. Oto, co rozumiem o tej tajemnicy. Kiedy Słowo przyjęło ciało ziemskie, należało mu, przez dobroć, mieć wzgląd na słabość materii fizycznej. Powiadają, że klinga¹ zużywa pochwę; i jeżeli jest to słusznem dla ludzi, o wiele słuszniej ciało, przeznaczone stać się narzędziem Wszechmocnego, musiało otrzymać hart najczystszy. Trzeba tedy było, by matka fizyczna Chrystusa, narzędzie tego cudu, była pozbawioną skaz materii organicznej zwyczajnej. Jest ona przeto Królową świętych, jak jest Królową aniołów za to, że została czystą, przeszedłszy przez błoto ziemi.

— Zdaje mi się, że ujmuję w tem nową ideę, odrzekłem na nieme zapytanie Andreasa.

— Rzecz tedy nie w tem zgoła, mówił

dalej, czy Marya, jak to poucza Kościół, została stworzoną czystą od pierwszego zetknięcia się z ziemią, na piętnaście lat przed narodzeniem się Słowa, czy też, jak to utrzymują zwolennicy reinkarnacyi, powracała wielokrotnie na ziemię, wiodąc bez upadku życie nieustannie święte i przygotowując w ten sposób bardzo wysoką chwałę swego ostatniego wcielenia.

— Pojmuję teraz, rzekłem, dla czego Boehme nazywa ją „Zbawieniem tego padolu boleści“, a ktoś inny „Strapieniem oczyszczonem“.

— Dlatego tedy, mówił dalej Andreas, zdając się nie słyszeć mnie, jest ona drogą do Chrystusa, bowiem, bez względu na to, jaką pobudujemy sobie teorię, pozostaje fakt, że Matka Boża wypełniła, zawsze, wszystko prawo.

— Wszyscy Ojcowie Kościoła dają jej miano Bramy Niebieskiej, rzekła Stella; Vintras również, dodała.

— Ja myślę, rzekłem, że miana, których jej udzielają w litaniach i w hymnach liturgicznych, są czemś innem, niż pochwałami poetyckimi?

— Oczywiście, odrzekł mi Andreas powstając; wszystko jest słusznem, powtarzam wam, ale na swej płaszczyźnie. Racye tych mian są domyślnie zawarte w Pozdrowieniu anielskiem. Spróbuję wam to zaraz okazać.

I podczas gdy poszedł do swej pracowni, by napisać kartkę zapomnianą, Stella ciągnęła dalej, by tak rzec, jego wykład:

— Trzy oto, patrz pan, mówiła, są części w tej modlitwie: jedna, wypowiedziana przez anioła, jedna przez istotę uprzywilejowaną, Matkę Przesłańca, i jedna, ułożona przez ludzi bogobojnych...

— Otóż każda z tych trzech części dzieli się na dwa zdania, i Amen kończy siódmkę. Tak więc, jest tu liczba siedm, która miała odegrać wielką rolę w jej życiu.

— Jakże to? zapytałem.

— Andreas mówił mi, że w siódmym roku życia miała Ona przeczucie swej misyi, w czternastym roku wyszła za mąż, w sześćdziesiątym trzecim roku otrzymała koronę.

— Widzę, że jest tu cykl planetarny zupełny: Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, to pokłon, Pan z tobą, to promieniowanie boskie; błogosławionaś, to energia pomnażająca się; i błogosławion owoc żywota twojego, Jezus, to serce słoneczne systematu. Święta Maryo, módl się za nami, powołuje słodycz niebieską; w godzinę śmierci, ożywia przewodników, wiodących ludzi zmarłych: Anubis, Hermes, odprowadzający dusze, Yama; Amen, jest

to forma liczby 7, która, według Boehmego, ucieleśnia wszelkie pragnienie, i...

Zjawienie się nagle Andreasa przerwało krótkie moje wyjaśnienie hermetyczne; siadł znowu i począł rozmowę od miejsca, do którego doprowadziła jego żona.

— Liczba siedm jest liczbą, która powtarza się najczęściej na tej ziemi; musi tedy mieć ona ścisły związek z prawem życia ludzkiego; ale to nas nie obchodzi, narazie. Zwróć raczej uwagę na to: to Anioł pozdrawia Maryję; to kobieta sprawiedliwa udziela jej tej sprawiedliwej pochwały; to grzesznicy obierają ją; lub, gdy wolisz, Anioł wskazuje nam, czem jest ona przed obliczem Boga; Elżbieta nam wskazuje jej miejsce w rodzaju ludzkim, podczas gdy trzecia część jest wnioskiem nieprzewyciężonym dwóch innych.

— Zatem polecasz pan kult Matki boskiej, kult czci najświętszej? spytałem.

— Mój kochany doktorze, ja nic nie przepisuję; ci, co czują się natchnieni do składania modłów za pośrednictwem Maryi, nie są w błędzie. Oto, co wiem.

— Wyłóż nam dalszy ciąg, dobrze? zapytała Stella.

— Ave Maria, po łacinie, po francusku, czy w każdym innym języku, ma wykład i znaczenie różne, ale to, zanotuj sobie, doktorze,

tylko w królestwie mowy ludzkiej. W królestwie mowy boskiej ma ono jedno tylko znaczenie; język tego królestwa to Duch, który nas naucza; i należy przygotowywać się do podjęcia Jego lekcyi pracą i czynem. Oto cała tajemnica w swej prostocie. Marya Panna nie była feministką; nie przewodniczyła ona nigdy w łóżach masońskich, nie dawała artykułów do wielkiego dziennika. Była dzieckiem posłusznem; wydana za mąż, jako dziewczę, nie pytana o zdanie; jako żona, zdana na podejrzenie małżonka, na plotki, na trudy domowe; jako matka, skazana na troski najgorsze, zakończone bezmierną boleścią; jako wdowa, pracowita i dobroczynna, troszcząca się nadto o utrzymanie ładu i gospodarstwa apostołów: było to życie szare, zwykłe, anty-intelektualne. Ci przeto, których ona najlepiej wysłucha, to ludzie tego samego rodzaju, ubodzy pracownicy, których żywot nędzny trawi się pomiędzy trudem i troską o pożywienie codzienne: tacy nie robią gematrii, ani mantramów. Gdy się modlą, to krzykiem swego wiernego, starego serca krwawiącego: tacy są całkiem bliscy królestwa Mowy; Niebo słyszy ich łatniej, niż Wtajemniczonych.

— Więc Katarzyna Emmerich ma rację, gdy powiada, że Marya Panna jest wzorem niewiast? zapytała Stella.

— Jest ona wzorem ludzkości. Ale trudno jest mówić o kimś, nie sądząc go; przebaczy mi ona, jeżeli mówię coś niedokładnego, lub coby cię raziło, doktorze.

— Mniemam, że jestem dość rozsądny, rzekłem, by nie odrzucać, czego nie rozumiem. Ale dlaczego, proszę, archanioł Gabriel mianuje ją i obwołuje „łaski pełną“?

— Co do jej imienia, pozwól mi zamilczeć, doktorze; nauka imion jest nauką, której nie jesteśmy w stanie dźwigać; zresztą, ja nie znam jej. Co do tego tytułu: łaski pełna, oznacza on, że w Maryi wszystko zostało odnowionem przez Niebo; wiesz pan o tem, że nie doświadczyła ona cielesnie śmierci. Otóż, poczynając od światła ośrodkowego jej duszy, od cudownych narządów jej ducha aż do cząsteczek najmniejszych jej ciała fizycznego, wszystko w niej było zmytem z plam egoizmu.

— Jakże to? rzekłem.

— Oto jak! Gdy człowiek daje przystęp gniewowi i gdy uderza tego, z kim rozmawia, mięśnie jego ręki, dokonawszy pracy, rozwinęły się, działały one według swego celu; ale ponieważ zamiar, pragnienie, jak mawiał Saint-Martin, które je wprowadziło w ruch, było przewrotne, otrzymały ze swej pracy skutki niecne, które się rozciągnęły na wszystkie ruchy

późniejsze tych samych mięśni. Dla ich oczyszczenia, potrzeba tedy, by Niebo „nawróciło“ wszystkie te włókna mięśniowe, nadmiar trzeba nawrócenia moralnego, które winno ono wywołać. Otóż, jeżeli Marya Panna mówiła mało, jeżeli uprzejmość, prostota, godność jej zachowania się osiągały piękno, to działało się to przez to, że wszelkie zło, jakie wydają słowo zbyteczne, postawa odrażająca, było w niej odjęte i zastąpione przez wdzięk, przez światło, nadane łaską, która zstąpiła z Nieba.

— Rozumiem teraz, Mistrzu, dlaczego Litania mianują ją zwierciadłem Trójcy, tronem mądrości i matką łaski; dlaczego święty Bernard powiada, że jest ona niebem i arką Boga.

— Są jeszcze inne powody do tych mian, doktorze; ale, wierzaj mi, nie zaplątuj się w te spekulacye nadto dalekie. W czem to posunie pana naprzód, jeżeli się dowiesz, w jaki sposób jest ona gwiazdą ponad morzem powszechnem, do jakich ceremonij niewidzialnych stosują się miana bramy kryształowej, komnaty ucztowej, róży mistycznej; w jakim dramacie kosmicznym gra ona rolę wieży Dawidowej, wieży z kości słoniowej, domu złotego? Nie trzeba być zanadto ciekawym; tę lekcję otrzymałem kosztem własnym.

— Nie trzeba tedy uczyć się? rzekłem.

— Nie przerzucaj się w ostateczność; lecz rób rzeczy możliwe, ogranicz swe studia do tego, co dotyczy twego życia obecnego; pole już jest dość rozległe. Naprzykład, by powrócić do przedmiotu, który nas zajmuje, zrozum, że jeżeli Anioł mówi jej: *P a n z t o b ą*, to dlatego, iż widzi ją, jako najpokorniejszą z tworów...

— Czytałam kiedyś w jednym rękopisie jansenistowskim to samo, przerwała Stella.

— Również to i dla tego, że jest ona w istocie, nierozdzielnie związana, przez swą miłość, z Synem swym; że nie tylko za swego życia ziemskiego, wiadomego nam, lecz zawsze i wszędzie jest ona w obcowaniu ustawicznym z Nim, nie przez wysiłek magnetyczny czy myślowy, ale przez skutek swej miłości; ta to właśnie obecność Boga dała jej możność przeniesć tyle cierpień, pokonać tyle prób, materialnych i moralnych. Sądzę, doktorze, żeś jeszcze nie czytał, jak należy Ewangelii?

— Mój Boże, rzekłem, Ewangelia, jak wszystkie Księgi Święte, zawiera kilka znaczeń, które można odkryć za pomocą obliczeń literowych i liczbowych nad słowami, liczbami liter, rozdziałów i wersetów. Ponieważ każdy język ma swą postać hieroglificzną, więc przekłady zwykle są podatne do tych mani-

pulacyj, ale tekst łaciński, grecki i aramejski są jeszcze lepsze...

— Idziesz nadto szybko, doktorze, przerwał Andreas. By takie studia dały rezultaty prawdziwe, potrzebaby co najmniej, byś pan posiadał naukę liczb i naukę liter: otóż, nikt, rozumiesz pan, nikt, nawet z pośród najbardziej sławnych, nie zna więcej nad pierwszą literę alfabetu tych nauk: widzisz więc, jaką pewność mogą mieć operacye teozoficzne, przekładania, kwadraty magiczne i t. d.?

Ponieważ nic nie odpowiedziałem, całkiem stropiony, więc Andreas mówił dalej:

— Ewangelia tedy nie ma wielu znaczeń, tak, jak wy, okultyści, rozumiecie to wyrażenie. Różne znaczenia ksiąg świętych są jak nowe zdania, które ukazywałyby się dziś w tekście kryptograficznym, czytany za pomocą różnych kluczy. Ewangelia jest zawsze jedna, zawsze ośrodkowa. Czytelnik postrzega w niej ośrodek płaszczyzny, na której rozwija się jego życie duchowe; znaczenie mowy Słowa ukazuje się nam tedy mniej lub więcej wysokiem, lub głębokiem, lub powszechnem, według tego, jak sami jesteśmy mniej lub więcej oddaleni od ośrodka prawdziwego. Rozumiesz więc teraz, doktorze, że każdy wyraz tej księgi jest absolutny?

— To prawda, rzekła Stella; gdyś nieco

znużona, mówię: jestem strasznie zmęczona. Nie jest to ścisłem; używamy wciąż określeń przesadnych, dziwacznych w stosunku do drobnostek. Ewangelia daje każdemu uczuciu, każdej idei, każdemu zdarzeniu wyraz dokładny; to właśnie pisarze nazywają jej prostotą.

Gdy potwierdzałem skinieniem głowy, zdumiony, że nigdy nie myślał o rzeczach tak oczywistych, Andreas mówił dalej:

— Anioł pozdrawia ją; jest to grzeczność. Czy wiesz pan, co to jest grzeczność, a raczej czem powinna być ona?

— Jest to, odrzekłem, śmiejąc się, pytać z udaną sympatją „piłę“ o zdrowie.

— Otóż, rzekł poważnie Andreas, jeżeli ktoś pana nudzi i pan go nie lubisz, grzeczność pańska jest kłamstwem; pochodzi ona z ciemności i zradza ciemności; nie jest to, oczywiście, wielka rzecz, ale jeżeli nie czynimy małych rzeczy, jakżeż będziemy mogli przedsięwziąć duże? Pozdrowienie Gabryela jest tedy ożywione uczuciem szczerem. Jakież są własności aniołów? Posłuszeństwo, niewinność. Bez tego nie byliby oni aniołami. Gabryel pozdrawia ją, bowiem uznaje w tej kobiecie czystość i posłuszeństwo większe, niż w sobie. W rzeczy samej, duch Maryi, przychodząc na

ten świat, był czysty, i ona zachowała się w czystości przez całe życie.

— Przypuszczasz pan zatem Niepokalane Poczęcie?

— Posłuchaj, doktorze! Jeżeli kobieta chora ma dziecko, czy będzie ono zdrowem? Jeżeli charakter, usposobienie, umysłowość, natura ludzka, jednym słowem, Chrystusa były doskonale, to ta, która była pracownią tego dyamentu, czy mogła być choćby w najmniejszym stopniu skażona?

— A co mają znaczyć słowa: łaskiś pełna? Nie dotyczy to, oczywiście, piękności fizycznej?

— Dlaczegoż by nie? doktorze. Najświętsza Panna była bardzo piękna, ale nie w pospolitem znaczeniu wyrazu, lecz tak, jak chyba bardzo rzadcy artyści rozumieją. Intensywność życia wewnętrznego rzeźbiła jej lice, było ono nadzwyczaj ruchliwe; a ponieważ, cokolwiek czyniła, czyniła z całego serca, więc postać jej wyrażała, przy każdej jej czynności, typ idealny władzy, której używała. Nie wiem, czy mówię dość zrozumiale?

— Zdaje mi się, że tak: gdy, na przykład, modliła się, byłaby dla artysty wcieleniem żywym Modlitwy; gdy dawała jałmużnę, wcieleniem Miłosierdzia, i t. d.?

— To właśnie chciałem powiedzieć, doktorze. Jest jeszcze coś innego. To, co Kościół nazywa łaską, jest to siła, którą Niebo zsyła nam darmo, nawet kiedy mniemamy, żeśmy zasłużyli sobie na nią dobrym uczynkiem; dla pana, doktorze, łaska jest czynnością, za pomocą której Niebo zastępuje w nas komórkę fizyczną, umysłową, astralną, jakiegokolwiek bądź rodzaju, chorą komórką czystą, pochodzącą z jego Skarbca. Otóż, u Maryi Panny, wszystkie organizmy widzialne i niewidzialne były w ten sposób odnowione; pozostawała w niej, by tak rzec, tylko osnowa pracy Przyrody.

— Zdaje mi się, że czytałem coś w tym rodzaju u Henryka Madathanusa.

— To może być, doktorze, pierwsi Różo-Krzyżowcy kochali Maryę Pannę, chociaż byli protestantami.

— A czy nie ma również, zapytałem, stosunku pomiędzy łaskami, jakie ona otrzymała i dziewięcioma chórami Aniołów?

— Jest, istotnie, z punktu widzenia katolickiego; mówi o nim św. Bonawentura; ale, powtarzam ci, doktorze, jest to szczegół, i na-
zbyt to jeszcze trudne dla nas.

— I nic mi pan nie rzekłeś o imieniu samem Maryi.

— Ach, doktorze! znasz pan równie dobrze, jak ja, wszystkie objaśnienia mistyczno-

hebrajskie, jakie to imię zrodziło. Nie chcę, byś pan tracił czas; wierząc mi, za kilka wieków zobaczymy to ponownie.

— Jeżeli tylko, rzekłem, Opatrzność zechce okazać mi te względy, bym spotkał wtedy pana.

— Masz tobie! zawołał, śmiejąc się zlekka; a to były by piękne względy! Warte słów! Nie należy mieć takich myśli, doktorze!

— O! zawołała łagodnie Stella tonem wymówki, poco to mówisz, robisz mi przykrość! Lecz on, powstawszy, objął ją ramieniem.

— A więc, doktorze! rzekł poważnie, przyrzekam, ponieważ chcesz mi towarzyszyć, iż będę prosił Niebo, by dało panu, lub raczej by dało nam siłę spełnienia jego woli. To najpewniejszy ze środków, jakie znam, pozostania razem, na zawsze.

Powstałem również; powietrze, zda się, lżejsze wypełniło komnatę; smak wiosny rozszerzał mą istotę; nie myślałem już; wypo-
czywałem, jak w kąpielu światła odmładzającego; nie pierwszy to raz wrażenia podobne, zawsze również niespodziane, ogarniały mnie; ich czystość, ich siła przechodziły o wiele to wszystko, com mógł wyobrazić sobie przy czytaniu zwierzeń ekstazyków. I nie ja jeden kosztowałem uroków tych skutków niewysłownych. Zawsze, po jednej z takich zbyt krótkich chwil

rajskich, postrzegałem, że, bez najmniejszego wysiłku z mej strony, zdobywałem rodzaj czaru, wywierałem pociąg nie do opisania na innych; pacyenci moi, wychodząc odemnie, oświadczali, że czują się znacznie lepiej, że czują ukojenie fizyczne i moralne, którego przyczyny nie mogli sobie, również jak ja, wytłomaczyć.

Po malej przerwie, Andreas począł znów palić, i ciągnął dalej swój wykład:

— Błogosławieństwo, jakie Anioł Gabryel wyznaje Maryi Pannie, jest to wybraństwo szczególne, którego ona była przedmiotem. Była ona pierwszym stworzeniem, na którym spełniła się tajemnica, jaką Kościół nazywa zrodzeniem wewnętrznym Chrystusa. Jest ona wzorem doskonałym istoty posłusznej, kornej i miłującej. Kobieta, w istocie, lub lepiej jeszcze wszystka strona żeńska wszechświata żyje zgodniej z Prawem, niż męzka; lecz żywot Maryi Panny był zawsze, we wszystkim, całkowicie z niem zgodny. Tak że, właściwie mówiąc, winniśmy oddawać się nie tyle naśladowaniu Jezusa-Chrystusa: wzór to dla nas poniekąd za doskonały, lecz naśladowaniu Matki Jego.

Otworzyłem usta, by zapytać o rację wyniesienia tak wyjątkowego, lecz Andreas uprzedził mnie:

— Zresztą, rzekł, z tego wszystkiego, co panu mówię, nie ukrywaj pan tego przed sa-

mym sobą, są to tylko rzeczy przybliżone. Chrystus i Matka Boska są tajemnicami; ich postawa przekracza nasz intelekt. Tajemnica ich jest tajemnicą samego stworzenia; mogliśmy je poznać jedynie, wiedząc, dlaczego jest Życie; może kiedyś Słowo się odsłoni; lecz nigdy nie będziemy godni tego daru, a gdy go otrzymamy, będzie on zawsze dla nas łaską darowaną.

— Błogosławieństwo tedy Jezusa, które ślawi Elżbieta, jest wdzięcznością i miłością tych, których on zbawia.

— Poprostu tak, doktorze. Nadomiar, o tej rzeczy tak prostej mało osób myśli. Ludzie pobożni, lub uchodzący za takich, umieją prosić, gdy im czegoś potrzeba, ale prawie zawsze zapominają dziękować; potrzeba to czynić, nie żeby Niebo urażało się naszą niegrzecznością, lecz iż wdzięczność nasza, choćby najnieznaczniejsza, jest miłą w oczach jego, i daje dobry przykład istotom, których wychowywanie jest naszym posłannictwem.

— Co do trzeciej części *Zdrowaś Marya*, rzekłem, zdaje mi się ona całkiem jasną: świętość Maryi Panny wyprowadza się z tytułów, jakie jej dał anioł Gabryel; rola ta atoli orędowniczką, jaką się jej przypisuje, czy jest rzeczywistą?

— Tak jest, doktorze. Wiesz o tem, że

wszystko, co przechodzi przez tę ziemię, pozostawia tu ślad. Ponieważ Marya Panna żyła tu i pierwiastki ciała jej pochodzą z materii fizycznej, smuga świetlista, jaką spowodowało jej odejście, może się łatwiej odnaleźć dla nas niż, na przykład, ślad jej Syna, którego ciało fizyczne było obce naszej planecie.

— Tryada druidyczna powiada coś analogicznego o ciele Słowa.

— Było to przecucie odległe, odparł Andreas, lecz pomówimy o tem innym razem.

— Tak jest, odrzekłem, godzina późna, istotnie; zanim odejdę, ostatnie pytanie. Dlaczego Tercyarze dodali do „Módl się za nami, grzesznemi“ „teraz i w godzinę śmierci naszej“?

— Nie znasz pan, doktorze, swego *ja* istotnego. Pole obecne naszej świadomości jest bardzo zwężone, obejmuje ono jedynie mały zakątek naszej istoty. Gdy tedy modlimy się, nasze ciało fizyczne uczestniczy w naszym akcie; duch tych komórek materialnych wychodzi, by tak rzec, i idzie tu i tam szukać światła, jak pies, gdy tropi po polu, jak somnambuliczka, szukająca przedmiotu zgubionego. Duch nasz znajdzie szybciej ślad światła, które wyłoniło się niegdyś z ciała fizycznego, podobnego do naszego. Modlitwa tedy do Maryi Panny jest łatwiej wysłuchaną.

— Ale, „w godzinę śmierci“? zapytała Stella.

— Wiecie przecież, że po śmierci jest sąd indywidualny. W trybunale tym, sprawiedliwość reprezentują duchy opiekuńcze, których zadaniem było strzedz nas, pomagać nam i kierować nami: jeżeliśmy nie spożytkowali ich posług, powiadają to. Ale Niebo wdaje się zawsze, by złagodzić nasze winy i wytłumaczyć nasze zaniedbania. Otóż, forma Nieba, promień Absolutu najbliższy Ziemi, to Marya Panna; dla tego religia poleca ją nam, jako pomocną dla konających.

Podziękowałem moim gospodarstwu i pożegnałem ich, turkot bowiem wozów z mleczywem, zjeżdżających z Montfermeil do Paryża, zwiastował zbliżanie się ranka; i wracałem powoli do domu, o świcie barwy popiołu, przez ulice błyszczące od deszczu, na których poruszały się tu i owdzie sylwetki stróżów, zamiatających ulice.

XXXV

Nadszedł rok, w którym polityka europejska poplątała się strasznie. Jeden z mych przyjaciół, *attaché* w pewnym biurze Spraw Zagranicznych, zapewnił mnie, że komplikacje te zostały wywołane przez małżonkę pewnego

słynnego bankiera na korzyść awanturника kosmopolitycznego, jej kochanka. Ów awanturnik potrzebował olbrzymich sum pieniężnych, by uczynić mu zadość, niewiasta ta uknuła całą intrygę z metresą jednego z panujących; i z tego doszło, po kilku kampaniach prasowych, do takiego zdenerwowania opinii publicznej, że Izby trzech państw uchwałyły jednocześnie kredyty na obronę narodową. Wielki bank mógł w ten sposób zrealizować setki milionów zysków, zaś awanturnik miał pieniądze. Wojna atoli poczęła wisieć na włosku.

Andreas potwierdził mi słusność tego opowiadania.

— Wielkie katastrofy historyczne, musiały pan to postrzedz, miały nie mniej błahę powody. Należy tedy przywiązywać do tego wagę, jeżeli ma się możność działać z pożytkiem. My, Francuzi, bardziej, niż kto inny, mamy prawo i obowiązek kochania naszej ojczyzny całą mocą i całym poświęceniem. Jeżeli pojmujesz, doktorze, nieco sprawy Świata Niewidzialnego, to czujesz, ile światła i piękna szlachetnego otrzymała Europa od Francji, pomimo wszystkich szaleństw jej synów i wszystkich wybryków jej książąt. Żaden naród tak, jak my, nie natchnął młodszych narodów swym zapałem. Ale również w sprawach żadnego narodu Niebo nie brało bezpośredniego

udziału, niż w naszych. Należy tedy, byśmy kochali Francję, i iż jetseśmy jej dziećmi, i iż jesteśmy dziećmi Nieba.

— Tak jest, Mistrzu, odrzekłem; ale jaki związek ma to, co pan mówisz, z historią alkowy, którą słyszał przed chwilą.

— A więc dobrze, mój doktorze, mówmy o medycynie. Jeżeli tong-seng z Annamu ustala swe dyagnozy na stosunkach ciałek krwi czerwonych do światła życiowego, do światła umysłowego i do woli; jeżeli spagirysta poszukuje dla tego samego przedmiotu stosunków soli, merkuryusza i oleju siarkowego; jeżeli Van Helmont analizuje natężenia archeuszów; jeżeli poszukują dzisiaj fermentów mikrobowych; jeżeli magnetyzer dysekuje fluidy; jeżeli spirytysta doszukuje się jestestw niewidzialnych, nie dowodzi to, by jedni czy drudzy byli całkiem w błędzie, lub całkiem mieli słusność, gdyż każdy z nich sądzi ze swego punktu widzenia; dowodzi to tylko, że zjawisko fizyczne jest ostatniem ogniwnem bardzo długiego łańcucha. Dowodzi to, że rzeczony zjawisko powstaje przez złączenie szeregu przyczyn niematerialnych; dowodzi to wreszcie, że wszelkie zjawisko rozwija się z zarodka niepochwytnego...

Tu Andreas opróżnił starannie swą fajkę.

— ...I będziesz mógł postrzedz to właśnie,

że prawie zawsze istota ludzka jest ziemią, na której rosną wszystkie te ziarna.

— Zatem, zapytałem, w przypadku, który nas zajmuje?..

— Ależ to całkiem proste. Niewdzięczność, wiesz to, jest udziałem nie tylko ludzi; indywidualności, które wielomówny Elifas Lévi nazywa egregorami, mają tę samą wadę; eggregory innych narodów nie czują wcale wdzięczności dla eggregoru naszego kraju; przeciwnie, chciałyby one ujarzmić i zabić go, by się wzbogacić jego spuścizną; i Przeciwnik, który czycha na wszystkie sposobności zaczepki, popiera je z całej siły. W trzech osobach, o których mówiliśmy przed chwilą, znalazły one teren doskonały do uprawy; wszystko troje nie ma ani ojczyzny, ani religii; bogiem ich — oni sami; istoty więc niewidzialne wysiłą się, żeby wyzyskać na swą korzyść namiętności egoistyczne trojga tych istot, dzierżących w ręku najpotężniejsze sprężyny życia społecznego, a to aby powalić naszą ojczyznę.

— Poczynam pojmować, rzekłem; ale, jeżeli nie jestem niedyskretnym, zamierzasz pan chyba przeciwdziałać temu sprzysiężeniu.

— Najoczywiściej, doktorze; nie jest li to moim obowiązkiem, jeżeli Opatrzność daje mi do tego środki?

Począłem się zżywać z Andreasem; ale

charakter fantastyczny tych poglądów, formułowanych spokojnie przez człowieka, który, tego wieczoru, wyglądał snadnie na pocziwego przedsiębiorcę, wycofanego z interesu, wzbu-
dzał we mnie trochę niedowierzania.

— Możesz mi pan ofiarować trzy lub cztery dni? zapytał.

— Kiedy trzeba będzie wyruszyć?

— Jutro wieczorem, o piątej, z dworca Północnego.

— Zgoda! urządzę me wizyty, część odbędzie jutro, część odłożę do przyszłego tygodnia.

Nazajutrz, zastałem już Andreasa na dworcu.

— Muszę pana przeprosić, rzekł mi, żem wziął bilety do trzeciej klasy: niewygodnie tam, ale jedziemy tylko do Compiègne, i sądzę, że zasięgnę w pociągu języka.

Odrzekłem, czego wymagała grzeczność, i ruszyliśmy na peron; Andreas, według swego zwyczaju, przeszedł wzdłuż całego pociągu, zbadał lokomotywę, rozmawiał z maszynistami, i wybrał wreszcie przedział pusty; potem wsiedli do niego wieśniaczka z małym chłopcem, a potem jakiś mężczyzna otyły ze swą wnuczką i walizkami.

Ruszyliśmy; padał deszcz; mężczyzna i Andreas świadczyli sobie grzeczności; rozmawia-

no o złej pogodzie, o lichych zbiorach, o lichwiarzach zbożowych, o źle rozłożonych podatkach. Człowiek ten był handlarzem wina z Epinettes. Odwoził swą małą do krewnego, rolnika. Okazało się, że miał rodzinę w Compiègne.

— Wybraliśmy się, rzekł Andreas, by się powalęsać kilka dni po lasach; są tam, zdaje się, stare kościoły, starożytności rzymskie.

— Owszem, rzekł kupiec, jest tam jeszcze w Compiègne stara wieża w domu mojej krewnej, prawie na brzegach Oise'y; można tam iść obejrzeć, jeżeli pan życzy sobie.

— Zgoda, rzekł Andreas, i będziemy obiadowali razem; jest to wieża, gdzie Joanna d'Arc odbyła pierwszą stacyę swej drogi krzyżowej, dodał, jako powiadomienie dla mnie.

— Ja nie mogę zgoła, rzekł handlarz win, z powodu małej; [mamy dwie mile] drogi do mego krewnego, przybylibyśmy zbyt późno.

Ale Andreas przekonał go do przyjęcia obiadu. Minęliśmy Chantilly z jego białymi rogatkami, z czystymi trawnikami i wygodnymi domami, Coye i jego fabryki, wielkie pola, poprzerzynane łąkami, miłe widnokręgi Ile-de-France'u, Oise'ę szarą i spokojną, i dojechaliśmy do miejsca.

Obiadowali w hotelu pod Dzwonnica; kuchnia smaczna, towarzystwo uprzejme, wi-

no rzeźkie; zaproszony przez nas kupiec, zachwycony, mówił dużo; odnawiał znajomości ze starymi kolegami; Andreas zapraszał wszystkich, częstował cygarami, żartował, nie zaniedbując sposobności udzielenia rady lub recepty.

— Widzisz pan, rzekł do mnie na stronie, sprzyja nam los; gdybyśmy byli pojechali drugą klasą, nie spotkalibyśmy tego człowieka, który był przez dwadzieścia lat posługaczem w banku izraelity, o którym mówiliśmy wczoraj wieczorem; udziela mi on wiadomości, nie domyślając się sam tego.

— Nie pojmuję zgoła, co może mieć wspólnego stara wieża z sytuacją polityczną europejską, rzekłem; ale przyzwyczaił mnie już pan do pomysłów niepojętych; nieć jakaś wiotka wiąże może tego bankiera, tego tenora, dwie te kobiety, politykę, bohaterkę z Vaucouleurs, i miejsca, do których robimy wycieczkę.

— Czterysta ośmdziesiąt i jeden rok temu, prawie co do dnia, Joanna d'Arc była zamkniętą w więzieniu tam, gdzie my się udamy za chwilę... odrzekł Andreas.

Nie wiele więcej zrozumiałem z tego, ale nie pytałem więcej.

Po obiedzie, Andreas znalazł sposobność, by pożegnać handlarza win, obiecując mu, że go rychło odwiedzi.

— Czy rozumiesz, rzekł do mnie, potrzeba było, bym zobaczył, czy Joanna d'Arc była rzeczywiście więzioną w tej wieży. Potrzeba było, bym miał obok siebie kogoś tutejszego, zaś człowiek ten jest tutejszym, nawet o wiele dawniej, niż sam się domyśla. Teraz potrzeba, byśmy byli sami w tej wieży.

Powróciliśmy do miasta: było koło jedenastej; i skierowaliśmy się do domu, który nam wskazał towarzysz podróży, gdyśmy przechodzili.

Kiedy Andreas otworzył tam drzwi, zaszczekał pies; lecz on gwizdnął zlekka na niego; i kiedyśmy weszli, [stróż ten, urzeczony, jak mniemam, począł nam okazywać tysiączne karesy.

— Trzymaj go przy sobie, rzekł mi; ukryj się za temi beczkami; nie śpij; nie ruszaj się pod żadnym pozorem, cokolwiekbyś zobaczył, czy usłyszał; nie pał; zresztą, niema niebezpieczeństwa.

Andreas wszedł na wieżę, potem znów wszystko zamilkło; zegary, zaprząg wozu furmańskiego, gwizdnięcie pociągu pospiesznego mąciły jedynie pokój nocny. Od czasu do czasu, senność spadała mi na oczy, jak uderzenie maczugi; wstrząsałem się wtedy, przyrzekłem bowiem, że nie będę spał; tak przeszło pół godziny.

Pies wyciągnął się pomiędzy memi nogami; naraz uczulem, że drży; szukając dokoła siebie powodu jego przestachu, nie ujrzałem już ani domu, ani kurnika, ani szopy; z gruntu wznosiły się stare mury kamienne; pochodnie w futerałach były przytwierdzone do portalów; osobistości przychodziły i obchodziły, w ubraniach XV wieku, duchowieństwo, rycerze, gawiedź dworska; mówiono językiem trudnym do zrozumienia; odróżniłem zanucenia burgundzkie i wyrazy angielskie. Zrozumiałem; Andreas powtórzył, w trudniejszej jeszcze formie, słynną wieczerzę zmarłych Cagliostro; człowiek ten odwrócił koło czasu; powróciliśmy czterysta pięćdziesiąt lat wstecz; bez ceremoniału, bez przygotowań, bez pomocy, jednym skinieniem potężnem woli osiągnął wywołanie Joanny d'Arc.

W rzeczy samej, w kilka chwil później, widzenie się zmieniło, i w sali sklepionej ujrzałem Andreasa, rozmawiającego stojąc z młodą kobietą, odzianą w kostyum, jaki wszyscy malarze przypisują bohaterce. Nie było to jednak widzenie, bowiem czulem pod ręką chłód muru, słyszałem głosy rozmawiających i brałem sam nawet udział w rozmowie.

W godzinę potem wszystko zniknęło. Domek, podwórze, pies, wszystko znów było na miejscu. Lecz pierwszym słowem Andreasa

było zażądanie odemnie przyrzeczenia, iż zachowam w tajemnicy to wszystko, com słyszał i to wszystko, co jeszcze usłyszę lub zobaczę jutro i pojutrze.

Nie można było marzyć o wyszukiwaniu hotelu w małej miejscinie o drugiej godzinie w nocy. Weszliśmy do lasu ścieżynami i znaleźliśmy jakie takie miejsce spoczynku w opuszczonej kopalni, którą Andreas potrafił odkryć.

Rankiem znaleźliśmy dosyć prędko oberżę, gdzieśmy zjedli śniadanie. Andreas wdał się w rozmowę z rzadkimi gośćmi: gajowym, nauczycielem i włościaninem; i w końcu zrozumiałem, iż poszukuje on wskazówek co do miejsca ruin zamku, o którym nie wspomina żaden książkowy przewodnik.

Wyszedłszy z oberży, po zaopatrzeniu się w zapas zapalek, zrobiliśmy kilka umyślnych zboczeń, t. zw. kluczyków, jak lud tam mówi, by zmylić ślad dla ciekawych, i rozpoczęliśmy poszukiwania. Udaliśmy się do przeorstwa cystersów w Saint-Jean-aux Bois, do klasztoru benedyktynów w Renardière, wszystko bez skutku. Nazajutrz zwiedziliśmy Pierrefonds; lecz Andreas oświadczył, że tam było za wiele ludzi. Trzeciego dnia dopiero wyszliśmy z Chemin des Plaideurs. Andreas zrobił mi nadzieję rychłego dotarcia do celu. Duża płaszczyzna kolistą, mająca koło kilometra długości, wy-

sadzona staremi prostemi jesionami, wysokimi i milczącymi, rozłożyła się przed nami, przy ujściu drogi stromej; ziemia, usłana opadniętymi liśćmi wilgotnemi, tłumila szmer naszych kroków; rzadki frazes wilgi, ukrytej w dali pod poszyciem wysokich drzew, krzyk gniewny sojki, przelatującej śród środkowych gałęzi pozew sroki, usadowionej na młodych gałązkach, podkreślały chwilami ciszę. Zapach swojski grzybów zlewał się z zapachem wzmacniającym drzew, nabrzmiąłych sokiem. Poprzez kolumnadę wielkich pni drzew gładkich, błękit nieba przeświecał i promienie niskie słońca zmierzchowego tryskały, jak dziury złote w rękach aniołów wojowników.

— Oto, rzekł Andreas, zbór starców narodu leśnego; mądrzejsi od ludzi, mówią oni mało; widzieli oni przez tak długi szereg lat, jak karłowie tam w dole, u ich nóg, powstają i znikają; są oni przychylni dla słabych tworów; jak to się zdarza owemu Sannyasi'emu w trudzie zbawiania się, gdy zasiądzie tam w dżungli brzęczącej, ptaki budują gniazda w ich włosach splątanych; dostarczają małościom pożywienia, dachu. Zanurzony w wielką duszę gościnną ziemi rodzimej, duch ich rozmyśla; widzi, jak toczy się koło pokoleń; dni za dniami; śniegi po latach, wichury po zefirach, narody za narodami, wszystko to krąży do-

okoła nich; znają oni prawo; wiedzą, że wszystko jest posłusznem wielkiemu bogu, czasowi, temu czasowi, który wyprowadził je z nasionka nędznego, który je wyhodował i który, o godzinie zapisanej w jego księdze tajemnej, przyśle fatalnie drwala zabójcę.

Było południe; las cały odpoczywał; nagle Andreas zatrzymał mnie; odróżnił on ruch niezwykle o trzysta kroków we wrębie; spostrzegłem i ja coś, co się poruszyło.

— Jest to jeleni z dwiema łaniami, szepnął mi; wracają od picia, bo jeleni w tyle, albo może jakaś obawa wypłoszyła ich z legowiska; chodźmy więc tam, zkad one idą; znajdziemy wodę, lub co innego.

I, istotnie, w kilka minut później, przysliśmy nad mały strumyczek, który się rozszerzał w sadzawkę, by przyjąć potem bieg kapryśny.

— Czy spostrzegasz trochę kosaćca (iryków)? zapytał mnie mój mistrz.

— Owszem, o, tu na lewo.

— Mam tedy antydotum.

I w dwie minuty potem dał mi do schowania w mojej torbie kilka garści aronku, który wyrwał był z korzeniami.

— Teraz, rzekł, trzeba znaleźć ruiny; nie nie widać w tym podlesiu; trzeba znaleźć wzniesienie, z którego obejmowałoby się widok; kierujmy się ku drodze luźnej.

I skręcił na lewo, stąpając zwolna, badając drzewa z uwagą, uderzając grunt laską, podnosząc od czasu do czasu trochę ziemi.

— Szukamy, widzisz, zarośli i węzów; grunt przeto ma być suchy, piaszczysty albo skalisty, — krzewy, trawa ostra, może jałowiec, dąb, brzoza. O, widzisz, niewątpliwie tam za tą polanką paproci. Zresztą, zdaje mi się, że widzę lufę fuzji błyszczącą przed nami...; i przyspieszył kroku.

W rzeczy samej, nieco dalej, na ścieżce, która się krzyżowała z naszą, wyłonił się gajowy; Andreas, odpowiadając na jego ukłon, rzekł mu:

— Czyś widział pan jelenia, tylko co koło ruczaju?

— Nie, odrzekł stróż.

— Szedł od małej sadzawki, kierując się na lewo; miał ze sobą dwie łanie.

— O! to musiał on tu przybyć zdaleka, rzekł stróż; jakiś kłusownik musiał go tego ranka wypłoszyć.

Andreas zszedł ze ścieżki, wciąż rozmawiając; cofnął się kilka kroków, idąc tyłem, i potknął się, jakgdyby nieumyślnie, o kilka wiązek gałęzi, schnących na skraju ścieżki. Odzyskując równowagę nóg, zawołał:

— O, patrzcie, żmija, wskazując na chrust.

— O, ba! rzekł gajowy; zwykle, nie za-

chodzą one aż tutaj; jest ich tam cała kolonia na pochyłości, o kilometr ztąd; nie można widzieć tego miejsca z powodu gąszcza; ale jest tam wielki obwód kamienisty, cały w zaroślach; były to kopalnie kamieni dawniejszymi czasy; ale ja nie chodzę nigdy tamtędy.

— Ani tem bardziej my. I Andreas siadł, poczęstował stróża tytoniem i, zapaliwszy również fajkę, zapytał o drogę do Compiègne. Pogawędziliśmy jeszcze trochę, i gajowy, dotknąwszy palcem kepi, pożegnał nas.

— Teraz, kolej na nas obojga, rzekł Andreas, zacierając ręce; chodźmy aż do tych gąszczów.

Gdyśmy tam przyszli, Andreas wziął pęk traw, które zerwał na brzegu ruczaju, dał mi połowę i, włożywszy dół spodni w obuwie, obwiązał dokoła kostki wieńcem z tych traw, nieco je uprzednio ścisnąwszy.

— W ten sposób, rzekł, żadna żmija nie ukąsi nas. Stąpajmy jednak ostrożnie; tam, zresztą, nie będzie można iść szybko.

Znaleźliśmy się, istotnie, w takim splątaniu pokrzyw, głogów, akacyj, cierni i ostów, że zdało się z każdym krokiem niemożliwością postąpić dalej. Żmije różnych wielkości pomykały bez przerwy; słońce ciężkie i gorąco bijące z ziemi przytłaczało mnie; zaś wielkie drzewa milczące wyglądały, jak bataliony

z lancami nieruchomymi, podpatrujące nas niezliczonemi oczyma.

Postać tęga Andreasa stąpała tam i z powrotem, w tej gęstwie, torując sobie drogę bez szmeru; ja zaś szedłem za nim, cały obłany potem; naraz wydał okrzyk głuchy; teren gwałtownie szedł stromo w dół; a po drugiej stronie wąwozu zobaczyliśmy ruiny, całe okryte zielonością.

— Idźmy dalej, rzekł, zamiast schodzić na dół; muszą tu być szczątki galeryi podziemnej. Straciliśmy trzy kwadransy, żeby obejść teren dokoła, i, wróciwszy prawie do tego samego miejsca, odkryliśmy resztki filarów mostu zwodzonego; trzeba było schodzić po kamieniach rozłączonych, potem wchodzić na nowo, płosząc nieskończoną ilość jaszczurek. Usiadłem; Andreas począł obcinać suche gałęzie i zrobił z nich kilka pęków.

— To nam posłuży na pochodnie, objaśnił.

— Chcesz pan tedy zejść do piwnic? zapytałem z pewną obawą.

— Ależ oczywiście! a nawet, jeżeli mam wierzyć zapachowi, który opływa dokoła, odkryjemy tam coś bardzo rzadkiego. Ale trzymaj się dobrze, doktorze. Chodźmy szukać schodów. Idź za mną.

Pozostawały tu ściany olbrzymich murów, które tak dobrze były przysypane ziemią, tak

dobrze okryte pnąciami się roślinami, tak osłonięte starymi drzewami, iż trzeba było je dotykać, żeby je zobaczyć. Była tu całkiem rzadka fauna i niespodziewana flora. Ogromne koleoptery (owady pochewkowate); wielkie gniazda os; pszczoły, które się stały dzikimi; napierstniki ogromne; łąki paproci wzrostu człowieka; ostromlecze; kilka dębów, mających na sobie jemiolę.

— To rzadkość, rzekł mi Andreas, we Francji; jemiola jest już tylko w Menez, w Bretanii; i wieśniacy strzegą ją z zazartą troskliwością.

Zanadto baczyłem, gdzie postawić nogę, bym mógł podtrzymywać rozmowę; on jednak krążył tu i tam bez widocznego zmęczenia, jakgdyby się przechadzał po Tuilleries'ach.

— Oto podwórzec; tu studnia, w kierunku której nie będziemy szli; a wieżyca zamku powinna być nie pośrodku, lecz naprzeciwnie, na obwodzie; a tedy oto musiano schodzić do więzienia; zobaczmy. Na połowie drogi schodów, Andreas wszedł do ciasnego korytarzyka, urządnego w grubym murze; doszliśmy do kaplicy podziemnej, gdzieśmy spoczęli.

Tu nastąpiła scena, podobna do sceny z dnia poprzedniego, lecz znacznie dramatyczniejsza. Nic więcej nie mogę o tem powie-

zieć. Wolno mi tylko dodać, że, w kilka lat potem, Europa wstąpiła w najstraszniejszy cyklon, jakiego ludy jej dotąd nie zaznały.

XXXVI

Ostatnie wypadki, które tu opowiedziałem, wywarły na mnie wrażenie ostateczne, którego, z powodu niezręczności mego opowiadania, czytelnik nie będzie podzielał zapewne. Rzuciłem się z zapalem na „wąską ścieżkę“, którą, jak mi się zdawało, postrzegłem teraz dobrze. Ale też nie omieszkalem zebrać owoców mego niedoświadczenia. Chciałem skontrolować na faktach prawdę doktryn Andreasa. Leczyłem chorych bezpłatnie; oddawałem im pieniądze i czas; spędzałem u nich noce; znosiłem kaprysy mych przyjaciół, odjąłem sobie przyjemności sztuki i literatury, sprzedałem swe książki. Poczęto wtedy drwić trochę ze mnie; potem litowano się nad słabością mego charakteru; porady korzystne stawały się rzadsze; korespondenci moi, ponieważ nie schlebiałem już teraz ich maniom magizmu, wróżbowania i zjawów, uważali mnie za tchórzliwego; dobre me imię w kołach „iluminizmu“ zmniejszyło się; wypadki ciężkie, których nie zdołałem uleczyć, zrodziły znów

we mnie wątpliwości, które, stopniowo się powiększając, doprowadziły do czarnej rozpacz.

Powoli opuściła mnie odwaga; wszystko się stało dla mnie niesmacznem i nużącym; brałem leki, żeby mózg zasnąć, żeby już nie myśleć; wstrętem było dla mnie wychodzenie z domu, pozostawanie było męką; czytanie nudziło mnie; nieledwie zmuszałem siebie do pokarmu.

Po upływie trzech miesięcy tej melancholii, kiedyś zrezygnował się oczekiwać końca bez uczynienia już żadnego z mej strony ruchu, gdy mi się już zdało całkiem oczywistem, że i świat, i ja nie mamy ni sensu, ni celu, wezwano mnie nocą do chorego; młoda kobieta z jednego z domów sąsiednich umierała od roku na suchoty; kończyła już; żaden lekarz nie chciał się fatygować; i mąż jej, w rozpacz, tłumaczył mi, iż nie liczy na żadne uzdrowienie, lecz że ona się dusi, że trzeba więc ulżyć jej choć na tę godzinę konania; byłem nadto obojętny na wszystko, by mózg mu odmówić.

Udałem się z nim; była druga po północy. Otóż, na ulicy, przed nami, jakiś mężczyzna szedł nam naprzeciw; był dużego wzrostu, ale tak dobrze zbudowany, że zdałem sobie sprawę z jego postawy dopiero, gdyśmy byli tuż przy nim. W ubraniu jego nie było nic niezwykłego, ale miał wygląd jakiegoś wielkiego pana.

Gdyśmy się mijali, wzniosłem ku niemu oczy machinalnie, i otrzymałem spojrzenie jakgdyby płomienia światła łagodnego; przeszedł koło nas; obejrzałem się za nim; jednocześnie i on się obejrzał; wtedy, bez namysłu, podszedłem do niego; on, zdjawszy kapelusz i trzymając go w ręku, rzekł mi:

— Przepraszam za niedyskrecję, doktorze, zdaje się, że znam pana; czyś pan nie jest przyjacielem Andreasa?

Zdjąłem również kapelusz z głowy, dosyć zmieszany.

— Tak jest, odrzekłem, i gdym szukał słów dalszych:

— Ręczę, że idziesz pan do chorego, mówił dalej; może będę mógł mu być użytecznym, jeżeli pan zechce pozwolić, bym mu towarzyszył.

I nagle zrozumiałem; był to Teofan; tak, to on; serce poczęło bić mi gwałtownie; rozpacz, nienawiść, urazy, gorycze, niesmaki, wszystko to czułem, jak się rozprasza, ciężkimi zwojami pełzającymi opadając ze mnie, podczas gdy tłumaczył memu klientowi:

— Jest to doktor, jeden z moich przyjaciół, specjalista; weźmiemy go, by zobaczył pańską żonę. On, przejęty boleścią, nic nie odpowiedział, i przybyliśmy wkrótce do jego mieszkania.

Było to gospodarstwo biedne i wzruszające urzędnika z banalną ozdobą fałszywego dostatku. Matka chorej była w pokoju, już bez łez, z rysami zakrzepłemi w rodzaj tępoty; rzekła do zięcia głosem jakimś obcym:

— Zapóźno; już skończyła.

Pochyliłem się nad łóżkiem chorej; ani szmeru serca, ani oddechu; nos subtelny już się stał cieńszym i lico odzyskało pokój nieruchomy, który zgoła nie myli; trochę ciepła kołatało się jeszcze w dołku żołądkowym; ale nędzne ciało, tak strasznie wychudzone, z nabrzmieniami wielkimi w stawach, zdało się upraszać, by je pozostawiono już nadal w spokoju w ciemni cichej trumny.

— Czy sądzisz pan, że umarła? rzekł nagle Teofan; i głos jego brzmiał śpiwnie w ciszy.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Kochasz ją pan, nieprawdaż? masz pan dzieci? rzucił pytania małżonkowi; i, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

— Jeżeli tedy powróci do życia, jeżeli się ją zbudzi zaraz z martwych, czy będziesz pan wdzięczny Niebu, czy pozostaniesz z nią, nie porzucisz jej, ni sercem, ni ciałem?

Biedny człowiek, zmieszany, nie śmiejąc rozumieć, patrzył na nas, nie mogąc przemówić słowa.

— Uspokój się pan, rzekł mu Teofan bardzo łagodnie; nie martw się; odpowiedz mi sumiennie.

— Czyż to możebne? jakaż mąż zmarłej; ale to nie może być, byś pan żartował ze mnie... tak, jeżeli pan mówisz, to ona może ożyć... przyrzekam panu...; i opadł, wstrząsany łkaniem, podczas gdy stara matka, złamana, całowała, jak szalona, ciało już zimne swej córki.

I Teofan zbliżył się do trupa, ujął dwie jego ręce w swą dłoń lewą i, unosząc głowę bezwładną ręką prawą, rzekł do niego czule, tuż do ucha po cichu — ale my słyszeliśmy wszyscy —: „Moje dziecię, ma córko, chodź, powróć; będzie ci to policzonem, oni potrzebują ciebie!“

I podczas gdyśmy nie odczuli żadnego drżenia — było to całkiem naturalnem, umarła musiała zmartwychwstać, — niewiasta otworzyła oczy, wyprostowała się, spojrzała na pokój.

— Śniłam, wyszeptała.

Matka jej i mąż na kolanach całowali jej ręce; a ona, tuląc się do piersi Teofana, poczęła płakać cichutko.

— Zapalcie drugą lampę, rzekł Teofan.

Matka powstała, zataczając się, i wróciła z lampą, którą ustawiła, by lepiej oświetlić chorą.

— Widzicie, rzekł nam, już się poprawia; i, w rzeczy samej, po upływie kwadransa, poczęło nieco powracać ciała dookoła kości; twarz stała się pełniejszą, bardziej zabarwioną. W uniesieniu radości, mąż upadł do nóg Teofana, ale on uniósł go, jakbym to uczynił z małym dzieckiem.

— Nie, nie, rzekł mu, to Niebu potrzeba dziękować. I dodał, odstąpiwszy krok w tył:

— Pomnij pan, coś przyrzekł. Jest książka, w której są zapisane historye wskrzeszonych do życia; rób pan, co poucza ta książka. A teraz, do widzenia; i cały promieniejąc poczciwością serdeczną, uściskał żonę, matkę i męża, i wyszedł ze mną.

Myślałem, że śnię; ale poznawałem ulicę, którą szliśmy; tu oto płot, dalej teren pusty, tam, w dole izba piekarna; na lewo bar, gdzie krzyczeli nędzarze nocni; tak jest, byłem ciągle na ziemi, w Paryżu; szedłem obok nieznanego; a był nim Teofan, oświeciciel, przewodnik tyle oczekiwany, którego sama obecność rozpraszała moje ciemności, odpędzała zwątpienia, wzmacniała siły znużone.

Powiedział mi, że musi o czwartej rano jechać pociągiem pospiesznym do Brindisi, że nie może odłożyć tej podróży, ponieważ pociąg ten chodzi raz tylko na tydzień, że, skąd inąd, ma mi wiele do powiedzenia, i że, jeże-

lim wolny, prosi mnie, bym zechciał towarzyszyć mu do Modany. W przedziale zamówionym będziemy całkiem, jak w domu. Byłem uszczęśliwiony; przybyliśmy spokojnie na dworzec lugduński; i w ciągu ośmiu wielkich godzin oświecał mnie ciągle, nie przestając palić. Bowiem, zdało się, że tak jak Andreas, żył on trybem zwyczajnym.

Mówił bez pośpiechu, krótkimi zdaniami prostymi, nie goniąc za efektem; zdawał się być świadkiem wszystkiego, o czem mówił ze mną; wyjaśnił mnie mnie samemu, poruszając tajniejsze sprężyny mego sumienia; wzrok jego przenikał ciemność mroczną wieków ubiegłych; nie mogę tu powtórzyć, czego nauczył on mnie tej nocy; wszelkie racje opierają się temu; ale proszę wyobrazić sobie największe skupienie umysłowe, działające w harmonii z jasnością najgłębszą inteligencji; proszę wyobrazić sobie ujęcie bezpośrednie i zawsze słuszne stosunków przyczyny do skutków, pamięć dokładną najdrobniejszych szczegółów; wrażliwość misterną, rozciągającą się na jestestwa obecne, jak i na jestestwa oddalone w czasie i przestrzeni, radość bardzo wewnętrzną, bardzo spokojną, bardzo jasną: oto był stan mej duszy, podczas tej nocy; tak że znużenie, gorączka, ciężar i senność zostały zapomniane. Słowa wszelako nie mogą odtworzyć wytwor-

nej, idealnej świeżości, żywotności rzeźkiej i ufności pogodnej, jakie opływały falami przeczystemi osłabłego ducha mojego.

Szczęścia tego i tych, które nastąpiły za tem, sędzę, że nigdy nie będę mógł spłacić, chociażbym miał cierpieć bez przerwy całą moją istotą, przez całe me istnienie; jedyną mą troską dzisiaj jest to, że tyle ludzi przechodzi tuż blisko koło tego Nieba, nie znając go, nie iżby było ono ukrytem, lecz iż, nie wychodząc z siebie samych, nie chcą oni i nie mogą widzieć go, ponieważ *nie patrzą*.

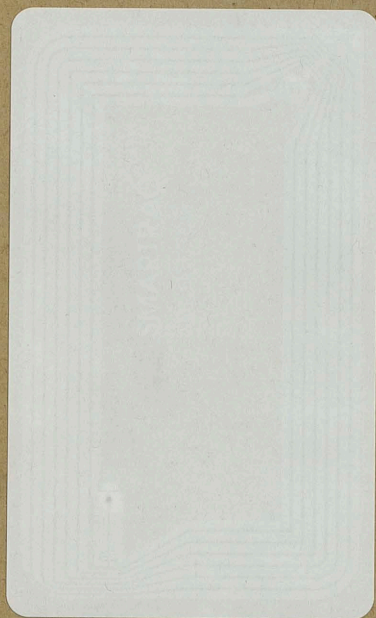


SPIS RZECZY.

I. Stan duszy	1
II. Haft rozdarty. Andreas. Wspomnienia z pogrzebu	6
III. Stado owiec	15
IV. Dziecko rachityczne	18
V. Andreas z kilku robotnikami	19
VI. Rozbiór Wedanty	25
VII. Brahman	36
VIII. Durakapalam	47
IX. Wywołanie bramińskie	69
X. Pokrzepienia	76
XI. Spirytualista	83
XII. Magnetyzer	94
XIII. Związek spirytualistów	101
XIV. Niepewność	109
XV. Wizya umysłowa	114
XVI. W Plaisance	120
XVII. Człowiek związany z ziemią	127
XVIII. Pierwszego maja	136

XIX.	Świat niewidzialny. Wilkołak . . .	143
XX.	Winnica. Przechadzka nocna w Vil- laine	151
XXI.	Lodozwał w Himalajach	160
XXII.	Próba na nowicyacie	171
XXIII.	Siam. Tygrys	180
XXIV.	Modlitwa	190
XXV.	Phap	194
XXVI.	Lotnictwo	198
XXVII.	Przy dworze	209
XXVIII.	Ku wtajemniczeniu Chrystusowemu . . .	217
XXIX.	Babel spirytualistyczna	222
XXX.	Rzeczy, dotyczące Teofana. List chiński	233
XXXI.	Komety	240
XXXII.	Powódź	251
XXXIII.	Chińczyk	257
XXXIV.	<i>Ave Maria</i>	273
XXXV.	W Compiègne.	301
XXXVI.	Noc Woli. Wskrzeszenie	317





299A